

Marrené Waleria

HISTORIA

ZWYCZAJNEGO CZŁOWIEKA

Kocham Warszawę! Nic dziwnego. Urodziłem się w niej, tu pełzałem dzieckiem, biegałem chłopakiem... teraz, pochylony starością, włóczę się po jej ulicach... Wiem, w którym miejscu spocznę na Powązkach. Coraz mam więcej znajomych w tej dzielnicy umarłych, a coraz mniej na świecie: to i nie straszno będzie mi się położyć tam, gdzie są wszyscy moi.

Chodzę tymczasem po ulicach miasta.. Tu nigdy nie jestem samotny: z drzew, ogrodów, z okien kamienic, nawet z bruku ulic powstają tłumione wspomnienia; a ja uśmiecham się, wesele, smucę, drzę trwogą lub nadzieją, rozpaczam... jak niegdyś.

Bądźcie jednak spokojni. Nie jestem żadnym bohaterem... jam człowiek zwyczajny. Ale i najzwyczajniejszy musi dźwigać to, co na niego padnie, a przyjdą czasem takie chwile, że pomyśli: "Bodajbym się był nigdy nie rodził." Nie same smutki miałem w życiu... Broń Boże... Tylko radości były krótkie, smutki długie, a może też one lepiej tylko wrażają się w pamięć?

Wyśmiewają się z nas starych, bo mówimy, że dawniej wszystko było lepiej na świecie. Raz nawet jeden mój kolega zaprowadził mnie do teatru na "Safandulów", i pokazując mi ich na scenie, powiedział:

— Patrz, stary! to my!

Czy dawniej było lepiej? — to wielkie pytanie. Sprzeczać się w tym względnie nie myślę. Nam niezawodnie było lepiej, bośmy byli młodzi. Ale że było inaczej, to inaczej. Ot, na przykład, Leszno. Jaka to była ulica! Może się ona tak bardzo nie odmieniła; to jednak pewna, że dziś wcale inaczej wygląda. Wspaniała ulica przyćmioną została przez daleko wspanialsze i straciła swoje znaczenie, tak, jak kolor blaknie jeden przy drugim.

Dawniej znali się tu prawie wszyscy. A właściciele domów? No, tym kłaniano się, i znać było, gdy który przechodził ulicą, po obiedzie, na czarną kawę i gazetę, do cukierni.

Na rogu ulicy Rymarskiej była cukiernia Juwena. Co tam były za ciastka!... nigdy w życiu nie jadłem podobnych. Babki śmietankowe kosztowały trzy grosze, a były większe niż dzisiaj kajzerki. W cukierni siedziała zwykle sama pani Juwenowa, ogromna, z trzema podbródkami, najtłustsza kobieta w całej Warszawie. Wielka mi sztuka — myślałem sobie nieraz — gdyby mnie tylko do cukierni puszczono i pozwolono, jak jej, jeść co mi się podoba, i ja

bym się pewnie tak upasł na śmietankowych babkach! Same rozplywały się w ustach.

W niedzielę wszyscy spotykali się w kościele Karmelickim, bo wówczas nie wyszukiwano modnych nabożeństw, ani kaznodziejów, nie dobierano godzin dogodnych: nie trzeba też było obawiać się tłoku. Każdy szedł do parafii, na sumę, bez wymysłów żadnych, jak Pan Bóg przykazał.

Na dalekie spacery się też nie chodziło; do ogrodu — to co innego! W alei, do Łazienek, jeździł tak zwany "świat". Ale my, urzędnicy, bywaliśmy tam co najwyżej raz na rok w jakie nadzwyczajne święto. Bo też to było strasznie daleko — za miastem.

O ulicach: Kruczej, Żórawiej, Hożej nikt nie słyszał, a kiedy Minter stawiał dom, w którym dziś mieści się poczta, śmiano się z niego, bo wszyscy mówili, że na takim pustkowiu nie będzie miał wcale lokatorów.

My nie należeliśmy do "świata" i wcale nas to nie martwiło. Ojciec był urzędnikiem, mnie także do tego samego zawodu przeznaczał. Nie potrzeba tu było wielkich mądrości. Skończyło się czasem sześć klas gimnazjalnych, czasem tylko cztery, czasem

i mniej, jak było można, i szło się na aplikację. Aplikowało się darmo rok, dwa lata, niekiedy i więcej, a potem brało się pensję, awansując po maleńku. Pensje były nie wielkie, ale też wszystko było tanie, a jak kto miał dwieście rubli rocznie, to już od

r

biedy mógł się żenić i utrzymać rodzinę. Prawda, że panie same sobie szyły suknie, stroiły kapelusze, a nawet prały trudniejsze rzeczy własnymi rękami.

Mój ojciec miał dwa razy tak wielką pensję, to też żył bardzo wygodnie. Zajmowaliśmy na dole w oficynie mieszkanie. Mieliśmy dwa duże pokoje z kuchnią, spiżarką, górą, piwnicą, drwalką, wszystko tak wygodne, że matka, wielka gospodyni, nacieszyć się nie mogła.

Nie było przedpokoju, podobno nie było nawet dzwonka, ale ten wcale nie był potrzebny. Wchodziło się przez kuchnię, od której drzwi całe lato były na oścież otwarte, a w czasie mrozów jedynie zamykały się na klamkę.

Gości nie trzeba było meldować. Nie przeszło też nigdy rodzicom przez głowę, by można kogo nie przyjąć. Goście, stosownie do godności lub do stopnia temperatury, rozbierali się w kuchni, lub w pokoju jadalnym, chociaż równie dobrze mógł się on zwać dziecinny, bo sypiałem tam ja, wraz ze stryjecznym bratem.

Adaś był sierotą, młodszym odemnie o lat parę.

Tak zwany salon należał wyłącznie do rodziców, a różnił się od jadalnego jesionową kanapką, firankami w oknach i froterowaną podłogą.

Ja z Adasiem mieliśmy nasze legowisko za parawanem. Był to parawan, jakich już dziś nigdzie nie widać; przedstawiał niezmierną rozmaitość. Były

tam naklejone różne figurki, jedne dziwniejsze od drugich. Zwykle rano, gdyśmy się obudzili z Adasiem, były one przedmiotem niewyczerpanych rozmów.

Mnie bawiła szczególnie jakaś wyfiokowana pani w żółtej, wyciętej sukni, uciekająca przed uśmiechnionym staruszkiem, którego postać kryło mnóstwo mioteł niesionych na plecach.

Podobno były to postacie z jakiejś starej sztuki "Chłop milionowy." Z powodu tego starca, grożącego żółtej pani, ojciec śpiewał piosnki z tej sztuki, z których parę wierszy pamiętam:

Jest pałac, są i wsie, Lecz gdzie sumienie, gdzie?

Albo też:

Miotły, miotełki mam, Jejmości tanio dam.

Żółta pani znajdowała się tuż nad moją głową. Gdym się budził, pierwszą, gdym zasypiał, ostatnią rzeczą, jaką widziałem, były jej okrągłe, wystraszone oczy i nóżka, podnosząca z tyłu w szybkim biegu wążką, króciutką sukienkę. Kto wie, może ta nóżka wywarła wpływ na moje usposobienie, bo przepadałem później za kobietami, a pierwszym warunkiem piękności była dla mnie mała nóżka.

No, już co nóżki, to stanowczo dawniej ładniej wyglądały! Dziś, ani widzisz co to jest: jakieś

chińskie, skoszlawione kopytko z obcasem podsunętym pod środek stopy. Dawniej nawet skóry na damskie trzewiczki nie używano: do tego był atlas lub prunela; trzewiczek był wycięty: więc widać było bieluteńką pończoszkę, a na niej krzyżowały się wstążeczki, tak zwane bandażyki, które przymocowywały je do nogi, nakształt greckiego sandała, i wiązały się na zgrabną kokardkę. Obcasy noszono jedynie do kostiumów, a korki służyły kalekom do nadsztukowania krótszej nogi. O innych nikt nie słyszał.

Nóżka uciekającej damy była prześliczna, była nawet tak mała, iż tylko papierowa kobieta utrzymać się na niej mogła. Nie przyszło mi to wówczas do głowy, i przyrównywałem do niej w myśli wszystkie inne, przyrównywałem nawet wówczas, gdy parawan rozleciał się ze starości przy jakiejś przeprowadzce, a żółta pani podarła się na strzępy.

Gdy się to stało, nie żalowałem nawet tego grata. Dziwne... gdybym go dziś odnalazł, zdaje mi się, iż płakałbym jak dziecko.

W naszym mieszkaniu, na Lesznie, przebywaliśmy zimą i latem, bo o letnich koloniach, o domach za rogatkami i w ogóle o konieczności wyjeżdżania co rok z Warszawy, przynajmniej aa dwa miesiące, nikt jeszcze wówczas nie słyszał. Powietrza nie brakowało na obszernym dziedzińcu, gdzieśmy bawili się całe lato z dziećmi naszych sąsiadów; matka do

zorowała nas, szyjąc przy otwartym oknie. Zdaje mi się, że widzę dotąd jej uśmiechnioną twarz, wyglądającą z pomiędzy doniczek róż miesięcznych, laków, flor passionisów, które hodowała w oknach salonu.

W głębi dziedzińca był ogród — prawie każdy dom na Lesznie miał swój ogród. Gdy przemieszkaliliśmy na miejscu lat parę i zaprzyjaźnili się z dziećmi gospodarza, pozwolił on całej rodzinie naszej przechadzać się po nim.

Ogród, co prawda, nie był osobliwym. Rosło w nim parę starych akacyi, parę krzaków bzu i jaśminu; zresztą, żona gospodarza, troszcząc się więcej o wygodę niż o estetykę, sadziła w nim rozmaite warzywa. Niemniej robił on na mnie wielkie wrażenie. W głębi była altana otwarta, z dachem wspartym na drewnianych, zczerniałych filarkach, a na ścianie, zamykającej ogród, jakiś artysta o bardzo bujnej wyobraźni, wymalował wspaniałą krajobraz. Były tam góry, morze, jakieś wielkie drzewa, których nie rozpoznałby najbieglejszy botanik, a nawet, zdaje mi się, że i wybuch wulkanu. Napewno wiedzieć tego nie było można, bo właśnie w tem miejscu tynk był mocno uszkodzony. Mnie się zdawało, że to Wezuwiusz; Adaś utrzymywał, że zachód słońca, i śmiał się ze mnie, dowodząc, że odkąd zacząłem chodzić do szkół i uczyć się geografii, marzyły mi się tylko odległe kraje i nadzwyczajności.

Gospodarz z całego ogrodu dbał tylko o kręgielnię, gdzie co niedziela z przyjaciółmi rozgrywał nieskończoną ilość party, popijając piwo, które mu ciągle służąca przynosiła z piwnicy. A wówczas rozlegał się po całym dziedzińcu głuchy łoskot toczących się kul, suche uderzanie przewracanych kręgli i wesołe wykrzyki: Ein, zwei, vier.

Nasz gospodarz był Niemcem. Syn jego, Franciszek, był moim serdecznym przyjacielem; śmierć tylko tę przyjaźń rozerwała, a szlachetniejszego serca nie było pod słońcem.

Przyjaźń nasza zaczęła się od tego, że raz spotkałem go na dziedzińcu, wracając z gimnazjum, i palnąłem w kark z całej siły, wołając:

— Masz, Niemcze!

Przyczyny właściwej nie miałem, a raczej przyczyną był profesor niemieckiego, w gimnazjum; nie cierpiała go cała klasa i wysilała się na psoty, a on sypał nam pałki, jak z rękawa. Nie mogąc pomścić się na nim, mścił się każdy z nas na kim mógł.

Franciszek nie rozplakał się, nie pobiegł na skargę, ale, odwróciwszy się, palnął mnie równie szczerze jak ja jego, krzycząc także z całych sił:

— Takim dobry, jak i ty.

A przytem, jego niebieskie oczy płonęły takim uczciwym ogniem, że... że nie wiem, cobym uczy

nił, gdyby jego siostrzyczka, Fryda, była nie zaczęła płakać rzewnymi łzami.

Nigdy mi na myśl nie przyszło, że mała Fryda jest Niemką. Co prawda, mówiła po polsku tak dobrze jak ja. Była to bardzo zabawna osobka. Jej buzia, otoczona ciemnymi loczkami, miała jakąś przedwczesną powagę; a kiedy chodziła po dziedzińcu lub ogrodzie, trzymając na ręku lalkę, to, chociaż miała lat sześć czy siedem dopiero, zdawała się małą kobietą.

Nie lubiła bawić się z nami, ale rozmawiała chętnie, rozmawiała jak osoba dojrzała. Wiedziała co się działo nietylko w kuchni matczynej, ale i w fabryce ojca; ilu miał robotników, jakich majstrów, jak który się sprawował? — daleko lepiej od Franciszka, chociaż ten był od niej o pięć lat starszy.

Nigdy nie widziałem na niej rzeczy poplamionej, zmiętej lub zbakierowanej. Sukienka, fartuszek, pończoszki, każda część ubrania leżała na Frydzie tak, jakby zrosnięta była z jej osobką i nie mogła uleść żadnym uszkodzeniom. Po błocie umiała chodzić na paluszkach w ten sposób, że nigdy nie przyłgnęło do jej trzewiczków. Nie stroiła żadnych kokieteryjnych minek i uśmiechów, jak to zwykle robią ładne dziewczynki; czarne jej oczy patrzyły tak prosto, tak uczciwie, iż znać było, że brzydziła się fałszem każdym jak kurzeni lub brudem, które strze

pywała często, rozmawiając, bezwiednym ruchem rączki z odzienia, choć ich tam wcale nie było. Lubiała się pytać o wszystko, a wiarogodności odpowiedzi nigdy nie podawała w wątpliwość. Adaś opowiadał jej nieraz niestworzone ambaje, na przykład: że w czasie burzy piorun wpadł mu do kałamarza i wypił wszystek atrament, a ona temu święcie wierzyła. W ogóle, zdaje mi się, że wcale nie pojmowała, jak to kłamać można. Kochała nad wszystko brata i lalkę. Nie wiem nawet do dziś dnia, co z dwojga było dla niej droższem. Swoją Zosię — tak nazywała drewnianą córeczkę — dźwigała z miłości dla niej samej, a znów wielki tom Magazynu Powszechnego — z miłości dla brata, który miał namiętność do książek, pragnął ten gust w siostrze zaszczerpić i dostał dla niej ówczesną nowość, ów "Magazyn Powszechny" pełen obrazków. Ten Magazyn nosiła także z sobą po dziedzińcu i ogrodzie, wielce zafrasowana tym podwójnym ciężarem, choć nie pamiętam, by go kiedy sama z siebie otworzyła. Tylko, gdy Franciszek spytał ją o jaki artykuł, z pośpiechem, świadczącym o dobrej woli, otwierała książkę, a czytając, wodziła po liniach tłustym, czerwonym paluszkim. Fryda była to podobno pierwsza moja miłość, bo chociaż nazywano mnie w domu urwisem, dla niej byłem zawsze uprzejmy, robiłem to, o co mnie tylko prosiła. Ona też chętnie dzieliła się ze mną przy

smakami, których miała zawsze pełne kieszonki. Matka pasła ją piernikami, chlebem świętojańskim, suszonymi śliwkami, lecz grosza pieniędzy nigdy nie dawała.

Fryda była dość osamotnioną. Matka jej, prosta kobieta, cały dzień spędzała w kuchni, ale córkę chowała na panienkę i nie lubiła jej mieć przy sobie. Ojciec zajęty był fabryką. Franciszek chodził do szkół, a zresztą, cały był zakopany w książkach. Fryda więc błąkała się całe lato po dziedzińcu i ogrodzie w towarzystwie swojej lalki, z którą wiodła nieskończone rozmowy, sadzała ją na ławkach, ciągnęła za rękę po wązkich ścieżkach: aż raz Zosia wpadła w krzak agrestu i sukienka jej wyszła z tamtąd poszarpana na strzępy. Fryda zalewała się gorzkimi łzami. Nadszedłem na to właśnie.

Dziewczątka płakało tak rzewnie, iż pobiegłem do niej przestraszony. Przekonawszy się o powodzie, już miałem wybuchnąć śmiechem i zawołać z pogardą: "Wielka mi rzecz, suknia lalki!" Ale Fryda rzecz te brała na seryo. Nigdy nie mogła zrozumieć, że jej Zosia nie jest żywą istotą; mówiła o niej, jak o swojej córeczce.

— Zosia nie ma sukienki! — wołała z wyrzutem.

— Kupisz jej drugą,

— Ojciec i mama nie dadzą mi pieniędzy na drugą. Zosi będzie zimno. Zosi będzie wstyd tak się pokazywać. Jedyna, święteczna sukienka!

Było tyle rozpaczy w jej głosie, iż postanowiłem sprawić lalce nową sukienkę. Obiecałem to nawet Frydzie solennie, chociaż nie miałem pojęcia, jak tej obietnicy dotrzymam. My, chłopcy, pieniędzy nie mieliśmy wcale; ojciec, co

najwyżej, w chwilach uroczystych, dawał nam trzy grosznika na ciastko, a i tak w podobnych razach matka utrzymywała, że uczy nas marnotrawstwa. Nosilem się więc bardzo długo z projektem kupienia jakiego kawałka pięknej materii. Odmówilem sobie parę razy śmietankowej babki i zebrałem w ten heroiczny sposób sześć kopiejek; to przecież na suknię dla Zosi nie wystarczyło.

Zosia więc miała wszelki czas zmarznąć, jeśliby tylko na mnie rachować musiała. Ja prędko zapomniałem o uczynionej obietnicy, ale Fryda wierzyła święcie w jej spełnienie, bo już taką była jej natura. Ufała każdemu, ufała bez powodu, bez granic. Ile razy spotkaliśmy się na dziedzińcu, zwłaszcza, ile razy wracałem z miasta, oczy jej kierowały się ku mnie, pełne nadziei; zapewne myślała, że niosę obiecaną sukienkę. Czasem nawet pytała wprost.

Biedna Fryda! Chciałbym chociaż zobaczyć jeszcze ten ogród i dziedziniec, gdzieśmy tyle chwil razem przebywali. Niema ich już. Niby z pozoru kamienica frontowa stoi, jak stała, i murowane balustrady nad mostkiem, rzuconym z ulicy na wysoki chodnik, pozostały, jak były, i łańcuchy wiszą przy

kamiennych słupach. Ale wewnątrz wszystko już jest inaczej. Tak nieraz dzieje się z ludźmi... Z pozoru wszystko w nich tak, jak było... a jednak... Dziedziniec kamieniczny, zabudowany cały; miejsce ogrodu, kręgielni, altany, fikcyjnych krajobrazów, zajęła trzypiętrowa oficyna. Nawet duch Frydy, gdyby się tu zabłąkał, nie poznałby miejsc, gdzieśmy chodzili razem, gdzie widzę ją zawsze przed oczyma duszy, dźwigającą wielką, zamkniętą książkę, otrzępującą niewidzialne źdźbła kurzu z odzienia, w czasie, gdy lalka, w podartej sukience, patrzy na nas malowanymi źrenicami.

Kiedy zimno nie pozwoliło nam biegać po dziedzińcu i trzeba było czekać niedzieli, żeby się z Frydą zobaczyć, nie mogłem miejsca sobie znaleźć, rachowałem dni i godziny. W niedzielę państwo Müller zapraszali często mnie i Adasia na poobiednią kawę; rozmawialiśmy wówczas w ich salce tak, jak na dziedzińcu lub w ogrodzie. To jest: rozmawiałem ja z Frydą, bo Adaś, wypiwszy kawę, zasypiał na kanapie, albo też wymykał się do domu, a Franciszek siadał przy oknie z jaką książką. Czasem chciał nam co głośno przeczytać, ale wiedział zaraz, że ja, ani siostra, nie podzielaliśmy jego gustu i myśleliśmy o czym innym.

— To dziwne! — mówił wówczas — was to nic nie zajmuje. Fryda bo jeszcze dziecko, ale ty, Stasiu!

Nie kończył; widać w nim było litośną pogardę.

Potem już czytał sam. A Fryda zwierzała mi się, że pewno na Boże Narodzenie dostanie nową lalkę, bo gdy prosiła o nową sukienkę dla Zosi, matka powiedziała, że to nie warto, że będzie miała coś ładniejszego. Ale ona nie będzie już tej nowej lalki tak kochała jak Zosię, żeby nawet była dwa razy większą i najpiękniejszą na świecie, i musi kiedyś dostać dla niej sukienkę. Mówiąc to, brała na ręce obdartą, zasmoloną lalkę, okrywała ją pocałunkami, nazywała swoją biedną, chorą córeczką i tuliła do siebie, ze łzami w oczach.

Ja znów opowiadałem jej moje szkolne przygody. Znała po imieniu wszystkich moich kolegów, profesorów, regulamin gimnazjalny, i wszystko to przejmowało ją nieokreśloną trwogą.

— Dobrze, że ja dziewczynka — mówiła!

— Dla czego? — pytałem.

Nie umiała wytłumaczyć się dokładnie, ale powtarzała swoje.

— Przecież i ty uczyć się musisz — dowodziłem. Nie zdawała się tem przekonaną. Tłumaczyła się, że jest jeszcze małą. Niech się sobie uczy Franek, ja wreszcie, ale ona?...

Na podobnych rozmowach zeszedł nam cały wieczór, a kiedy trzeba było się rozejść, żegnaliśmy się smutno na cały tydzień.

Tymczasem przyszła taka niedziela, kiedym do

Frydy pójść nie mógł, bo przyjechała ze wsi ciocia Leosia i przyprowadziła do nas na cały tydzień kuzynkę Józję, gdyż sama miała jakieś interesa, czy wizyty.

Poszliśmy więc z Adasiem Frydę do nas zaprosić, bo co Franek, ten swoich książek porzucić nie chciał. Frydę z wielką biedą udało mi się namówić; bała się nowych znajomości i spoglądała na nie przestraszonymi oczyma. Przyszła z Zosią na moje prośby. Ale Józia, widząc niefortunną tualetę lalki, zawołała ze śmiechem:

— A to, co za smoluch?

I Fryda, dotknięta do żywego, uciekła, tuląc do siebie rozżaloną córeczkę!

— Widzisz, coś zrobiła! — mówiłem do Józji. Ona nie wzięła tego wcale do serca, przeciwnie:

— To jakaś sensatka — wyrzekła pogardliwie — nie podoba mi się wcale.

Mówiła to z taką pewnością, iż nie śmiałem stanąć w obronie Frydy.

— A ty, nie masz lalki? — spytałem.

— Ja? — odparła, wzruszając ramionami — to dobre dla małych dziewczynek.

Józia, choć jednego wzrostu z Frydą, była podobno znacznie starszą, a nawet i starszą odemnie. A przytem nie było na świecie dwóch istot mniej do siebie podobnych.

Kiedy sobie chcę Józję z owej epoki przypomnieć,

nie staje ona przedemną w wyraźnych konturach, jak Fryda, tylko w myśli mojej robi się wielka zawierucha, a wśród niej kręcą się, migają, olśniewają; fale złota i błękitne iskierki. Bo też Józia była tak niezmiernie żywa, iż nie wiem, czyby ją pochwycić zdołał dzisiejszy rewolwerowy aparat fotograficzny. Cała jej drobna postać była w ciągłym ruchu; migwały tylko przed okiem jej okrągłe rączki, mikroskopijne nóżki i źrenice błękitne, pełne śmiechu, pełne swawoli, które niekiedy, jak niebiosy, zachodziły chmurą i, zamiast iskier, miały błyskawice.

Każda cząstka tej postaci zdawała się poruszać, drgać, wirować na swój odrębny sposób. Drgały śmiechem różowe usteczka, a w koło nich po bródce, po rumianych policzkach, tworzyło się mnóstwo dołeczków kapryśnych, figlarnych, ucieszonych, a tak ślicznych, iż każdy z osobna chciało się pochwycić i utrwalić; aliści już występowały inne, jeszcze śliczniejsze.

W harmonii z tym nieustannym ruchem postaci sukienka, fartuszek, nawet trzewiczki, układały się w niemożliwy sposób i niktby nie przypuścił, jakie to z nich dziwa porobić się mogą. Najdziwaczniej przecież układały się włosy Józji. Barwa ich nawet była zmienna i niepochwytna. Czasem, gdy każdy włoszek szedł w swoją stronę i kręcił się na własny rachunek, całość tworzyła około drobnej twarzyczki fantastyczną koronę z płynnego złota, promienie

słońca nadawały jej miedziane odbłyски; w cieniu znów włosy te przybierały barwę popiołu, przez który gdzieniegdzie żar niedogasły przeglądał.

Słowem: Józia, był to rodzaj chochlika, a gdy się uwzięła, to z każdym zrobić mogła co tylko chciała.

— Dobrze, że ta Fryda sobie poszła — mówiła, widząc, że spoglądał żałośnie przez okno na dziedziniec zalany jesiennym deszczem.

— Co też ty mówisz? — zawołałem.

— Będziemy się lepiej bawić. Obaczysz! Zaśmiała się po swojemu, przechylając się ku mnie, tak, że promienie jej włosów, jakby złote fale przesunęły mi się przed oczami.

Jak strzała pomknęła w głąb pokoju, rozslawiła parawan, pochwyliła na ręce poduszkę i zaczęła odgrywać jakąś dramatyczną scenę z "Waryatki", którą wówczas grywała Halpertowa, a na której była w przeddzień z matką w teatrze. Józia robiła ze wszystkimi, cóż dopiero z matką, co tylko chciała. Jak napała się być z matką w teatrze na jakiej sztuce, to być musiała; nie było na to żadnej rady. Teatr robił na niej niezmiernie wrażenie. Jako mieszkanka wsi, rzadko w nim bywała, ale zato urządzała go w domu, ustawiała scenę z rozmaitych sprzętów, a nawet obywatela się bez niej: śpiewała, tańczyła, śmiała się, płakała, mdlała, rzucała się na kolana, recytowała wyznania

miłosne, bardzo komiczne w jej ustach, w słowach, w jakich to czynili artyści, bo raz je usłyszawszy, już umiała na pamięć. Czyniła to wszystko z takim przejęciem, jakby naprawdę ta półtorołołkciowa osóbką była heroiną ponurych dramatów, grywanych wówczas, jak: "Mulat", "Rita Hiszpanka", "Pamiętniki szatana", które nad wszystko lubiła. Teraz na porządku dziennym była u niej "Waryatka". Umiała nadawać oczom błędny wyraz, naśladować ruchy wielkiej artystki, znajdowała w swym dziecinny głosiku intonacje, przejmujące dreszczem. Uczyla nawet mnie i Adasia kilku słów, które powinniśmy byli wypowiadać, ażeby uzupełnić akcję. Trzeba było mianowicie, w chwili, gdy była odwróconą, zabrać ze sceny poduszkę, reprezentującą niemowlę, mówiąc: "Nieszczęśliwa kobieta mogłaby w przystępie obłąkania co złego uczynić dziecięciu." Słowa te były konieczne, bo objaśniały tajemnicze znaczenie poduszki, a potem następowała nowa scena obłąkania na temat jej utraty.

Rolę tę naprzód Józia powierzyła Adasiowi, ale po pierwszej próbie bez ceremonii dała mu dymisję, nie tłumacząc się wcale; ja miałem go zastąpić. Szepnęła mi tylko do ucha:

— On nigdy aktorem nie będzie.

Powiedziała to z miną wytrawnego reżysera, ub, co najmniej, teatralnego bywalca, jako pewnik,

nieulegający wątpliwości. Ja uwierzyłem jej bez wahania.

Kiedy jednak przyszła na mnie kolej wypowiedzenia tych kilka słów, pokazało się, iż rzecz wcale łatwą nie była. Józia starała się nauczyć mnie właściwego akcentu, przedrzeźniała, gniewała się tupiąc nóżkami; ja chciałem ją zadławić więcej, niż wszystkich razem profesorów. Daremnie!

Takeśmy się zajęli tym teatrem, iż nie wiem kiedy zbiegło poobiedzie, i zabrano nam do herbaty krzeselka, stanowiące scenę.

— A widzisz! — rzekła wówczas Józia — bawiliśmy się doskonale.

Od tej chwili Fryda przestała dla mnie istnieć, tembardziej, że ją rodzice oddali do brata pana Mullera, mieszkającego w Kaliszu, który miał dwie córki w tym samym wieku, co Fryda, i trzymał do nich guwernantkę; a nawet, znalazłszy kiedyś w kieszeni cztery trojaki, starannie zbierane na suknię dla Zosi, kupiłem babek śmietankowych i podzieliłem się z Józia, bo przyznała mi się, że przepadała za babkami.

Myślałem już tylko o Józii; matka jej mieszkała teraz w Warszawie i co niedziela, albo myśmy szli do niej, albo ona do nas przychodziła. W powszedni dzień nie miałem czasu na zabawę: trzeba się było uczyć.

Nasze gimnazjum było bardzo blisko, chodziłem

doń dwa razy dziennie, bo wówczas lekcje były podzielone na przed i poobiednie. Gimnazjum mieściło się w obszernym budynku przy ogromnym dziedzińcu, na który wybiegaliśmy hurmem w czasie pauzy. Tu przychodziły zwykle przekupki z jabłkami, piernikami, figami, nawlekanemi na sznurek, z chlebem świętojańskim, a w karnawał przynosiły gorące pączki pod pierzyną, ogromne pączki, po trzy grosze sztuka.

Gdzie dziś szukać budynków i dziedzińca? Wszystko to znikło, wszystko ustąpiło nowym gmachom. Dziś, na tem miejscu stoi kościół kalwiński. Boże! cośmy się na tym dziedzińcu wydokazywali, namocowali, nabili pomiędzy sobą! Ja za nauką nie przepadałem. Nie miałem pretensyi do nagród, pochwał i t. p., nie odznaczałem się wybitną zdolnością, ani wyjątkową pracą; ale promocyę dostawałem zawsze. Nie było to zresztą rzeczą tak trudną, jak dzisiaj; uczyliśmy się mniej nierównie, przytem pomagał mi Franciszek. Miał on snadź we krwi niemieckie przymioty i był pierwszym uczniem w klasie.

Z kolegami byłem w dobrych stosunkach. Podpowiadałem im, jak każe obowiązek, gdy miałem ku temu sposobność, biłem się, gdy tak wypadło; przecież nie zajmowałem się nimi osobliwie. Jakoś zawsze miałem co innego w głowie. Czas jakiś myślałem tylko o Józii, o teatrach?

które urządziła, czekałem niedzieli lub święta jak zbawienia duszy. W czasie lekcji snuły mi się po głowie rozmaite zdania, frazesy, wykrzykniki z melodramatów, z takim przejęciem przez nią recytowane: a kiedy profesor zawołał: "Burnicki", budziłem się jakby ze snu i dzięki tylko umiejętnej pomocy kolegów, udawało mi się wybrnąć z niebezpieczeństwa.

Bo też ta Józia była nieoszacowana. Bóg wie nie co przychodziło jej do głowy. Jeśli zaś, broń Boża, wpadła w zły humor i usiadła w kącie zadąsana, to zaraz zdawało mi się, że słońce zaszło za chmurę, a najpiękniejszy dzień majowy był dla mnie czarnym jak noc. I nie mnie jednemu tak się zdawało, bo i Adaś, i Henio, rozpieszczony jednak, syn serdecznej przyjaciółki cioci Leosi, tak samo rozweselali się pod jej spojrzeniem, a gdy ona się nadąsała, chodzili osowiali.

O ten Henio! niecierpiałem go z całego serca. Był to wprawdzie mazgaj, no, ale mazgajów znałem dość; pysznił się swemi zabawkami, sukienkami, zegarkiem, bo matka jego była bogata i niczego mu nie żałowała, a ile razy my nawzajem pokazywaliśmy mu jaki drobiazg, on pogardliwie wydymał wargę i mówił: "Ja sobie kupię". To jego "ja sobie kupię" przyprowadzało mnie do rozpacz. Wobec niego czułem się, nie tylko ubogim, ale upokorzonym mojem ubóstwem.

Nie dla jego bogactwa przecież niecierpiałem Henia; podobno winna temu była Józia, bo gdy on tylko przyszedł, ja i Adaś szliśmy w kąt odrazu — nie raczyła na nas nawet zwrócić uwagi: z Heniem goniła się, śmiała, grała teatr, a nas — jakby wcale nie było. Miała nawet sposób patrzenia, przymrużając oczy, który mówił tak wyraźnie jak słowa, ba! nawet stokroć wyraźniej: "Nie istniejecie dla mnie", że brały mnie wszystkie złości, i Adasia także.

Przychodziła mi wówczas ochota rzucić się na Henia — podrzeć mu te aksamitne sukienki i koronkowe krezy, a na Józję więcej nie spojrzeć. Ale ona nie zauważyła nigdy moich wściekłych spojrzeń. Żebym się nie wiem jak nasrożył, nie spytała nigdy co mi jest. I miała słuszość, bo dość jej było zawołać swoim pieśczoneym głosikiem: — Stasiu!

Zaraz zapominałem o wszystkim, i nawet dziwiłem się sam sobie, jak mogłem nienawidzić Henia. Cóż mnie tam Henio! Adaś był zawziętym odemnie; ale jakaż zawziętość ostać się mogła przed wolą Józji? Jak zaczęła uśmiechać się, przymilać, trzeba było jej przebaczyć koniecznie.

Właściwie nawet nie było czego przebaczać, i nigdy do przebaczenia nie przyszło. Józia mogła przecież bawić się z kim chciała, a Henio był jej gościem. Rozumiała ona jednak doskonale, o co nam chodziło, bo gdy, pomimo jej zacepek, Adaś,

raz pozostał chmurny po odejściu Henia, zaczynała nieobecne przedrzeźniać, chodziła jak on, krzywiła usta, mówiła nawet: "ja sobie kupię". Już temu to żaden z nas oprzeć się nie mógł; zawieraliśmy przymierze bez słów, i wszyscy razem śmieliśmy się do rozpuku. Nie przeszkadzało to Józji na drugi lub trzeci dzień, skoro bladawa twarz Henia ukazała się we drzwiach, biedz ku niemu z radością i zapomnieć o nas.

Usłyszałem raz, przypadkiem, jak matka mówiła cioci, że Józia jest straszną kokietką. Nie rozumiałem znaczenia wyrazu, domyśliłem się przecież, że to coś złego, a kiedy Józia we framudze okna, z wielkim zapalem uczyła Henia jakiejś roli, podszedłem do niej i szepnąłem sam do siebie, tak głośno jednak, że oboje usłyszeć mnie musieli: Kokietka!

Rumieniec gniewu mignął na twarzy Józii, źrenice zamiast iskier rzuciły błyskawice, Henio zaś otworzył szeroko apatyczne, bez wyrazu oczy.

— Kokietka! powtórzyłem potem, gdy Henio odszedł, a rodzice kazali nam się także zabierać.

Myślałem, że teraz przynajmniej Józia tłómaczyć się będzie, dowodzić, że ją niesłusznie obwiniam. Gdzie tam! Parsknęła mi śmiechem w oczy, jak gdybym powiedział największe głupstwo, a potem minęła mnie jak obrażona królowa i poszła się położyć, nie pożegnawszy się wcale. To mnie strasz

nie skonfundowało. Całą drogę do domu, a droga była długa, bo ciocia mieszkała na Freta ulicy, rozmyślałem nad tem, co ja zrobiłem. Czy to nie było przypadkiem wielkim głupstwem? Gdym się położył; wszystkie figurki z całego parawanu, pod wodzą żółtej pani, śmiały się ze mnie tak samo, jak Józia.

Nazajutrz, wracając ze szkoły, spotkałem Frydę; ze stryjem, który miał jakiś interes w Warszawie, na parę dni przyjechała do rodziców. O tym przyjeździe mogłem wiedzieć od Franciszka, ale Franciszek nigdy słowa nie powiedział bez koniecznej potrzeby.

Fryda nie odmieniła się wcale, choć nie widzieliśmy się blisko pół roku. Ujrzawszy mnie, przybiegła uradowana, zarumieniona.

— Wiesz? — było pierwsze jej słowo — ty pewno starasz się jeszcze o sukienkę dla Zosi...

Paradna ta Fryda! właśnie też miałbym o czem myśleć!

— Zosia teraz bardzo szczęśliwa — mówiła dalej.

— Co tam Zosia! lalka, i kwita.

Spojrzała na mnie z wymówką, ale nie zrażona zaczęła mi opowiadać, że stryj, u którego mieszkała w Kaliszu, miał sklep bławatny; z tego powodu mogła Zosię ubierać, jak chciała. Miała i drugą lalkę, ale tej drugiej nie kochała tak, jak Zosię, chociaż ta druga była dużo ładniejszą.

— Dwóch jednak nie można kochać — dodała z wielką powagą.

W Kaliszu było jej bardzo dobrze, tylko nudziła ją nauka i myślała ciągle o Warszawie, o rodzicach, o Franciszku.

— I o tobie, Stasiu — dodała, patrząc na mnie z nieograniczoną miłością.

Powinno mnie to było wzruszyć. Gdzie tam! Myślałem tylko o Józii, a Fryda wydawała mi się śmieszną ze swemi lalkami. Byłaby mówiła jeszcze długo, ale ja, prawdę mówiąc, słuchałem jednym uchem i udałem, że nie mam czasu.

Fryda uwierzyła temu święcie, żałowała mnie, że taki zajęty, i zaprosiła mnie nazajutrz na kawę, bo to było uroczyste święto, a niedługo miała znów wyjechać. Ani na chwilę nie wątpiła, że przyjdę, przekonana, że jestem równie, jak ona, uszczęśliwiony z tego spotkania. Na pożegnanie jeszcze zawołała:

— A pamiętaj, przyjdź wcześniej, nagadamy się. Kawa będzie doskonała; sama jej przypilnuję.

— Przyjdę, przyjdę — mruknąłem, chcąc się jej pozbyć.

W uszach dźwięczał mi śmiech Józki.

Jednak możeby to i dobrze było, nie pokazać się w to święto u cioci. Czuję instynktownie, iż dla kuzynki byłaby to najlepsza kara. Chciałem

nawet namówić Adasia, żeby tak samo zrobił, i cały dzień układałem to w głowie.

— Wiesz — rzekłem, skoro tylko powróciłem ze szkoły chodź jutro ze mną na kawę do Frydy.

Adaś zdziwił się. Dla czego on miał iść do Frydy?

— Widzisz — tłumaczyłem — ukarzymy Józki. Adaś dbał o to daleko mniej. Na wspomnienie Józki, machnął ręką, z obojętnością tem wspaniałszą, że nie było w niej żadnego udania.

— Ii! co mi tam Józka! — mruknął — u cioci jest Czarnuch.

Czarnuch był to pudel, z którym, prawdę powiedziawszy, Adaś bawił się tyle przynajmniej, co z Józka.

— Prawda! jest Czarnuch — powtórzyłem. Zaledwie powziąłem myśl ukarania Józki, zrobiło

mi się ckliwo na sercu. Nie byłem bardzo pewny, czy Józka odczułaby karę, ale dla mnie byłaby ona bardzo bolesną.

Cały dzień byłem jak w gorączce. Zaledwie decydowałem się iść do cioci, znajdowałem tysiące przyczyn, ażeby się tam nie pokazywać, a skoro postanowiłem nie pójść, widziałem w wyobraźni Józki śmiejącą się z Heniem. O Frydzie, Coprawda, myślałem najmniej, a jej serdeczna ufność wcale nie zaważyła na szali moich postanowień.

Tego dnia byłem w klasie bardzo roztargniony,

a na geografii zasypałem się okropnie. Professor pytał: jakie kraje rozgranicza łańcuch Pirenejów. Pocziwy Franciszek, który przy mnie siedział, widząc, że nie pojmuję nawet o co idzie, zaczął pisać na pulpicie wielkie F. potem r.

— Freta! — zawołałem, nie czekając dalej, bo właśnie w tej chwili decydowałem się iść do Józki,

— Cooo? — spytał przeciągle professor. Cała klasa wybuchnęła śmiechem.

Professor zdjął okulary, przetarł je, jakby miał przypatrywać się jakiemu dziwowisku.

— Burnicki! chodźno tu bliżej — zagrzmiął głos jego.

Szedłem jak na ścięcie, bo teraz dopiero zrozumiałem, jakiego palnąłem baka.

Na moje szczęście, professor znany był z pocziwości. Obejrzał umie na wszystkie strony.

— No, no — powtarzał, kiwając głową — no no! proszę!

I na tem się skończyło. Ale miałem ja potem co słuchać od kolegów! Ilu szturhańcami opłaciłem tę ulicę Freta, ile bójek było pod jej wezwaniem, ile razy siedziałem w kozie z tego powodu! Aż mi ona obrzydła. Co najgorsze, że Józka dowiedziała się o całej sprawie.

Jakim sposobem? — tego pojąć nie mogłem. Podobno któryś z kolegów, niepomny przysłowia: "Choćby cię pieczono i smażono w smole", wygadał

się w domu i, z ust do ust, doszło aż do niej. Ale tego nigdy nie dowiedziałem się napewno.

Łatwo przewidzieć, że nie był na kawie u Frydy. Ona tymczasem oczekiwała mnie przy oknie, a gdyśmy szli do ciotki, wybiegła zaniepokojona.

— Stasiu! — zawołała ze łzami w głosie — kawa gotowa; gdzież ty idziesz?

Zmieszałem się, żal mi jej było.

— Widzisz — rzekłem pośpiesznie — nie mam czasu, muszę iść z rodzicami.

Przyjęła tę wymówkę za dobrą monetę, nie nalegała, była zawsze bardzo nieśmiała, ale łzy drżały jej na rzęsach.

— Jaka szkoda! — wyrzekła tylko.

I patrzyła smutno za nami, gdyśmy odchodzili.

Ja jednak nie pożałowałem wyboru. Dnia tego nie było Henia. Józia nie pamiętała naszych swarów, i bawiliśmy się wybornie. Nie wiedziała jeszcze nic o tych nieszczęsnych Pirenejach i Freta ulicy, choć, Bogiem a prawdą, ona najmniej śmiać się z tego była powinna.

Bomba pękła dopiero w następną niedzielę. Już zaraz, gdy przestąpiła próg i zaczęła się rozbierać, kiedy wytrząsała włosy z kapotki, widziałem, że miała buzię pełną śmiechu, a w oczach złośliwe iskierki; ale nie mówiła nic do mnie, tylko wzięła Adasia na stronę, szeptała coś z nim długo, a od czasu do czasu oboje parskali tłumionym śmiechem.

Czułem dobrze, iż chodziło tu o mnie. Gdyby dnia tego Fryda była w domu, pobiegłbym do niej zaraz, ale Fryda już odjechała, a Franciszek! No, ten nie był do towarzystwa.

Jeśli kiedy do niego zaszedłem, czułem, że mu zawadzam. Najlepiej lubił siedzieć i czytać. Od dzieciństwa odzywał się w tym chłopcu filozof i entuzjasta. Przekonałem się o tem nieraz, gdy mu opowiadałem o moich projektach na przyszłość. Nie zachwycały go one wcale. Projekta to były bardzo zwyczajne. Starczyło mi zupełnie to, co z łatwością osiąść mogłem.

Ja chciałem sobie być urzędnikiem, jak mój ojciec, ożenić się — naturalnie, z Józia — i prowadzić takie miłe, spokojne życie, jakie było jego udziałem. Wówczas biuro nie było wcale rzeczą uciążliwą. Urzędnik miał połowę dnia wolną, a tyle tylko pracy, by mu czas wolny przyjemniejszym się zdawał.

Kiedy zwierzałem się Franciszkowi, słuchał mnie z uśmiechem dziwnym.

Gdyśmy raz wracali ze szkoły po lekcji, w której o Hannibalu usłyszał, był jak nieprzytomny. Szedł obok mnie w milczeniu przez czas jakiś. Gdyśmy już dochodzili do domu, zatrzymał się nagle.

— Wiesz! — zawołał — on miał wówczas tylko lat dziewięć.

— Kto? — zapytałem.

Zapomniałem już na śmierć o lekcji, o Hannibalu

i jego przysiedze. Było to przed samymi wakacjami; na straganie widziałem rozłożone wiązki wiśni, a taką miałem naturę, iż one w tej chwili zajmowały mnie więcej, niż Rzym, Kartagina i wszyscy bohaterowie świata. Szczęściem tego "kto?" nie dosłyszał Franciszek; byłoby mnie ono w jego oczach zabiło. Stał wsparty o marmurową balustradę mostku, prowadzącego do naszego domu; oczy jego utkwione były w przestrzeń, jakby przesuwaly się przed nimi mary, dla nich widzialne. Twarz miała coś natchnionego, różowe, wargi rozchylały się zwolna, szepcząc jakieś wyrazy trudne do zrozumienia.

— A ja... ja... — dodał gwałtownie, zwracając się do mnie, jakby chciał oskarżyć się o jakąś zbrodnię.

— No! trzynaście, jesteś przecie półtora roku odemnie starszy.

— Hannibal miał tylko lat dziewięć.

Była rozpacz w jego głosie.

Więc on porównywał się do Hannibala! Zaimponował mi tem ogromnie. Patrząc na niego, zapomniałem o wiśniach. Franek, ów cichy, zwykle zamyślony Franek urósł nagle w moich oczach.

Franka lubilem bardzo od czasu pamiętnej bójki o Niemca, którą Fryda łzami swymi przerwała. Kochałem go nawet, najpewniej dla tego, że chodzi

liśmy z sobą dwa razy na dzień do szkoły, że, pomimo różnicy wieku, byliśmy w jednej klasie, siedzieli na jednej ławce, a jak tylko miałem jaką trudność udawałem się do niego, on zaś zaraz mi ją rozjaśniał, jakby świecę kto wniósł do ciemności. Tylko ćwiczenia za mnie nigdy napisać nie chciał, i nie można mu tego było wyperswadować. Poprawił wszystko najchętniej, z niezmierną cierpliwością, ale napisać — za nic w świecie. Byłoby to według niego, oszukaństwem.

A kiedy Franciszek raz powiedział "nie", to już na to nie było rady żadnej. Można go było w kawałki krajać; zaciskał tylko zęby. Nie i nie!

Dziwnym też często był wyraz okrągłej dziecinnej twarzy. Teraz, na przykład, stał i patrzył przed siebie. Zapewniał, niezawodnie, gdzie był, brwi jego się zbiegły, usta pełne były determinacji. Gorejące źrenice przykrył powiekami na białym szerokim czole i na spuszczonej powiekach rysowała się wyraźnie siatka drobniutkich żyłek, widna teraz przy gorącym świetle czerwonego południa.

Nie wiem jakby długo trwało jego zamyślenie, gdyby pani Müller, zniecierpliwiona, iż daremnie wygląda go na obiad, nie wyjrzała z bramy w kuchennym fartuchu, zarumieniona od ognia, i nie zawołała rozpaczliwie:

— Ah! Je Franz, was machst du doch?

Widząc, że jej nie słyszy, powtarzała coraz głośniejsz:

— Franz! Franz! Franz!

Nie usłyszał i teraz, aż ja dotknąłem jego ramienia. Co prawda, dawno już myślałem, że czas na obiad, ale wobec wspaniałego porównania do Hannibala, nie wypadało mi przypominać rzeczy tak zwyczajnej. Rad jednak byłem bardzo wołaniu pani Müller.

Zbudzony z marzeń, Franciszek poszedł do domu powolnym krokiem. Nie spojrzął nawet na mnie, spowinięty myślą swoją. Ja jednym susem pobiegłem na obiad.

Niedziele wydawały mi się teraz bardzo długimi. Od czasu, gdy Józia zaczęła mi dokuczać owymi nieszczęsnymi Pirenejami, za nic w świecie pójść do niej nie chciałem. Gdyby teraz Fryda była w domu, jakże regularnie spędzałbym z nią poobiedzia niedzielne! No — mówiłem sobie — już ja o nią nie dbam. Ale chociaż nie dbałem, myślałem o niej nieustannie, układałem w głowie, jak mi z nią postąpić należy w wypadkach, które z góry przewidywałem. Ona wbiegnie jakby nigdy nic, z wszystkimi witać się będzie, łaścić, jak mała kotka; do mnie powie tylko: "Stasiu...", ale powie tak, jakbym ja był jej wyłączną własnością, jakby nie było żadnego sposobu wyłamania się z pod władzy, jaką nademną rozciągnęła. A wówczas? wówczas ja... Długo

zastanawiałem się, co mi uczynić wypada. Albo nie zwrócę na nią żadnej uwagi, nic, jak gdyby jej nie było: będę dalej pisał, uczył się, odrabiał zadania; albo też rzucę na nią "okiem jadowniczej zmił". Zasłyszalem gdzieś to wyrażenie i podobało mi się, chociaż nie miałem wyobrażenia o Mickiewiczu i jego "Dziadach".

Nie byłem jednak pewny, co zrobiłoby większy efekt. Układałem te swoje zamiary, choć, zapewne, w danej chwili, w obec uśmiechu Józii, zapomniałbym o wszystkim, ale ona ułatwiła mi znakomicie zadanie, bo... wyjechała na wieś wraz z matką, a przyszła się pożegnać, kiedy ja byłem w szkole. Nie mogłem więc wyrzucić na niej żadnej zemsty. Odłożyłem ją na później; później jakoś wyszło mi to z głowy.

Po wakacjach zacząłem się więcej uczyć, może dla tego, że Franciszek uczył się zapamiętane. Widzę go dotąd, jak siedzi w oknie parterowego mieszkania rodziców, obiema rękami podparty nad rozłożoną książką. Pokój od dziedzińca, w którym sypiał i uczył się, nosił nazwę kancelaryi. Promienie światła padały na jego jasne, krótko przystrzyżone włosy, delikatne jak jedwab. Kształty czaszki rysowały się pod niemi wyraźnie, a kształty te były tak foremne, iż lubiłem się w nie wpatrywać. Czoło było tak jasne, że aż ośniewało, dwa ciemne łuki brwi gęstych podnosiły jeszcze jego białosć. Reszty

twary nie można było zobaczyć: dwie pięści wciskały się w policzki, a oczów od książki nie podnosił. Dla szkoły tyle pracować nie potrzebował. On pochłaniał różne książki, najwięcej jednak zajmowała go historia, i to wszystko, co z nią miało związek. A jaki tom Waltera Scotta zawsze miał przy sobie. Nieraz myślałem, że ten Walter Scott to musiał tysiące tomów napisać.

Czytał tak po dniach całych, czytał nawet po nocach, o ile mógł, bo matka na to nie pozwalała. Jeśli tylko zobaczyła światło w jego pokoju, wstawała i gasiła je bez ceremonii. Franek tak się do tego przyzwyczaił, że kiedy usłyszał

najmniejszy szelest w pokoju rodziców, sam zadmuchiwał świecę i udawał śpiącego, ażeby znów zapalać ją za chwilę. Wrzała nawet z tego powodu głucha walka pomiędzy nim a matką. Ojciec bynajmniej się do niej nie mieszał, nawet raz zainteresowany przez żonę w tym względzie, powiedział jej wyraźnie:

— Lass doch den Kerl.

Pani Müller jednak spokoju synowi nie dawała, bo była to kobieta uparta. Ciągle odbierała Frankowi świecę, on zaś zawsze znajdował pieniądze na nie i zawsze miał pełno stoczków, których strzegł, jak skąpiec skarbu.

Wieczorem zatykał starannie watę dziurkę od klucza i szpary we drzwiach, ażeby światła nie przepuszczały; ale matka co rano, z niecierpliwością

godną lepszej sprawy, watę wyjmowała i rewidowała łóżko, czy tam nie było gdzie ukrytego kaganka lub świecy. Co znalazła, konfiskowała bez ceremonii. Konfiskowałyby zapewne i książki. Wiedziała przecież, że książki kosztują, że Franek, pozbawiony jednych, kupi sobie inne, a miała respekt prawdziwie niemiecki dla pieniędzy.

Franek miał zawsze pieniądze; zdaje się, że pomagał mu potajemnie ojciec. Zapewne uważał, iż kobieta nie powinna nigdy nad mężczyzną przewodzić, nawet matka nad synem. Że jednak lubił spokój, a z nieustannymi podstępami upartej baby nie było rady, wołał się jawnie w te sprawy nie wdawać.

Pamiętani tylko, iż raz łamanym językiem mówił memu ojcu, że u nas kobiety chcą wszystkimi rządzić, że w Niemczech daleko jest lepiej, ale jak tylko niemka zobaczy co się u nas święci, tak zaraz naszych przywar nabiera. Mój ojciec śmiał się, cytował przysłowie: "My rządzą światem, a nami kobiety." Mówił, że sam jest pod pantoflem, i że mu z tem bardzo dobrze.

— Tak, tak, panie Müller — kończył zwykle — albo nam to źle!

Ale Niemiec pod tym względem żartów nie rozumiał i, choć lubił spokój, wrzeszczał nieraz na "Mütterchen" bo tak zwykle żonę nazywał. Mütterehen,

przelekniona, ustępowała; jednak nazajutrz znów cichaczem robiła swoje. Nie było z nią rady.

Nieraz dom się trząsał od gniewu pana Müllera; wszyscy wyglądali z okien zaciekawieni; tylko Franciszek, pomimo wszystko, siedział pochylony nad książką, jak gdyby nic.

Raz w takiej chwili, kiedy okno było otwarte, skoczyłem na przymurek i huknąłem mu nad uchem z całych sił:

— Franek!

Podniósł nagle głowę, jakby go kto ze snu zbudził, i spoglądał na mnie zdziwiony, oczyma pełnymi jeszcze marzeń przerwanych, które w nich pozostały.

— Jakże ty możesz czytać? — zawołałem.

— Albo co? — zapytał naiwnie. Nie wiedział Dawet o domowej burzy.

W tej chwili głos pana Müllera zagrzmiął, takim basem, iż zrozumiał o co chodziło.

— A... a... — wyrzekł przeciągle — nie uważałem.

I zagłębił się znowu w swojej książce.

Miał właściwość ludzi pograżonych w abstrakcjach: pochwycony niemi, mógł nie słyszeć i nie widzieć rzeczy najbliższych.

Myślałem nieraz: co za przyjemność w tem czytaniu znajdować może; aż kiedyś w niedzielę, gdy deszcz lał jak z cebra i nie wiedziałem co robić, poprosiłem go o pożyczenie jakiej książki.

Zdziwił się bardzo. Żądanie to było wielką nowością.

— Jakiejże chcesz? — zapytał.

— Jakiej? No, książki!

Uśmiechnął się swym zagadkowym uśmiechem, pomyślał, przerzucił parę obdartych tomów i wręczył mi jeden.

— Tobie — rzekł — podobać się powinna Łucya z Lamermooru.

Zrozumiałem, że miał na myśli Frydę, Józję i różne inne brunetki i blondynki, któremi zajmowałem się ciągle.

— A tobie? — spytałem, trochę urażony.

— Ob! ja? Ja wolę Rob Roya albo Ivanhoe. Chociaż Łucya także piękna, bardzo piękna.

Wziąłem tedy Łucyę, przyniosłem do domu, położyłem się za parawanem i zacząłem czytać. Tymczasem, nie wiem jakim sposobem, przewracając kartkę, spojrzałem na żółtą damę i jej podniesiony trzewiczek. Ten trzewiczek przypomniał mi pannę Julię, córkę profesora matematyki. Cała klasa nazywała ją Julką. Potem kolejną poszły różne inne wspomnienia, coraz mglistsze, coraz mniej wyraźne, aż... obudziłem się dopiero nad wieczorem, słysząc zmieszane głosy. Przyszli goście. Potem już nie wiem, co mi przeszkodziło, dość, że poza pierwsze kartki nie posunąłem się nigdy.

Na drugi dzień pierwsze słowo Franka było:

— Cóż Łucya?

Wówczas dopiero przypomniałem sobie książkę.

— Ledwo ją zacząłem: nie miałem czasu. Uśmiechnął się, nic nie odpowiedział. I odtąd nie mówiliśmy o niej, aż dopiero w parę tygodni prosił, bym książkę oddał, jeśli mi nie potrzebna.... Naturalnie, że nie była potrzebna. Przyznam się, że z pewną trudnością odszukałem biedną Łucyę, gdzieś na szafie, pod grubą warstwą pyłu. Zapomniałembył o niej na śmierć.

Odniosłem ją rano, idąc do szkoły. Franciszek pochwycił książkę i długo przewracał jej karty, szukając widać miejsc ulubionych. Tak się tem zajął, że gdyby nie ja, on, tak punktualny, zapomniałby o godzinie.

— Zwaryowałeś, Franek! — zawołałem — już późno!

Z zalem zamknął książkę i położył ją na półce.

— Trzeba iść — rzekł z westchnieniem.

Co on w tej książce widział? Rozumiałem niewyraźnie, iż jeden dla drugiego stanowimy zagadkę, i nie mogłem się z tem oswoić, bo kochałem Franciszka, choć byliśmy tak różni w usposobieniu i w zamiłowaniach naszych. Później w życiu spotkałem się ze zdaniem, iż człowiek każdy jest zagadką dla wszystkich innych. Może to i prawda?

W milczeniu przeszliśmy połowę drogi do szkoły.

— Powiedz mi — zagadnąłem wreszcie — co się tobie w tej Łucyi podoba?

Wahał się przez chwilę. Potem wyrzekł z determinacją nagle:

— Łucya jak Łucya, ale Edgar! tak dzielny.... szlachetny... nieszczęśliwy. Edgar cię także nie zajął? — dodał po chwili, patrząc mi w oczy badawczo.

Nie wiem, co bym był odpowiedział. Fala uczniów, biegnących do klasy, uwolniła mnie od tego kłopotu.

Myślałem, że zaraz w czasie pauzy Franciszek powtórzy swoje pytanie. Ale nie: Łucya i Edgar jakby w wodę wpadli.

W klasie Franciszek nie miał miru. Naprzód, nazywał się Müller, wiadano, że z urodzenia był Niemcem nawet religii uczył się nie w szkole, tylko u pastora; przytem było w nim coś odrębnego, co nie pozwalało na poufalskość. Ale, że był pierwszym uczniem, że nigdy przysługi nie odmówił koledze, szanowano go.... może też szanowano dla tego, że jak go kto zaczepił na seryo, bił bez pardonu, a rzucał się choćby na dziesięciu. Wówczas oczy jego miały połysk gorejącej stali, twarz nabierała barwy, przetwarzała się, i ten blady, wąty, niepozorny chłopiec miał w sobie coś przypominającego lwa.

Byliśmy już w czwartej klasie, kiedy zdarzyła się z tego powodu awantura. Właśnie przybył do tej klasy nowy kolega

— Wilski. Ogromny, roz

rosły, dostał odrazu przydomek olbrzymia, bo głową prawie całą wyższy był od nas wszystkich. Nie wiem, ile miał lat, ale to pewna, że musiał być i znacznie starszy także, bo mu się zaczął wysypywać muszek około warg pełnych, czerwonych, nieco wywiniętych, jak u murzynów.

Szeptano, że ojciec odwiózł go do Warszawy w nadziei, iż lepiej uczyć się będzie; że w Kaliszu siedział po trzy lata w jednej klasie...

Nie przeszkadzało mu to być bardzo zarozumiałym; opowiadał, że w Kaliszu trząsł, nietylko swoją klasą, ale całym gimnazjum, a mówiąc to, miał taką minę, iż widocznie to samo chciał robić u nas.

Niedługo skupił około siebie część towarzyszy; bo już to niech tylko kto ma do czego pretensje, zaraz znajdują się tacy, co mu przyznają prawo. W życiu widziałem to tyle razy, że się przyzwyczaił. Wówczas była to dla mnie nowość, i Wilski gniewał mnie w miarę swej arogancji, bo arogancję miał olbrzymią.

Zdaje mi się, iż widzę przed sobą jego brutalną, przyplaszczoną twarz, niskie czoło, małe, szeroko rozsadzone oczy i murzyńskie wargi.

Bogaty był, sytał pieniędzmi, zarówno jak kułakami, tak sobie z fantazyi, jakby świerzbiały go ręce i kieszeń, a śmiech miał głośny, suchy, drażniący, jakby kto przesypywał orzechy. Śmiał się nieustannie, śmiał się, czy było czy nie było z czego, rano i w wie

czór, w deszcz i pogodę, z kolegów i professorów, z tą różnicą, iż z kolegów śmiał się w oczy, a z professorów po za ich plecami. Gdy zaś który się przypadkiem odwrócił, umiał zmienić front w jednej sekundzie, nawet skierować na kogo innego uwagę i podejrzenia. Słowem, miał wszystkie cechy brutala, podszytego tchórzem i nikczemnikiem. Nie wiem, czy się uczył, bo można go było spotkać o każdej godzinie na ulicy lub w ogrodzie. Wypracowania przedstawiał zawsze doskonale, na lekcji odpowiadał jako tako i dostawał same piątki.

— Wilski dobry uczeń — mówiono.

Ja podejrzewałem, że wypracowania pisał ktoś za niego, a który z kolegów dawał mu znaki, lub roztwierał książkę nieznacznie w odpowiednim miejscu, kiedy na lekcji wyrwał go professor. Bo już wzrok to miał doskonały — widział o milę. Przytem nigdy się nie zmieszał i, choć palnął bąka, umiał go zamazać, a jak stanął w ławce, opierając brudne ręce na pulpicie, o wiele dla niego za niskim, i spojrzął na profesora maleńkimi oczyma, pewny siebie, i bez zajknięcia mówić zaczął, to, choćby nawet gadał same głupstwa, zdawało się, że każdego w kozi róg zapędzi. Przyglądałem mu się ze zdumieniem i myślałem sobie: "Niech go kaci", bo czułem jakoś zawsze coś niepewnego w jego nauce, chociaż admirowała go już prawie cała klasa.

Franciszek przyglądał mu się przez dni parę uważnie i powiedział:

— Fanfaron.

Dziś powiedziałby: "blagier", ale dawniej tego wyrażenia nie znano, chociaż rzecz sama była jak. świat stara.

Wydawszy taki sąd, Franciszek przestał zajmować się Wilskim.

Mnie ten Wilski drażnił!

— Co on ci wadzi? — mitygował Franek. Ale ja nie miałem jego niemieckiej flegmy, natura moja była zapalna. Kiedy kochać? — to kochać, a niecierpieć — to już z całego serca. Jego murzyńskie wargi prześladowały mnie tyle prawie, co żółta dama i jej maleńki trzewiczek, tylko na inny sposób.

— Czy to przypadkiem nie sprawa Julki? — zagadnął mnie raz Franek, kiedy, powracając ze szkoły, znów wymyślałem na Wilskiego.

Zaczerwieniłem się po same białka, bo już cię odgadł.

Julka uśmiechała się do Wilskiego więcej niż do całej klasy, i to podobno drażniło mnie szczególnie. Ojciec jej mieszkał w szkolnym gmachu, a ona zawsze umiała się tak urządzać, iż przechodziła przez dziedziniec, kiedyśmy się tam bawili. Albo wracała z miasta z jakim sprawunkiem, albo też wychodziła, nigdy sama: obyczaj wówczas na to nie pozwalał. Czasem miała z sobą przyjaciółkę — pannę Anielę,

o tyle brzydką, o ile Julka wydawała mi się śliczną; albo młodszą siostrzyczkę Wandzię, której oczy, jak tarczki, biegały za naszymi piłkami; albo — chociaż służącą.

Jeśli słońce lub jakie domowe zajęcie nie pozwoliło wyjść Julci, to musiała choć na chwilę wychylić się z okna. A co to wówczas było ukłonów, pozdrowień! Wszyscy mieliśmy zawsze różne interesy do jej ojca i z tego powodu znaleźmy ją osobiście. Pan profesor miał zwyczaj po lekcjach kłaść się na małą drzemkę; panna Julia, jako dobra córka" strzegła snu ojcowskiego ona zajmowała się całym gospodarstwem, bo matki nie miała.

Interesantów ojca przyjmowała bardzo grzecznie, zabawiała rozmową. Cóż dziwnego, że kochało się w niej, jeśli nie całe gimnazjum, to przynajmniej klasa czwarta, w której ojciec dawał najwięcej lekcji? Wydawała się nam wszystkim zachwycającą. O ile sobie dziś przypominam, była to tęga, biała szatynka, miała czarne oczy bez wyrazu, jak dwa rodzenki w rumianą struclę wsadzone.

Niektórzy utrzymywali, że była skąpą, pasjonatką, wyrachowaną w najwyższym stopniu, a pomiędzy uczniami chciała sobie upatrzeć męża, dla tego najstarsi mieli największe laski. Naturalnie, tym wieściom, szerzonym przez złośliwych, żaden z faworytów nie wierzył. Rzecz wiadoma, że ludzie

są zazdrośni. To te małe pędraki, na których ona nie zważała, mściły się w ten sposób!

Wilski zdobył ją sobie odrazu. Kiedy przechodziła, zaraz jego naprzód oczyma szukała. Krążyły głuche wieści, że nosił jej bukiety. Nikt z nas tego nie widział, ale wszyscy wierzyli i powtarzali jedni drugim w tajemnicy.

Edzio Halczewski, najmłodszy z nas, tak zwany "wróbel", przysięgał się, że nie tylko bukiety, ale i kosze owoców, i faski masła, i różne prowianty przysyłałi ze wsi jego rodzice.

Halczewski znał dobrze Wilskiego, gdyż rodzice ich sąsiadowali z sobą. Znieść go nie mógł. Mówił zawsze: — To podły charakter. Obaczycie co z niego będzie.

A Edzio Halczewski mógł sobie być nie tęgim uczniem, ale słowa przeciw niemu nie można było powiedzieć. Pocziwy z kośćmi, przywiązał się do Franciszka i do mnie jak brat.

Na początku zimy Wilski doskonale już obsiadł się w klasie i nawet nią rządził. Zaczął też systematycznie dokuczać Franciszkowi, aż wreszcie któregoś dnia Obadwaj, wchodząc rano do klasy, zastaliśmy całą pierwszą ławkę zajętą. W tej pierwszej ławce siadał zawsze Franciszek, bo miał wzrok krótki i nie mógł z daleka dojrzeć

tego, co nauczyciel kreślił na tablicy, zbliżył się więc do Marczyńskiego, który zabrał jego miejsce.

— Posuńże się — wyrzekł. Nie przypuszczał wcale złej woli. Marczyński miał ochotę ustąpić — widziałem to dobrze; ale Wilski spojrzął groźnie, i on nie odpowiedział nic, tylko czemprędzej pochylił się nad książką.

— No! ustąp że się — wyrzekł już trochę niecierpliwie Franciszek, bo nie cierpiał nieporządku i czasu tracić nie chciał. Słyszac tak energiczną interpelację, Marczyński zaczerwienił się i nieznacznym ruchem wskazał Wilskiego, którego płaska twarz i gęsta czupryna wznosiła się nad całą klasą.

Była chwila głuchego milczenia. Wszyscy zrozumieli, że do jakiegoś starcia przyjść musi. Franciszek był w swoim prawie i mógł powołać się na profesorów, ale nie było tego zwyczaju w zatargach pomiędzy kolegami, a nawet uważane to było za rzecz hańbiącą.

Oczy Marczyńskiego wskazały wyraźnie winowajcę. Idąc za kierunkiem jego wzroku, Franciszek zwrócił się do Wilskiego, jakby z zapytaniem.

Patrzył tak przenikliwie, tak surowo, iż olbrzym nie mógł wytrzymać i spuścił oczy. Rozzłoszczony tą mimowolną porażką, mruknął ordynarnie:

— Nie dla psa kielbasa.

Franciszek zbladł, w oczach zaczęły mu się zapalać czerwone płomyki.

Nagle skoczył na pulpit, jak pantera, i ztamtąd rzucił się na olbrzyma. Za chwilę Wilski był powalony wściekłymi razami, okryty krwią i atramentem.

Powstał w klasie hałas tak wielki, iż nikt nie słyszał wejścia nauczyciela. Pierwsza godzina przypadała na ojca Julki.

— A toż co? — zawołał — Müller, co ty robisz?

Z trudnością obroniono olbrzyma. Franek był w stanie go zabić. Chwilę jeszcze dyszał ciężko, błąd z zaciśniętymi wargami. Pot kroplami wystąpił mu na czoło. Był w tej chwili podobny do obrazu Archanioła, deptającego szatana, który widziałem w jakimś kościele.

Wilski podnosił się powoli, obcierał twarz, czerwony jak burak, ze złości, wstydu i rąw. Powagę w klasie stracił odrazu.

Dzieci, zarówno jak ludzie, gardzą zwycięzonymi. Najlepsi przyjaciele jego się śmieli. Powalił go taki szczur, jak Franciszek; Halczewski był uszczęśliwiony; ja z tryumfem spoglądałem na wszystkich. Zwycięztwo nad Wilskim zdawało mi się zwycięztwem sprawiedliwości — czemś na kształt zwycięztwa Dawida nad Goliatem.

Pełen tego uczucia, spojrzałem na nauczyciela, którego oblicze podobne było do oblicza Janusa;

spoglądało z dobrotliwym współczuciem na zwyciężonego, z wielką surowością na zwycięzcę.

— No, Wilski, jakże się czujesz? — zapytał. Olbrzym milczał zgnębiony. Krew puściła mu się z nosa, a ten mały wypadek posłużył profesorowi do patetycznego wykrzyku:

— Patrz, Müller, coś zrobił kolede. Potem dodał:

— Przepróż go zaraz.

— Ja! nigdy! To on mnie obraził. Słowa te wybiegły z ust Franciszka.

— Tak, panie profesorze — odezwał się Halczewski, ja, a z nami połowa klasy.

Rzecz oparła się o władzę szkolną i Franciszek miał iść do kozy na całe dwadzieścia cztery godziny. Z tego powodu wrzało w klasie, jak w ulu, na każdej pauzie, a Wilski tryumfował, chociaż stracił powagę i miał już tylko kilku zauszników — same wybiarki.

Ale Franciszek do kozy nie poszedł, przemocą wydarł się z klasy, woźnych poturbował i bez czapki, w podartym mundurze, uciekł do domu.

— Wielka ci rzecz była przesiedzieć w kozie? — pytałem go potem.

— Siedziałbym, gdybym był winien — odparł bez namysłu — aleja znieść nie mogę niesprawiedliwości. Biedny Franciszek! cały malował się w tych słowach. Jakże nie miało mu być potem źle na świecie?!

Najzabawniejszym było, że gdy stary Müller dowiedział się o wszystkim, przyznał synowi zupełną słuszność.

— On ma recht — mówił swoją łamaną polszczyzną.

Rezultat ostateczny awantury był taki, że z wielką biedą Müller przeniósł syna do innego gimnazjum. Wtedy już nie siadaliśmy razem na jednej ławce. Trzeba przyznać, że Franka żalowała cała klasa, a już najwięcej ja i Halczewski. Ale Halczewski także wkrótce opuścił gimnazjum i Warszawę, bo rodzice jego przenieśli się w Poznańskie.

Rzadko teraz nawet spotykałem się z Franciszkiem. On musiał wcześniej wychodzić z domu, ażeby zdążyć na czas na Krakowskie Przedmieście, tam, gdzie dziś uniwersytet, i wracał też później odemnie.

Z początku było mi bardzo przykro; wygrażałem Wilskiemu, jako sprawcy złego. Nawet z tego powodu i Julka straciła urok w moich oczach. Nie wiedziałem wprawdzie w czym różniła się od Łucyi, to jednak było pewnem, że z Wilskim miała jakieś konszachty i uśmiechała się do niego bezwstydnie. Tymczasem sprowadzili się do naszego domu nowi lokatorowie i wyłącznie zajęli moją uwagę.

W starej Warszawie nie zmieniano co rok mieszkania, jak się to teraz dzieje; ludzie trzymali się na miejscu, domy były mniejsze, nowy lokator stanowił

wypadek ważny dla całej kamienicy. Mieszkańcy jej troszczyli się o to, jakich będą mieli sąsiadów. Przytem nowi lokatorowie, którzy sprowadzili się od Świętego Jana do domu pana Müllera, byli nie lada czem. Najęli główny apartament na pierwszym piętrze, z balkonem: nie dość im było czterech pokoi, jeszcze z przyległego dwa przybrali. Myśleliśmy, że się sprowadzi ogromna rodzina. A tu raptem trzy osoby: pan, pani i panienka. Bo stara jakaś kuzynka, stryjeczna siostra samego pana, należała raczej do służby.

Trzymali powóz i konie. Słowem — ogromne państwo.

Pan Müller odnawiał dla nich całe mieszkanie, nawet tapetowano parę pokoi, co wówczas nie było wcale rzeczą zwyczajną; ale Prezes — nowy lokator był Prezesem — tak chciał i tak być musiało. Nigdy nie widziałem, ażeby pan Müller był dla kogo z tak wielkim respektem. Za jego przykładem wszyscy mocno się zajmowali przybyszami, W naszym domu lokatorowie zmieniali się rzadziej jeszcze niż gdzieindziej.

Główny apartament zajmowała dotąd jakaś sparaliżowana staruszka, którą w lecie w fotelu z kółkiem wywożono na balkon. Umarła w zimie, a lokal stał dotąd pustkami.

Dobranie aż dwóch pokoi sąsiednich było faktem niesłychanym, i pan Müller długo się na to nie mógł

zdecydować. Nie miał też dotąd nigdy lokatorów którzyby trzymali konie. Trzeba było wyprzątać stajnię i wozownię, obrócone na jakieś składy. Pani Müller była z tego powodu ciągle w bardzo złym humorze. Zły humor odbijał się na służącej, którą kiedyś zbiła bez powodu. Służąca szlochała w niebogłose, pani Müller krzyczała, pan Müller piorunował. Słowem, była z tego wielka awantura. W lecie cały ruch domu koncentrował się na dziedzińcu, więc wiedzieliśmy wszyscy, co się działo w apartamencie pierwszego piętra. Przez okno naóścież otwarte buchał z nich zapach terpentyny, kleju, farby. Potem któregoś dnia zaciągnięto pokoje, potem było słycać hałas poruszanych szczotek, a ojciec mój, który był bardzo ciekawy, domem zaś interesował się jak własnym, zajrzawszy tam, oświadczył, iż salon wygląda po królewsku.

Potem było parę dni ciszy, a potem któregoś rana zaczęły przybywać meble; niektóre przywoziły konie Prezesa, inne przynoszono na tragach. Pyszne to były meble! Cały dom wyległ, by je zobaczyć. Mahoniowe, z delikatnymi wyrzynaniami z jasnego drzewa, kryte karmazynowym Utrechtem: widocznie przeznaczone były do salonu. A co za lustra w złożonych ramach! co za obrazy! kandelabry! marmurowe kolumny: ani wiedziałem, że takie piękne rzeczy istnieją na świecie. Byłbym pragnął choć przez dziurkę od klucza zajrzeć, gdy to wszystko ustawią.

Na dziedzińcu było hałasu, krzyków, nawoływań co nie miara; służba Prezesa krzątała się, ale ani jego samego, ani pani widać nie było.

Wszyscy mówili o nowych lokatorach. Aż wreszcie któregoś rana przyjechali. Nie byłem wówczas w domu: matka właśnie posłała mnie za jakimś sprawunkiem. Powróciwszy, dowiedziałem się zaraz o fakcie, bo na spokojnym, małym dziedzińcu zobaczyłem powóz, z którego wyprzęgano konie.

Naturalnie, przepadałem za końmi. Czy jest u nas chłopiec, coby za nimi nie przepadał? Dotąd były to jednak uczucia czysto platonicznej natury. Nie mogłem przecież zawiązywać stosunków przyjaźni z dorożkarskimi szkapami, które stały na rogu ulicy, lub na bankowym placu. Teraz nagle spasio gniadosze Prezesa wydały mi się istotnie wyjątkowymi; przypatrywałem się ich ruchom, słucałem rzenia, niepokoił mnie najmniejszy hałas, dochodzący ze stajni — i tak mi te konie wjechały w głowę, iż gdyby nie wakacje, byłbym niezawodnie dostawał w klasie same pałki.

Szczęściem, miałem całe dnie wolne i, nie tracąc czasu, zaprzyjaźniłem się z Walentym, stangretem. Wskutek tej przyjaźni pozwalał on mi wkrótce wyřęcać się w pojeniu i czyszczeniu koni, a nawet pomagać sobie, gdy zaprzęgał. Gdybym tak był mógł kiedy powozić lub chociaż z kozia asystować tej czynności, do której rwała się cała moja istność!

Nie wiem, czy w tych chwilach gorących pożądań nie marzyłem o piaskowym płaszczu z peleryną, jaki nosili wówczas doróżkarze. Ze stajni nie można mnie było często zwołać na obiad lub herbatę. Powracając do domu, przynosiłem nieznośną woń stajni. Ma się rozumieć, że Adaś szedł za moim przykładem.

Matka nas lajała, ale zaledwie się odwróciła, już Obadwaj znów robiliśmy swoje. Skarżyła się ojcu. Ojciec nie brał tych rzeczy do serca.

— Nowość! — odpowiadał obojętnie — znudzi im się, a zresztą przecież to wakacje!

Rzeczywiście, znudziło się Adasiowi, mnie — nie. Do gniadoszów przyłączył się drugi, bez porównania silniejszy magnes: panna Helena. Panna Helena wprawdzie nie siedziała w stajni, ale z Walentym, który pełnił w wielu wypadkach służbę pokojowca, można było o niej mówić!

Po raz pierwszy zobaczyłem ją na balkonie. A raczej zobaczyłem, nie ją, lecz jej nóżkę, jak na pokusę wysuniętą po za balustradę. Może to odległość sprawiała, ale zdało mi się, iż ta nóżka była równie maluchną, jak nóżka żółtej damy. Szedłem właśnie do jednego z kolegów i stanąłem jak wryty, widząc zgrabny trzewiczek na białej pończoszcze. Potem dopiero podnosząc oczy, zobaczyłem białą muślinową sukienkę i niebieskie wstążki pelerynki — wszystkie panny nosiły wówczas pele

rynki — a panna Helena była już dorastającą panienką; kiedy jednak wzrok mój doszedł do głowy, spostrzegłem twarz zupełnie inną, niż zapowiadał strój, biała sukienka i pelerynka z niebieskimi wstążkami.

Nie była to twarz różowego, modrookiego aniołka, nie była podobną do żadnej z tych, które widywałem i spodziewałem się zobaczyć. Była tam masa włosów: krótko ucięte, zwijały się w niemożliwe pukle; wszędzie ich było pełno: na czole, na szyi, na skroniach, zdaje mi się nawet, że zaglądały aż na policzki, a wśród nich błyszczały oczy, podobne do rozżarzonych węgli, niby oczy dzikiego kota. Jak żyję, takich oczów nie widziałem, no, i prawdopodobnie nie zobaczę.

Gdyby mnie kto spytał: jak wygląda prezesówna, byłbym bez namysłu powiedział, że jest brzydką. Fakt ten był dla mnie niewątpliwym, a jednak twarz jej stanęła mi w pamięci tak wyraźnie, iż zakryła sobą najpiękniejsze, i choćbym był chciał nawet, nie mógłbym zapomnieć o niej.

Nie ja jeden prezesównę uważałem za brzydką: wszyscy w domu mieli ją za taką. Podobno nawet, jak mi to potem mówiono, matka nie lubiła jej z tego powodu.

Ona jednak zdawała się wcale nie zwracać uwagi na swoją powierzchowność. Stała na balkonie, brodę opierając na złożonych rączkach, i rozglądała się wkoło ciekawie, jak kotek, którego na nowe

miejsce przywiozą. Patrzała jednak bez porównania mniej na ulicę i przechodzących ludzi, niż na dachy i drzewa, zieleniące się po nad niemi, jakby chciała sobie zdać sprawę z tego, gdzie się znajduje, jakie gmachy lub ulice dostrzega.

Przekrzywiała główkę na różne strony — a pomimo masy włosów, głowa ta była kształtną i okrągłą jak jabłuszko. Kręciła się po balkonie, schylała, podnosiła na paluszki, przyczem jej ruchliwe rysy zdradzały natężenie, niecierpliwłość, skoro czego wytłómaczyć sobie nie mogła — radość zaś, gdy poszukiwania jej zostały uwieńczone skutkiem. Trwało to czas jakiś. Potem, nagłym ruchem spłoszonej wiewiórki, dała susa i ukryła się w głębi mieszkania. Ulica była tak cicha w tej chwili, iż słyszałem szelest jej drobnych stopek, ginący w oddaleniu. Pokój jej miał okno od dziedzińca. Niedługo nauczyłem się je odróżniać. Gdy okna były otwarte, można było dojrzeć wszystkie sprzęty. Dziwny to był pokój. Stała tam wielka oszklona szafa, w niej były książki i jakieś dziwaczne narzędzia, którym podobne widziałem w gabinecie fizycznym; mógłbym przysiąc, że był tam mikroskop... chociaż musiałem się mylić. Cóżby panienska mogła mieć wspólnego z mikroskopem? Oprócz tego na szafie stały różne gipsowe popiersia, nawet ręce i nogi gipsowe. Dowiedziałem się potem, że panna Helena rysowała je, nawet sam widziałem to nieraz. Na oknie stał słój

z czerwonymi rybkami, przy nich wisały klatki z kanarkami; z papugą, ale najwięcej miejsca zabierał kot faworyt, który żył w przyjaźni z ptakami i wiecznie siedział na kolanach swej pani. Słowem, była tam cała menażerya. Panna Helena zdawała się najszczęśliwszą, kiedy wśród niej przebywała. Pieściła papugę, całowała kanarki, kota wiecznie trzymała na ręku, a rybkom przyglądała się całe godziny, prócz tego grała, rysowała, czytała i miała mnóstwo nauczycieli. Zwierzęta stanowiły jej rozrywkę, spędzała z nimi czas, który inni spędzają z rodziną.

Bo już to u prezesostwa musiało być strasznie nudno. Pomimo wszystkich wspaniałości apartamentu, prowadzili życie rozpaczliwie jednostajne. Każdy siedział zamknięty w swoim pokoju, niby w więzieniu; nigdy tam nie było słyhać śmiechu ani gwaru rozmowy, chyba, że panna Helena mówiła do papugi, wielkiej, białej, z żółtym czubem. Nawet ta papuga, zamiast słów, odzywała się tylko przeraźliwym krzykiem.

Goście bywali bardzo rzadko, i to tylko w godzinach popołudniowych. Czasem zajechała jaka karetą, lokaj zeskakiwał z kozła i biegł na górę meldować. Zdarzało się, że z karety ktoś wysiadł i zabawił pięć minut. Najczęściej i tego nie było; lokaj wskakiwał na powrót na kozieł i karetą odjeżdżała. Prezesowa była nieubrana, chora, lub wprost

nie przyjmowała. U nas nigdy nic podobnego miejsca nie miało. Żeby nawet przyszedł największy nudziarz, wszyscy na wyścigi starali się go zabawić i przytem zawsze rozbawili się sami.

My, w porównaniu z prezesem, byliśmy ostatnimi biedakami, a jednak, doprawdy, pomimo apartamentu, świetnych mebli, nawet koni, nie byłbym pomieniał z nim naszego życia. Ojciec był najweselszym z ludzi, zawsze miał pełno żartów, conceptów, zawsze był w dobrym humorze.

— Albo mi to źle? — mówił nieraz. — Mam, chwała Bogu, niezłą pensję, niezłe stanowisko, niezłych zwierzchników, niezłych przyjaciół, niezłe dzieci i najlepszą pod słońcem Józieńkę.

Te ostatnie słowa wymawiał zawsze z pewnem wzruszeniem, przytem jeśli matka była w pokoju, całował ją w rękę, chociaż ręka jej była zwykłą ręką pracowitej kobiety, z pokłótemi igłą palcami, z odciskami od żelazka i kuchennych rądli. W takich razach matka odpowiadała niechybnie:

— Oj ty! ty! Ktoby dla ciebie dobrym nie był?

Słowa te były bardzo pospolite, bardzo zwyczajne, no, ale uczucia to może do zwyczajnych nie należały. Że matka była dobra, to prawda, w domu budziła się zawsze najpierwsza, choćby nawet ostatnia spać poszła, i zaraz myślała o ojcu, szła do kuchni, ażeby mu zrobić kawę. Czynności tej nigdy nie powierzała Marysi, bo też nikomu tak, jak jej, iść

nie mogło o podwójny, sprzeczny rezultat: żeby kawa była jaknajlepsza i żeby jej jaknajmniej wyszło. Ażeby ten rezultat otrzymać, matka robiła różne próby i doświadczenia, roztaczała pomysłowość godną uznania, i zaręczam, żaden chemik, pracujący nad jakim nowym odkryciem, nie spogląda z takim niepokojem na retortę, jak ona w twarz ojca, kiedy zaprowadziła jakie ulepszenie i pytała:

— Cóż, Lutku! czy dziś dobra kawa? Ojciec niechybnie odpowiadał:

— Wyborna! jak zawsze.

Matka nie poprzestawała na tem zapewnieniu. Badała, czy szklanka — filiżanek u nas nie było — do szczytu wypita, a nadewszystko badała wyraz ojca.

Raz tylko, pamiętam, ojciec skrzywił się nieznacznie, bardzo nieznacznie. Matka potem była cały dzień nieswoja, a na obiad dała taką leguminę jakby to było największe święto.

Wracając z biura po odbyciu pańszczyzny, jak nazywał ojciec swoją kilkogodzinną pracę, zwykle już wchodząc na dziedziniec, zaczynał wyśpiewywać, a z wyboru nuty i tekstu można było wnosić o jego usposobieniu, był to bowiem nieomylny termometr. Im ono było weselsze, tem śpiew był dramatyczniejszy. Naprzykład, jeśli śpiewał na całe gardło:

"Niech ryczą spienione fale,
Niech burza wstrząsa cały ląd,

Niech wichry, szumiąc zuchwale, Mnie pędzą w bystry morza prąd. "

To już był w wybornym humorze. Jeśli usłyszeliśmy: "Czy widzisz na tej skale", albo: "Młoda, szesnaście lat, Alicję we Florencji Uwielbiał cały świat", to wszystko było w porządku i nic nie zakłócało ojcowskiego spokoju. Ale jeśli, broń Boże, cedził przez zęby:

"Ty ranie nie zwiedzisz, kuzyna swego,

Ty mnie nie zwiedzisz, nie,

Ty oficerów króla Sardyńskiego

Przychodzisz zbierać tu. "

To już musiał być z czegoś bardzo nie rad.

Nie mam dotychczas pojęcia, co to za jedni byli ci oficerowie króla sardyńskiego, kto ich zbierał i jaki kuzyn to zbieranie wyszedł? Miałem nawet nieraz ochotę zapytać ojca, ale ponieważ ten śpiew oznaczał właśnie najniższy stopień dobrego humoru, wstrzymywałem się od tego.

Przyznać trzeba, że był to objaw rzadki. O tych sardyńskich oficerach słyszeliśmy zaledwie parę razy do roku.

Jak tylko rozległ się na dziedzińcu baryton ojca, zaraz w kuchni Marysia pod dyktando matki podwajała energię i w momencie wazę stawiano na stole, nakrytym już oddawna.

Po zupie rozpoczynała się gawędka. Ojciec

powracał z biura, pełen najrozmaitszych wiadomości. Nietylko opowiadał nam o wszystkich wypadkach, o wszystkich plotkach w mieście i na prowincyi, których wówczas jeszcze nie notował jeden jedyny Kuryer, jaki posiadała Warszawa; wiedział także zawsze co się dzieje we wszystkich krajach Europy, ba! nawet w najodleglejszych częściach świata.

Wiedział, co porabiał, co myślał król Ludwik Filip, młodziutka królowa Wiktorya, Sir Robert Peel, jej minister, i sułtan turecki.

Skoro jednak ojciec tyle zawsze wiadomości z biura przynosił, pańszczyzna nie musiała być bardzo ciężką. Co jednak najciekawsze, iż w biurze wiadome były najskrytsze polityczne tajniki. Wiedziano, naprzykład, co pomiędzy sobą uradzili najwięksi dyplomaci, i to we wszystkich kwestyach, ba! nawet co w głębi swego pałacu sułtan mówił z wezyrem. Sułtan cieszył się szczególną uwagą i zaufaniem ojca; codzień opowiadał nam coś nowego o jego planach, o tem co chce, i co może uczynić.

Matka okazywała w niektórych razach sceptycyzm, czyniący zaszczyt jej przenikliwości.

— Bój się Boga, Lutku — pytała z niedowierzaniem. — Czy to tylko prawda?

— Jako, czy prawda!

Na tym punkcie nie znosił opozycyi. Rzecz pochodziła z najpewniejszych źródeł. Gniewał się nawet i mówił z miną obrażoną:

— Dziecko jesteś, Józiuniu: przecieżbym nie powtarzał!

Ten ostatni argument, zapewne, przekonywał matkę. Może też nie uważała za stosowne sprzeczać się o to, co powiedział lub nie powiedział sułtan, kiedy tyle bliższych przedmiotów pola do sprzeczki nie nastręczało.

Ojciec jednak, zniżając głos tajemniczo, dodawał, iż to i wiele innych rzeczy, których powtórzyć nie może, znajduje się w zagranicznych gazetach.

Naturalnie, iż podobne oświadczenie musiało nawet niedowiarków przekonać. Zagraniczne gazety— było to wówczas dla takich, jak my, ludzi coś nieokreślonego, tajemniczego.

— Już, powiadam ci, mówili mi tacy!... — kończył ojciec, a raczej nie kończył.

Czytelnicy zagranicznych gazet, którzy dzielili się poczerpniętymi wieściami, nie mieli nazwiska, ale zaciśnięcie ust, zmruczenie powiek i ruch ręki świadczyły dosadnie o ich znaczeniu.

W ten sposób rozmowa ojca znaczyła więcej, niż przeczytanie jakiejś tam gazety; pomiędzy sztuką mięsa a pieczenia dowiadaliśmy się najskrytszych arkanów polityki. Pomimo to codzień pożyczaliśmy Kuryerka od jednego z lokatorów, który go posiadał, a ojciec wyczytywał go sumiennie, począwszy od wiadomości kościelnych, a kończąc na zgubionych pieskach. Ciekawsze rzeczy czytał nawet głośno

bo już taka była jego natura, że wszystkim dzielić się lubił.

Na tem też zaczynała się i kończyła domowa lektura.

Było u nas tak, że choć nie wiele mieliśmy roboty, nie było nigdy czasu na książkę; nikt jej nie potrzebował i o niej nie myślał. Franciszek stanowił dziwny wyjątek. Nad wieczorem, jeśli była pogoda, rodzice wychodzili z nami na spacer, najczęściej do znajomych na herbatę, albo też znajomi nawiedzali nas. Powietrza mogliśmy używać w ogródku, nawet na dziedzińcu, gdzie w gorące dnie wnoszono krzeselka i stawiano pod oknem, przez okno matka podawała nam herbatę i sama ze swoją szklanką przy niem siadała.

Nie rujnowano się na przyjęcia. Gdy kto przyszedł, postawiono parę szklanek więcej, lub przyniesiono więcej bułeczek, albo obwarzanków, które chłopcy wówczas pod różnymi nazwiskami po Warszawie obnosili, i aniśmy się obejrżeli zwykle, jak uderzyła dziesiąta na wielkim zegarze z wagami, wiszącym w jadalnym pokoju.

Dłużej czuwano tylko przy jakiej ważnej okoliczności. Ale nieraz, zasypiając, słyszałem jeszcze z drugiego pokoju, jak rodzice rozmawiali i śmieli się nawet często. Było więc u nas bardzo wesoło. Widywano same rozjaśnione twarze.

Nawet nasza Marysia, krępa, czerwona, wiejska dziewczyna,

śmiała się zawsze, otwierając usta od ucha da ucha, i zdawała się do rodziny należeć.

Zupełnie inaczej działało się u prezesowstwa. Dziwiłem się z początku: na co tak wielkie mieszkanie dla tak małej rodziny? Po jakimś czasie dziwić się przestałem, bo tam nietylko każdy miał swój pokój, ale z tego pokoju jak najmniej się na świat wychylał.

Sam prezes żył regularnie jak zegarek. Wstawał późno, pił kawę w szlafroku, pałac fajkę na długim cybuchu. Około jedenastej szedł do biura i nie wracał aż na obiad, około piątej wychodził podobno na czarną kawę, i to wcale nie do Juwena, ale do Lourse'a. Wiedziałem o tem od Walentego, który go tam woził, ile razy była niepogoda, potem zaś jechał do resursy na partyę wista i dopiero około pierwszej wracał do domu.

Pani prezesowa wstawała także bardzo późno, piła w swoim pokoju czekoladę, bo już to domem, gospodarstwem, mężem, a nawet córką, nie zajmowała się wcale. Po czekoladzie ubierała się, a ta prosta ceremonia trwała zwykle czas nieskończenie długi. Przez ten czas firanki w oknie były ściśle spuszczone, a ruch ich tylko wskazywał, iż drzwi co chwili otwierała i zamykała służąca: nie mogłem sobie wyobrazić dla czego; dopiero Walenty, który był w bardzo dobrych stosunkach z pokojówką, Kasią, opowiadał mi, iż musiała ona ciągle przynosić żelazko do włosów, to znów różne drobiazgi, to suk

nią, bo prezesowa nigdy od razu nie mogła się zdecydować, jak się ubierze. Walenty mówił coś nawet o kaprysach, fantazjach i t. p.

Dość, że prezesowa dopiero była gotowa od obiadu, i to nie zawsze. Co robiła po obiedzie, tego nikt nie wiedział; firanki zawsze były spuszczone.

Nad wieczorem zachodził powóz. Jeśli była pogoda, panna Helena wyjeżdżała na spacer, niekiedy z matką, daleko częściej z kuzynką. Prezesowa była jakąś osobliwą kobietą. Służba mówiła, że jest zawsze chora. Pomimo to wyglądała nie źle, a przytem nie było tam widać choroby, nie biegano do apteki, nie znoszono flaszek i plastrów; z tego powodu mój ojciec kręcił głową na tę chorobę i mówił, że coś tam musi być innego, bo przecież kiedy kto chory, to się leczy. Prawda, że doktor przychodził co wieczór, ale nie był to wcale zwykły doktor, objeżdżający rano swoich pacjentów. Doktor prezesowej był młody, nikt o nim nie słyszał, a przychodził co wieczór na herbatę.

Ze spaceru wracano nad wieczorem. Potem zapalano lampę w pokoju pani i w pokoju panny, i każda siedziała u siebie.

Prezesowa piła z doktorem herbatę w swym pokoju, a lokaj przynosił ją na tacy z mnóstwem przystawek

Naturalnie, prezesowa była przedmiotem ciekawości całego domu, nie wyłączając państwa Müller, a skoro tylko Walenty zajeżdżał, wszyscy usiłowali

ją zobaczyć. Nie było to jednak łatwem, bo wyjeżdżała rzadko, okryta wualami, koronkami. Lękała się słońca, wiatru, kurzu, i powóz był zwykle podniesiony.

Mnie udało się raz przypatrzeć jej doskonale, bo właśnie coś zepsuło się w zaprzęgu na mostku przed domem, kiedy ja powracałem. A że gniadosze okazywały jakiś dziwny animusz, niezgodny z powagą ich tuszy, i kręciły się niepokojone przez muchy, Walenty prosił, bym pottrzymał lejce. Pogoda była prześliczna, i powóz był odkryty. Siedziała w nim prezesowa z córką. Ja, co prawda, zerkałem na pannę Helenę, ale, ażeby się do niej dostać, wzrok mój musiał prześliznąć się po matce. Piękna była, bo piękna, trochę bladej; ubrana bardzo starannie, niedbale rozłożona w rogu powozu, nie miała nic w sobie nadzwyczajnego, chyba jakiś wyraz smutku czy znudzenia, z którym jej było bardzo do twarzy.

Twarz jej wychudła była bladej, niemal przezroczystą, wyglądała jak rzeźba ze starego alabastru, którą jedna ze znajomych matki przechowywała starannie. W tej twarzy dostrzegłem tylko oczy wielkie, otoczone ciemniejszą obwódką, których źrenice, koloru polnych habrów, zdawały się opłynione mgłą. Nad bladym czołem były jasne pukle włosów a ręce obciśnięte rękawiczką, złożone były na czarnych koronkach ubioru. Już teraz uwierzyłem, że była chorą; inaczej, jadąc w tym pięknym, szafiro

wym powozie, temi ślicznymi gniademi końmi, których sam widok był dla mnie rozkoszą, musiałyby być wesołą. Jechać powozem na spacer — nietylko mnie, ale całej mojej rodzinie i znajomym, wydawało się szczytem przyjemności. Ci, co mieli znajomych przyjeżdżających ze wsi do Warszawy własnymi końmi, czatowali na tę

sposobność i byli uszczęśliwieni, kiedy udało im się po obiedzie przejechać powozem. Dorożki wprawdzie mogły od biedy powóz zastąpić, pomimo, iż nigdy nie służyły wygodą; ale dorożka uważana była za wielki zbytek, chociaż kurs tylko złotówkę kosztował, przytem powóz prywatny dawał także zadowolenie miłości własnej. A któż jej nie ma? — Przypatrzyłem się prezesowej! — zawołałem, wpadając do domu.

A spostrzegłszy zainteresowanie na twarzy ojca, opowiedziałem ze szczegółami wszystko, com zauważył, O prezesowej często mówiono w domu; podlegała ona rozmaitym sądom. Powody jej smutku nie musiały być dla rodziców tajemnicą, ale mnie ich nie odkrywano.

— Biedna kobieta! — mówił zawsze ojciec ze współczuciem.

— Ma przecież córkę — odpowiadała niechybnie matka.

Prezesa nie lubił nikt. Wszyscy bali się jego lisiej fizygnomii i fałszywego spojrzenia, chociaż rzadko głos podnosił. Z żoną, podobno, od kilku lat nie zamienili słowa; tak mi to kiedyś w chwili wylania opowiadał Walenty, który odgrażał się ciągle, że tę służbę rzuci.

— Czemu? — pytałem zaciekawiony.

— At! — odparł Walenty — służyć to człek zawsze musi, ale takiego pana wozić to wstyd.

— Wstyd? — powtórzyłem zdumiony.

— Pewno, że wstyd — mówił, zapalając się, Walenty — ludzie tylko palcami wytykają.

— Ale dla czego? dla czego?

Walenty, pomimo całej przyjaźni, spojrział na ranie z niedowierzaniem; wielkie, wyszwarcowane wąsy ruszały mu się, jakby coś sam z sobą mówił.

— Na co to udawać? — mruknął — wszyscy wiedzą, a panicz nie ma wiedzieć! Cóż to Walenty miałby zaraz powtarzać, jak głupi?!

— Nie wiem! jak mi Bóg miły nic nie wiem! — zawołałem w rozpacz.

Z Walentym przecież nie łatwa była sprawa. Wszystkie moje prośby i perswazyje zbywał po swojemu.

— At, co tu gadać!

Więcej z niego wydobyć nie mogłem. Wziąłem raz na odwagę i zapytałem ojca. Ojciec miał znów taką naturę: co miał powiedzieć, to powie

dział od razu, ale pytań wszelkich nie lubił i z zasady, czy przyzwyczajenia, niechętnie na nie odpowiadał.

— Co prezes takiego zrobił, że ludzie od niego uciekają? — zagadnąłem raz, gdy byliśmy sami.

Ojciec właśnie tylko co skończył kuryerka i, siedząc na kanapie między oknami, palił fajkę, puszczając kłęby dymu.

Pogodna twarz jego zasępiła się nagle, jak słońce, kiedy je chmura powlecze.

— Co miał zrobić? Nic nie zrobił. Plotki jakieś i kwita — odparł krótko.

Nie dałem za wygraną: paliła mnie ciekawość.

— Jednakże ludzie....

— Odludek, znana rzecz. Są tacy — dodał po chwili, jakby z trudnością mógł to usposobienie zrozumieć. — A niechby chciał tylko przyjmować, zleciłiby się do niego.

— A ojciec poszedłby?

— Ej, gdzież tara.... Coby mu było po takim chudopachołku, jak ja? — poprawił się szybko. — Ot, pleciesz nie wiedzieć co.

Pytałem się także matki. Ona znowu odpowiadała:

— Moje dziecko: takie rzeczy Bóg osądzi; ludzie tego uczynić nie mogą.

— Jakie rzeczy?

Tego przecież dowiedzieć się wyraźnie nigdy nie mogłem. Koniec końców wynioskowałem, że wina

prezesa była jedną z tych nieokreślonych, nie formułujących się w wyraźne zarzuty i których właśnie z tego powodu zmyć niepodobna. To pewne, że nawet ci, co bezpośrednio zależeli od niego, kłaniali mu się nisko, jednak unikali zbliżenia.

Na Nowy Rok wszyscy podwładni wieszowali mu gremialnie. Otwierały się wówczas drzwi paradnego salonu, ale cała ceremonia trwała zaledwie pięć minut. Walenty, który, pomimo swoich odgrózek, służył już u prezesa bardzo dawno, opowiadał mi w chwili wylania, iż kiedyś pan jego kazał przygotować sute śniadanie i wieszających Nowego Roku hurtem na nie zaprosił. Cóż z tego: większa liczba wymówiła się brakiem czasu, obowiązkami dnia; inni znów siedzieli jak na rozżarzonych węglach, jedli nawet półgębkiem. Nie nawiązały się z tego żadne stosunki, a całe prawie śniadanie skonsumowała potem służba. Walenty uśmiechał się jeszcze i ruszał wąsami na to wspomnienie.

Choć nie dowiedziałem się, jaka była wina prezesa, nie ulegało wątpliwości, że jego córka cierpiała z tego powodu.

Współczucie moje dla niej nie miało granic i wzrastało z dniem każdym.

— Taka młoda — myślałem sobie — a tak nieszczęśliwa.

Naturalnem następstwem tych myśli była chęć pocieszenia jej. Łatwiej tego jednak było pragnąć, niż to uczynić.

Mieszkaliśmy wprawdzie w jednym domu; pomimo to, nie było sposobu, by piętnastoletni uczeń, syn nieznacznego urzędnika, zbliżył się do tej panienci, wystrojonej, jak obrazek, siadającej niekiedy z książką w rękę na balkonie pierwszego piętra.

Panna Helena miała usposobienie poważne i, choć mało wychodziła z domu, z pewnością się w nim nie nudziła. Od rana do obiadu brała lekcye; przychodzili nauczyciele, nauczycielki, a ona grała, śpiewała, malowała lub też pisała i czytała po całych dniach i nocach.

Wstawała bardzo rano, ubierała się prędko i zaraz zasiadała do roboty.

Z rodzicami widywała się zwykle tylko przy obiedzie. Każdy tam żył po swojemu i dla siebie.

Naturalnie, że o tych dziwnych sąsiadach mówiono u nas bardzo często. Rzecz dziwna: matka powstawała na prezesową, a ojciec, który jej nigdy w życiu nie widział, zabijał się literalnie za jej sprawę.

Matka wzruszała ramionami. Gospodyni, nie zajmująca się domem, żona, nie dbająca o męża, matka o córkę, a do tego przyjmująca co wieczór jakiegoś młodego doktora, według niej nie zasługiwała na żadne względy. Raz nawet przyszło z tego powodu do sprzeczki:

— niesprawiedliwą jesteś, Józiu — mówił

ojciec. — Ja ci powiadam, że taki mąż, co nigdy w domu nie siedzi, wszystkiemu winien.

— Mężczyzna, jak mężczyzna — odpowiadała matka — jemu wolno.

— Ej, Józiu! A gdybym tak ja?

— Cóż znowu ty! — oburzała się matka, dotknięta do żywego.

— A widzisz!... Przecież mężczyźni wolno — drażnił się ojciec.

— Mężczyźni, ale nie tobie.

— Alboż to ja nie mężczyzna! I mnie także wolno! Obaczysz.

— Daj pokój, Lutku! — zawołała matka ze łzami w głosie.

— I ty nie byłabyś lepszą od prezesowej.

— Albo to ona nie ma córki?

— Córka to nie mąż.

— Powinnaby się wstydzić dawać jej taki przykład. Ludzie się śmieją. Ciekawam, co to za jegomość, y, którym przepędza wieczory?

— Podobno doktor. A wiesz, Józiu, doktor i ksiądz...

Ale moja matka wcale nie była pobłażliwą w tych razach, nie czuła się wcale do obowiązków solidarności z płcią swoją, a raczej z temi jej osobnikami, co przekraczają obowiązki. Nie chciała mieć z niemi nic wspólnego. Była w niej pogarda kobiety szczęś

liwej, nigdy nie wystawionej na pokuszenie, dla grzechów wstrętnych jej uczciwej naturze.

— Wstydź się — dowodziła — ty, ojciec dzieciom, mówić takie rzeczy! Już to mężczyznom zawsze brakuje poczucia obowiązku.

— A właśnie, że nie: to kobiety są zawsze niesprawiedliwe jedna dla drugiej.

— Ja, ja, niesprawiedliwa! — wołała matka.

Od słowa do słowa, przyszło do sprzeczki, pierwszej, podobno, jaką pomiędzy rodzicami słyszałem. Ojciec się uniósł, krzyczał; matka płakała.

Nie wiem jak się to skończyło, bo musiałem pójść do Franciszka, przygotować się na jutro. Za powrotem, zastałem już najczulszą zgodę. Odtąd jednak oboje unikali tak drażliwego przedmiotu rozmowy, i nigdy więcej o prezesowej nie słyszałem. Właśnie jednak z przyczyny tej kłótni myślałem o niej ciągle; wydawała mi się bardzo piękną, córka ani umywała się do tych regularnych rysów. Pomimo to, córkę widziałem ciągle przed sobą.

Wszyscy w domu żalowali jej. Ona tymczasem zdawała się ze swego losu zadowolona. To siedziała zatopiona w nauce, a wówczas marszczyła swoje czarne brwi i pocierała czoło, jakby niecierpliwąc się, że czegoś od razu

spamiętać nie może, to znowu rzucała książkę, goniła się z kotkiem po pokoju, wyprawiała z nim różne figle, albo głaskała papugę, która odpowiadała jej krzykiem.

Stół, przy którym pisała, stał niedaleko okna i tylko w czasie wielkiego słońca spuszczała zieloną storę, na której był wymalowany jakiś krajobraz: mogłem więc na nią patrzeć do woli i, doprawdy, nie wiem, dla czego czyniłem to bezustanku, bo zgóry powiedziałem sobie, że nie ma na co. Stół był duży, zasłany suknem, leżały na nim: książki, kajety, mapy, atlasy, stał globus. Kiedy nauczyciel siedział przy niej i mówił coś, ona słuchała z oczyma utkwionymi w jego twarz, jakby wypić z niej chciała słowa jeszcze nie wymówione.

Już to oczy miała prześliczne. Nie zdawała się przecież tego domyślać. Było wprawdzie lustro w jej pokoju, ale ona nigdy przed nim nie stanęła, nawet wówczas, gdy kładła kapelusz.

Sam nie wiem, jak się to stało: powoli poznałem jej zwyczaje, wiedziałem, o której godzinie jaki nauczyciel przychodził, jakie przedmioty wykładał. W poniedziałki, środy i piątki zjawiał się stary historyk, który z pewnością znał lepiej Rzymian i Greków, niż współczesnych sobie mieszkańców Warszawy. Choć trzy razy na tydzień bywał w domu prezesa, zawsze regularnie się mylił i, zamiast do pokoju panny Heleny, szedł swym wolnym, ocieżałym krokiem prosto do drzwi matki, potem dziwił się bardzo, że są zamknięte. Uczennica zaś, słysząc jego kroki, wybiegała za każdym razem naprzeciw, wołając: "To tu, to tu, panie Szelski. "

Nauczyciel muzyki, blondyn, z długimi a la Liszt włosami, wbiegał prędko, i nie zastawszy uczennicy w salonie, wygrywał szumne pasaże. Widziałem te wszystkie szczegóły i wiele innych jeszcze. Nie wiem czemu, bo ostatecznie cóż mnie to obchodziło?

Kiedy jednak nadeszła zima, założono podwójne okna, zaklejono je szczelnie, zrobiło mi się jakoś smutno i nieswojo. Brakowało mi czegoś: może świergotu kanarków, widoku rybek, pływających w wodzie, może nawet krzyku papugi. Patrzyłem na zegarek i wyobrażałem sobie, co się tam dzieje za temi zamkniętymi oknami, przez które tylko dojrzałem jej twarzyczkę. Cóż, że jej nie widziałem: stała przedemną ciągle jakby żywa, z burym kotkiem, przytulonym do twarzy, z oczami, które, zdawały się palić i nawskroś przeglądać człowieka.

A kiedy zajaśniało wiosenne słońce i znowu otworzyły się okna, o mało nie krzyknąłem z radości. Gdyby mnie kto był spytał: dla czego? Nie byłbym umiał odpowiedzieć.

W ten sposób minął rok jeden i drugi. Przerosłem już ojca, kończyłem piątą klasę, a w domu uważano, że umiem wszystko, co mi potrzeba, i myślano dla mnie o aplikacji. Ojciec przepatrywał biura, wydziały, starał się o protekcję, bo mówił zawsze:

— Im wcześniej zaczniesz, tem lepiej.

I ja też miałem się już za człowieka, a w lustrze widziałem, że nie byłem wcale brzydszy od innych. Niech bym tylko zrzucił ten mundur! Teraz zaczął mi on bardzo ciężyć.

Tem bardziej dziwił nas tryb życia prezesówny.

— Czego ona może się tak ciągle uczyć? — zagadywałem ojca.

W owym czasie kobiety uczyły się mniej nierównie niż dzisiaj; pensja żeńska o trzech klassach nazywała się pensją wyższą; nikomu nie przychodziło do głowy, żeby uczyć panny czegoś więcej nad muzykę, język francuzki, no, czasem niemiecki, trochę geografii, w której największą rolę grały departamenta francuzkie, i historii z Lame Fleurego. Matematyka była atrybutem czysto męzkim; przynajmniej w naszym domu gdyby kto powiedział, że geometrya, algebra, fizyka, chemia, botanika, kosmografia, stanowić będzie konieczny program nauk kobiecych, uważanoby go wprost za waryata.

— To prawda: czego się ona tak może uczyć? — przywtarzała matka.

— Ze też ją to nie znudz! — dziwił się ojciec Co prawda, i mnie to dziwiło, stanowiło nawet zagadkę, bo nie pojmowałem, jak to można uczyć się dla przyjemności. Dla mnie była to zawsze ciężka pańszczyzna; wzdychałem do chwili, gdy będę mógł, tak jak ojciec, chodzić do biura, a choć biegłym ma. tematykiem nie tyłem, umiałem doskonale stosować

matematykę do nauki i uczyłem się skrupulatnie tyle tylko, ile potrzeba, by nie być ostatnim osłem i dostać promocyę. Więcej też nikt odemnie nie żądał.

Wprawdzie miałem przykład Franciszka, ale on głównie czytał, a nawet podobno i pisał także. Widziałem nieraz przez okno, jak z czołem podparłem na rękę kreślił coś z niezmierną szybkością. Potem znów zastanawiał się, namyślał długo, odczytywał, przemazywał.

W ten sposób ćwiczeń się nie pisze: wiedziałem o tem z doświadczenia, ja, com zgryzł nad nimi niejedno pióro, choć potem była taka bieda z temperowaniem. Bo owe stalówki, któremi teraz posługujemy się wszyscy, należały wówczas do wielkich rzadkości; w szkołach nie wolno ich było używać; nauczyciel kaligrafii upatrywał w nich przyczynę wszystkiego złego na świecie, bodaj czy nie wszystkich grzechów głównych. Sam zaś temperował pióra artystycznie, miał nawet pretensyę, że mu nikt w tem nie dorówna. My także prześcigaliśmy się w tej sztuce, a na stalówki spoglądali z pogardą, jak na intruzy, zwłaszcza też, ci co mieli dobre scyzoryki. Dawniej scyzoryk był to najważniejszy sprzęt ucznia; dziś byle kozikiem ołówek zatemperować można.

Franciszek pisał i pisał, czasem rzucał pióro

i brał inne, jakby mu żal było chwili czasu, ażeby je przyciąć.

Pytałem go raz: co on tak wiecznie pisze? Zaczerwienił się po same białka.

— Ot, ćwiczenia — mruknął przez zęby. Odwrócił się niechętnie. I wówczas on, co nie lubił mówić, zaczął wypytywać mnie nagle o różne rzeczy, które go z pewnością wcale nie obchodziły. Że ślęczał Franciszek, nie było to rzeczą tak nadzwyczajną. Był mężczyzną, a przytem wszyscy nazywali go dziwakiem, Tymczasem panna Helena, jedynaczka, bogata — to zupełnie co innego.

— Prezesówna i Franek to byłaby para — wyrzekł raz ojciec, gdy jedno i drugie siedziało, każde w swoim oknie, nad książką.

Zrobiło mi się nagle tak gorąco, jakby mnie kto oblał ukropem; schyliłem się, szukając pod stołem scyzoryka, który miałem w ręku. Doznałem jakiegoś niepojętego wrażenia. Uderzyła mnie trafność słów ojca i razem przeszył ból niewytłómaczony.... Nigdy nic podobnego nie przyszło mi na myśl, może dla tego, że Franek na prezesównę nie patrzył, może dla tego, że ja patrzyłem na nią za wiele. Zdawało mi się, że padł niewidzialny piorun i zdruzgotał naraz gmachy szczęścia, o których istnieniu nabrałem dopiero pojęcia, gdy zniszczone zostały. Za nic w świecie nie byłbym przemówił.

— Co też ty wygadujesz? — odezwała się ma

tką. — Panna prezesówna z jakimś tam synem fabrykanta!

Rodzice moi pochodzili oboje ze szlachty i mieli się za coś nieskończenie wyższego od Müllerów, chociaż zajmowali tylko małe mieszkanie w ich kamienicy.

— Cóż chcesz, Józiu? Teraz taki świat, że tylko pieniądź znaczy — odparł ojciec sentencyonalnie — a ja powiadam, że są jakby dla siebie stworzeni: przemądrzali oboje.

Nie mogłem dłużej wytrzymać; wybiegłem z pokoju i ukryłem się w altanie ogrodu. Przez jej szpary mogłem dostrzedz okna panny Heleny i Franciszka. Ona czytała, on pisał i co chwila, zatrzymując się, spoglądał w górę, jakby tam znajdował tajemnicze słowa, które tylko przepisywał na papier, a ona miała głowę spuszczoną właśnie tak, jakby oboje szukali się wzrokiem.

Czy jedno o drugim myślało? Zdawało mi się, że skonam, jeśli się o tem nie dowiem.

Nie mogłem zapytać się panny Heleny, ale do Franka wpadłem jak bomba.

— A, to ty — wyrzekł, odwracając z widoczną niechęcią oczy od swojej pracy. — Chcesz czego?

Pytanie było usprawiedliwione: nigdy nie przychodziłem bez interesu. Rzecz dziwna, pomimo wspólnych nauk, brakło nam zawsze wątku rozmowy. Przytem od czasu nieszczęsnej Łucyi miałem zawsze

to uczucie, że on mi lekceważenia jej darować nie może. W gruncie rzeczy każdy z nas miał w sobie odrębne światy, o zupełnie odmiennych promieniach. Pytanie jego zmieszało mnie; stałem we drzwiach, przypatrywałem się jego

delikatnej twarzy, łagodnym oczom, które tworzyły taki kontrast z panną Heleną. Zdawało mi się, że ją widzę tuż przy nim, pochyloną nad ćwiartką papieru, na wpół zapisaną.

— Słuchaj, Franek — zawołałem. Nic więcej powiedzieć nie mogłem.

— Czegóż chcesz? Mów prędko. Nie mam czasu,

— Ty nigdy nie masz czasu!

Nie odpowiedział. Twarz miał rozognioną, pióro obracał w palcach, usiłując zakryć drugą ręką na wpół zapisaną kartę.

— Słuchaj, Franek — powtórzyłem — muszę się ciebie o coś spytać.

Uśmiechnął się cierpliwie; sądził, że idzie o jaką kwestię naukową.

— To co innego: muszę dla ciebie czas znaleźć. Masz jaką trudność? Powiedz, rozwiążemy ją razem!

— Ej! kiedy to nie to!

I zdobywając się na nagłą odwagę, powiedziałem od razu:

— Ty pewno kochasz się w pannie Helenie?

— Ja? Ja?

— No, ty! w pannie Helenie.

— W jakiej Helenie?

— Wiesz przecie.

— Jak ciebie kocham, nie wiem.

Wzrok jego zdziwiony potwierdzał niewinność.

— W pannie Helenie, tej, co tu mieszka...

— Aa... To ona się nazywa Helena; nie wiedziałem.

Nabrałem otuchy: przecież pierwszą rzeczą w miłości jest poznać imię ukochanej. Trzeba wiedzieć do kogo się modlić.

— I nigdyś jej nie widział?

— Albo ja tam wiem! Nie uważałem. Stałem uradowany i zawstydzony.

Teraz on z kolei spoglądał na mnie badawczo.

— Oj Stachu! Stachu! Znowu ci spodniczka w głowę wjechała.

Tym razem rozwiązały mi się usta; byłem już w wieku, w którym zdawałem sobie sprawę ze swoich uczuć.

Potrzebowałem powiernika i, rzucając się Franciszkowi na szyję, wybuchnąłem:

— Widzisz, ja ją kocham, kocham, kocham! Byłbym te słowa powtarzał do nieskończoności;

upajałem się ich dźwiękiem.

Odtąd Franek nie miał spokoju. Raz zwierzywszy mu się, zamęczałem go już wprost memi uczuciami.

Słuchał mnie z wzorową cierpliwością. Nie próbował perswazyi, które zwykle dolewają oliwy na

ogień, nie stawiał horoskopów przyszłości. Raz tylko rzucił mi wśród moich uniesień pytanie:

— A ona co?

Pytanie to zmieszało mnie, bo, oczywiście, kochać pannę Helenę było wielkim szczęściem, ale być od niej kochanym — to już stanowiło niedościgłe marzenie.

— Ona? jakto ona!

— No, czy ona cię kocha?

Przyznaję, że pod tym względem nietylko byłem w zupełnej niewiadomości, ale naprózno łamałem głowę jakby z niej wyjść.

Nie pojmowałem: jakim sposobem mógłbym się zbliżyć do pani moich myśli. Zdawała mi się istotą odmiennej natury, niepodobną do żadnej innej. Gdyby choć kiedy spojrziała na mnie przez okno, dała jakikolwiek znak, że zwróciła na mnie uwagę! Jeśli kiedy wzrok jej padł na mnie, ześlizgiwał się zaraz, jak po kamiennej balustradzie dachu, lub jakimkolwiek martwym przedmiocie. Miałem czasem ochotę zrobić coś nadzwyczajnego, chodzić na rękach, rzucić się z okna, lub choćby wołać miłosierdzia.

Zwierziałem się Frankowi.

— Gdybyś tak do niej napisał — wyrzekł raz. Napisać! Myśl była świetna.

— Siadaj zaraz i pisz — nalegał.

Siadaj i pisz: łatwo to powiedzieć. Pierwszą część programu wykonałem akuratnie: usiadłem na miejscu odstąpionem mi wspaniałomyślnie przez

Franciszka, który gorączkowo zgarnął swoje papiery do szufladki, a natomiast wydobyl czysty arkusz papieru.

— Pisz — powtarzał, dając mi znakomicie zatemperowane pióro.

Pod wpływem jego słów pochwyliłem je, umaczałem z determinacją. Ale tu ani rusz dalej: pióro zostało zawieszona nad papierem.

Spoglądałem na Franciszka. On zaś zdawał się przekonany, że zrobił już wszystko, co do niego należało.

— Cóż ja mam napisać?

— To dobre! to, co czujesz.

Objaśnienie takie nic mi nie objaśniało. Gdybym przynajmniej był w życiu przeczytał choć jakie pół tuzina romansów, miałbym wyobrażenie, w jaki sposób pisze się do ukochanej' kobiety. Rzadkie listy, jakie ojciec odbierał lub pisywał, zaczynały się albo: "Wielmożny Mości Dobrodzieju", albo też: "Kochany Kostusiu lub Jasiu". To zresztą zdarzało się zaledwie parę razy do roku.

— Może ja ci przeskadzam — zapytał Franciszek — pójdę do ogrodu.

— Zlituj się, pomóż mi!

— Ja!....

Błagałem, zaklinałem, naprózno. Uparł się tak, jak z ćwiczeniami.

— Poradź mi, przynajmniej, jak zacząć.

— Poradź się serca!

Ale moje serce uparło się także, i nic mi poradzić nie chciało.

— Cóż ty dla niej czujesz? — pytał.

— No, kocham ją, kocham, kocham!

— To pisz "kochana".

Napisałem najpiękniejszą kaligrafią, na jaką się zdobyć mogłem — a słyłem z kaligrafii — "Kochana" i ozdobiłem K ślicznym zakrętasem. Dalej jednak ani rusz.

— Uwielbiasz ją, ubóstwiasz? — ciągnął dalej Franciszek.

— Tak, tak, ubóstwiam.

— Wielbi się istoty wyższe". Boga, świętych, aniołów, więc napisz: "aniole", albo "królowo".

Uznałem słuszność tych słów, Franciszek wydał mi się wzorem mądrości, wyraz "aniole" podobał mi szczególnie, Miałem wprawdzie trochę biedy z przerobieniem "kochana" na "kochany", ale jakoś się to dało zrobić.

Pomimo tak świetnego początku i wbrew przysłowiu, które mówi, iż zawsze pierwszy krok jest najtrudniejszy, poza "kochany aniole" nie zdołałem postawić ani jednej litery. Pocilem się, gryzłem pióro, jak przy najtrudniejszej kompozycji, i musiałem w końcu uznać swoją nieudolność.

W ten sposób projekt napisania listu upadł. Od

tąd nie mogłem utaić przed sobą, że Franciszek spoglądał na mnie z widocznym lekceważeniem.

Tymczasem w losie mojej rodziny zaszły ważne zmiany. Ojciec dostał znaczny awans, bo aż na sześćset rubli, a jednocześnie na matkę spadła sukcesja. Tylko trzeba było proces przeprowadzić.

Ojciec postanowił wziąć większe mieszkanie i podwyższyć skalę naszego domu. Matka wprawdzie pierwszy raz w życiu stawiała niejaką opozycję, chciała pozostać w tym mieszkaniu, gdzie nam było tak dobrze. Ale ojciec przekonał ją odrazu, mówiąc:

— Widzisz, Józiu, mnie teraz nie wypada.

Wiadomość, że mamy się wyprowadzić, była dla mnie gromem. Nie mogłem zrozumieć, jak ja żyć będę, nie patrząc na pannę Helenę, a przynajmniej na jej okna.

O Franciszku, co prawda, nie myślałem wcale, chociaż on zmartwił się bardzo naszym rozłączeniem. Pan Muller wziął to także do serca, robił ojcu łamaną polszczyzną różne propozycje. Chciał mu drzwi wybić i jeden pokój dodać, jakkolwiek nie mógł zrozumieć, dla czego mieszkanie, gdzie nam przez kilkanaście lat było wygodnie, stało się nagle niedostatecznym.

Ojcu zachciało się koniecznie pierwszego piętra i balkonu od ulicy. Ciągle mu stał w myśli apartament prezesa, tem bardziej, że jeden z jego biuro

wych kolegów, któremu córka dorosła, kupił nowe meble i urządził się elegancko w nowym lokalu.

— Dla czegożbyśmy i my tak nie zrobili? — mówił do matki.

Zaczął się więc poszukiwanie mieszkania. Matka ojciec i ja codzień po obiedzie chodziliśmy, każde w swoją stronę, a wieczorem opowiadaliśmy sobie, cośmy widzieli.

Jedne były zbyt drogie, inne zbyt oddalone, inne znów niewygodne. Poszukiwania moje ograniczyły się do Leszna i jego okolic, ojciec zaś ciągnął ku Nowemu Światu. I najął też kiedyś, nie radząc się nikogo, trzy pokoje na pierwszym piętrze, wprawdzie bez balkonu, ale od frontu.

Gdy przyszedł nam to oznajmić z tryumfującą miną, matka zmartwiła się bardzo, a ja, pomimo kończących się lat siedemnastu, zaledwie wstrzymałem się od łez; Adaś nawet, który nie miał specjalnych powodów przywiązania do naszego domu i cieszył się bardzo tą projektowaną zmianą, jak każdą inną, narazie przyjął wiadomość z tak wielkim zdziwieniem, jakby zmiana nigdy do skutku przyjść nie miała.

Na mnie nikt nie zważał, ale zmartwienie matki podziałało na ojca.

— No! no! Juziuniu, na miłość Boską, czego się krzywisz? — pytał skonfundowany. — Byłem pewny, że cię ucieszę...

Matka nie chciała psuć jego radości, widziałem jednak dobrze, że ukradkiem łzy ocierała.

Odtąd w domu nie było już tak wesoło, jak dawniej. Może też mnie się tak tylko zdawało. Ojciec coraz częściej śpiewał o oficerach króla Sardyńskiego. Zapewne i jemu żal było porzucić dawne kąty, tylko przyznać się nie chciał i nadrabiał miną; ale zdaje mi się, że gdyby tak matka dobrze na niego natarła, byłby bez trudności stracił zadatek i został.

Matce to przecież na myśl nie przyszło. Bo już kiedy czego chciał najdroższy Lutek, to już była dla niej rzecz święta. Pan Miiller się zasapał, gdy się dowiedział, że opuszczamy dom jego, pani Müller płakała, a kiedyśmy się wyprowadzali, wszyscy lokatorowie wylegli na dziedziniec — przypatrywać się naszym gratom, które, spakowane jako tako na dwie fury, pokazywały wnętrza łóżek i szaf, a najeżone nogami krzesel i stolików, obwieszone koszami, baliami i różnymi sprzętami, bez których gospodarstwo żadne obejść się nie może, miały jakiś wygląd rozpaczliwy i klekotały strasznie, gdy fury, przechylając się na jedną i na drugą stronę, ruszyły po nierównym bruku, pod eskortą ojca, który dnia tego nie poszedł wcale do biura. Matka troskała się o rzeczy, że się odrapią, połamią; ojciec uspakajał ją ciągle, że kupi wszystko nowe, ale to jeszcze ją bardziej

przerażało. Marysia była zła jak piekło i klęła na czem świat stoi, a ja spoglądałem osłupiały na okno panny Heleny. Żeby była choć wyjrzała!

Franciszek przyszedł ucałować mnie serdecznie; miał łzy w oczach, chciał ofiarować mi jaką pamiątkę, pobiegł do swego pokoju, i nie znalazł nic droższego, nad książkę.

— Masz — rzekł, wciskając mi w rękę niewielki tomik, nic piękniejszego nie czytałem w życiu. — Nie może być, żeby ci się to nie podobało.

Obiecałem mu ze łzami w oczach, że przeczytam. Był to tomik pierwszych poezji Słowackiego. Upominek jak upominek, ale rozczulony byłem jego sercem.

Do mieszkania naszego wracać już nie chciałem: te puste kąty były dla mnie straszne, jak ciało umarłej osoby.

Dzisiejsi mieszkańcy Warszawy nie biorą wcale podobnych rzeczy do serca, ale ja zrosłem się z naszym mieszkaniem, nie pamiętałem nawet żadnego innego. Dom pana Müllera nazywałem wprost domem. A przytem tu była ona. Do tej pory przez moje serce przeszło już wiele żeńskich ideałów; pomimo to nie rozumiałem wcale, że działo się tak, bo potrzeba ideału istniała we mnie; nie rozumiałem, że pozbawiony jednego zaraz sobie drugi znaleźć muszę; wierzyłem z całego serca, że kocham na zawsze. W tych rzeczach mylą się daleko więksi niż ja psychologowie.

Do rozpacz przyprowadzało mnie to szczególnie, że wyniosę się z tego domu, przestanę ją widywać codziennie, a ona nie domyśli się nigdy, że ją kocham, ba! nawet może nie będzie wiedziała, że istniałem. Bo kiedy mnie serce pękało, ona wygrywała najspokojniej gamy od góry do dołu klawiatury.

— Dobrze mi tak — myślałem z wściekłością — czemuż nie napisałem! Potem znowu zdawało mi się, że mogła spostrzedz sama, czem była dla mnie, i czułem do niej żal jakiś, gorycz nieznaną mi dotąd.

Nowe mieszkanie wydało mi się bardzo smutnem. Salon wprawdzie był od frontu, ale turkot był w nim tak wielki, iż przy otwartych oknach nie mogliśmy rozmawiać; jadalny miał tylko jakieś okno w kącie, tak, że wiecznie w nim było ciemno, a sypialnia rodziców była to klatka, uzurpująca nazwę pokoju.

Wchodziło się za to przez przedpokój, a przy drzwiach był dzwonek, kuchnia zaś miała osobne wschody. Ten dzwonek do największej złości doprowadzał Marysię. Niepodobna jej było wytłómaczyć, że miała obowiązek otworzyć, gdy kto zadzwoni; zawsze znalazła jakiś doskonały powód, by tego nie zrobić. To gnioła kluski, to rosół jej kipiał, to prała i miała zamydlone ręce: dość, że nigdy nie otwierała. Wynikała ztąd ciągła wojna, aż ojciec rozgniewał się raz bardzo i kazał jej się wynosić.

Przeprosiła wprawdzie i została; niemniej dzwonek stanowił ciągły ferment domowej niezgody

i nieraz, zwłaszcza, gdy ojca nie było, mrucała w kuchni, gdy się odezwał.

— Dzwon! dzwon! Właśnie! Będę ta otwierać! Miała ciężki żal do ojca za zmianę mieszkania.

Wszystko tutaj było złe: i mięso i bulki i mleko. Posądzam ją nawet, że naumyślnie przynosiła śmietankę, która się warzyła, a strofowana przez matkę, odpowiadała:

— Bo ja tu wiem, gdzie czego szukać!

I rozpoczynały się lamenty na temat dawnego mieszkania, których matka słuchała z większym pobłażaniem.

Ojciec tylko był nową siedzibą zachwycony, może też tylko zachwyconego udawał, bo jakoś teraz nie rozlegał się z daleka jego baryton, zapowiadający powrót na obiad. Prawda, że nie było tu już tej swobody, co dawniej. Co innego jakiś tam dziedziniec na Lesznie, co innego mieszkanie na pierwszym piętrze, przy NowymŚwiecie. W domu pana Moliera byliśmy jak u siebie, wszyscy nas znali i, kiedy dolatywał śpiew ojca, słyszałem nieraz jak sąsiedzi mówili:

— Oho, już musi być druga, bo pan Burnicki wraca.

Tutaj trzeba było utrzymać swoją godność. Tutaj także pierwszy podobno raz usłyszałem wyraz: "nie wypada", bo coraz więcej rzeczy nie wypadało robić i mówić.

Salon nasz stanowił dumę i chlubę ojca; kupił do niego nowe meble, nowe firanki, kazał go zafroterować i uszczęśliwiony mówił:

— A co? prawie tak, jak u prezesa! Obaczysz, Leosia pięknie z zazdrości.

— Lutku! Lutku! — upominała go matka. Leosia była to matka Józki. Mieszkała ona prawie zawsze na wsi, choć własny majątek musiała sprzedać po śmierci męża, ale do elegancyi miała zawsze wielką pretensyę.

— Albo co! przerwał ojciec — albo to nie zadzierała nosa, nie wiem dla czego; nie traktowała nas zawsze przez nogę? Przychodziła jakby za pokutę i wiecznie miała tylko na ustach salony swoich znajomych: niechno ona teraz zobaczy! Zrozumiałem wówczas dopiero, dla czego stosunki nasze z cicią Leosia ostygły raptem. Cicia była za mężem, za obywatelem; owdowiawszy, dopiero sprowadziła się do Warszawy. Nie miała z początku wcale znajomych, nie wiedziała jak sobie w mieście dać radę: więc ze wszystkim zwracała się do nas. Potem jednak, odnalazła, jak mówiła, swoje dawne towarzystwo, a nas odwiedzała tylko jakby z łaski, na parę minut, kiedy do Warszawy przyjechała. Czasem nawet i na to nie miała czasu. Ojca to widać ubodło. Cóż to jego Józkiunia gorsza od Leoski, czy co! a do takiego samego towarzystwa, jak cicia, i on przecież ma prawo. Burnicy — znana szlachta! wiedzą

O tem wszyscy. Jeśli zaś chodzi o salon, salon i on mieć będzie. Niby to tak wielka rzecz! ma go prezes, ma tyłu, i on nie chce być gorszym od innych.

Taka to była, podobno, geneza naszego salonu. Dotąd nie był on nam wcale potrzebny, a nawet zawadzał, bo, naturalnie, nikt w nim nie przebywał. Był salon, tak jak u prezesa, dla honoru domu. Więc chociaż mieliśmy niby jeden pokój więcej, w rezultacie było nam ciasniej niż dotąd. Matka obrała sobie miejsce przy oknie w jadalnym pokoju, chociaż jej było ciemno i niewygodnie: tam szyła, tam przyjmowała gości, jeśli się kto zdarzył. Coprawda, gości bywało teraz daleko mniej. Ojciec zaniedbał jakoś dawne znajomości, nowe zaś były zupełnie innego rodzaju i wkrótce niktby nie poznał naszego domu, tak się tu wszystko odmieniło. Co najgorsze, iż ojciec zaczął się w niem nudzić, bo

raz i drugi nie wrócił na obiad, ale jadł jakieś śniadanie w restauracyi z kolegami.

Nigdy nie zapomnę, kiedy przytrafiło się to po raz pierwszy. Były na obiad kurczęta, które ojciec bardzo lubił. Matka, według zwyczaju, sama poszła na targ, kupiła najtłustsze, jakie znalazła, i pilnowała, by punkt kwadrans na drugą Marysia zasadziła je na rożen.

O pięć minut po drugiej zaczęła być niespokojną o dziesięć pobiegła do salonu i otworzyła okno: wyglądała, czy nie ujrzy z daleka idącego. O kwadrans

na trzecią Marysia, cała czerwona od ognia, wpadła z oświadczeniem, że kurczęta już upieczone, a tu, jak okiem sięgnąć można, nie widać na Nowym Świecie tabaczkowego garnituru i słomkowego kapelusza ojca.

Co tu począć! Kurczęta jak kurczęta, ale skoro nie wrócił, musiało przytrafić mu się jakieś nieszczęście: matka wybuchnęła płaczem, a ja pochwyciłem kapelusz i pobiegłem do biura. To się na nie nie przydało: biuro było zamknięte. Wróciłem z tą wiadomością do domu, pewny, że ojciec miał jakiś sprawunek lub interes, i że go już tam zastanę. Tymczasem nie było go.

Matka nie chciała usiąść do obiadu, ja z Adasiem zjedliśmy tylko coś na prędcę, zaniepokojeni obydwoj, nie wiedząc co robić z matką, która szlochała i łamała ręce. Marysia powiększała zamieszanie, pytając co chwila, co ma zostawić, jak zostawić, czy ogień zgasić i t. p.

Każde takie pytanie wywoływało nowe potoki łez. Matka była przekonana, że ojciec się utopił, że miał pojedynek, że go ktoś zabił, i że nie zobaczy go już nigdy więcej.

Ojciec powrócił dopiero nad wieczorem, niezbyt silny w nogach, niby w tak dobrym humorze, iż po dawnemu śpiewał na wschodach. Rozgniewał się jednak bardzo na pierwsze słowo matki, krzyczał i złościł się jak nigdy, potem rzucił się w ubraniu na łóżko i tak przespał do rana.

Nazajutrz bolała go głowa; ledwo poszedł do biura.

Po tym pierwszym razie zdarzało się coraz częściej, że ojciec nie był na obiedzie. Matka przecież nie rozpaczała już w takich wypadkach, usiłowała być spokojną; ale widziałem, że nie jadła i nieustannie miała oczy wpatrzone we drzwi.

Przytem w tych czasach posmutniała, zżółkła, zestarzała się, straciła swoją pogodną wesołość.

Kiedyś zdobyła się nawet na odwagę i zrobiła ojcu przedstawienie z powodu zmiany w jego postępowaniu:

— Widzisz, Józieniu — odpowiedział, jak zwykle — tak wypada.

Matka przecież nie przystała na to wszechwładne dotąd tłumaczenie.

— Nie — zawołała — mów co chcesz, ja nigdy się na ta nie zgodzę, by wypadało ojcu dawać zły przykład synowi, marnotrawić pieniądze, zaniedbywać rodzinę.

— Ależ Józiu! jak cię kocham... czyż ja cię zaniedbuję? — tłumaczył się ojciec.

Matka mówiła długo i w końcu ojciec pocałował ją w rękę, ale nazajutrz było znowu to samo. A zresztą, choćby nawet chciał zostać w domu, porobił znajomości, które na to nie pozwalały. To jakiś pan czekał na ojca w bramie i przysyłał po niego

stróża, to przychodziła karteczka, a ojciec, odebrawszy ją, brał zaraz za kapelusz i wychodził. Matka w takich razach była zasepiona, gniewała się na wszystkich o byle co, chociaż winien tu był jeden ojciec. Czasem nawet wybuchnęła przeciw niemu oburzeniem, zawsze wówczas, gdy tego nie słyszał, bo przyzwyczaiła się przez tyle lat witać go uśmiechem, podziwiać wszystko, co tylko uczynił, i nigdy mu się nie sprzeciwić, iż w jego obecności zaledwie mogła się zdobyć na lekkie uwagi. Może, gdyby od razu wypowiedziała mu wszystko, co czuła, rzeczy byłyby poszły innym torem. Byłem wówczas za młody, ażeby rozumieć przemiany, jakie się w domu odbyły, a przytem zaczynałem już żyć na własną rękę. Znalazło się wreszcie dla mnie miejsce aplikanta; zacząłem ja także chodzić do biura i miałem nadzieję otrzymania wkrótce, jeśli nie etatu, to przynajmniej jakich dyet. Dyety te były bardzo potrzebne, bo jeśli dawniej, przy mniejszej pensji ojca, wystarczało nam na wszystko, teraz zerwała się równowaga budżetowa i coraz więcej trzeba było żyć na kredkę. Prawda, iż proces sukcesyjny kosztował dużo. Były to wydatki niespodziewane, którym ojciec wystarczyć nie mógł. Przytem skarżono się powszechnie, iż wszystko w Warszawie drożeje. Marysia, wracając z miasta, brała się za głowę z powodu ceny produktów.

— Widział to kto! — wołała — dopiero to dziś drogie mięso! oj złodzieje! złodzieje!

Nie objaśniała wprawdzie, jacy to byli złodzieje, ale wygrażała im głośno. Przytem dawniej, gdy nie było w domu pieniędzy, obchodzono się jakoś bez nich i to nikomu nie psuło humoru. Matka raz całe lato chodziła w starym kapeluszu, ojciec miał wytarty paltot; śmieli się z tego nieraz oboje wraz ze swojemi znajomymi, bo ci także nie byli krezusami. Czasem też zaległo się w komornem. Pan Müller znalazł nas tak dobrze, iż nigdy się nie upominał. Ojciec szedł do niego, mówił, że mu wypadły nadzwyczajne wydatki, a pan Müller śmiał się i odpowiadał:

— No! no! nic nie szkodzi, pan zapłaciła za drugi miesiąc.

I tak też było.

Na nowem mieszkaniu trzeba się było pilnować, bo przychodzi! naprzód stróż, potem rządzca, i była z tego cała awantura. Potrzeba też było ubierać się modnie, bo ojciec dowodził, że inaczej nie wypada.

Raz, kiedy matka wyszła w wyszarzanej okrywce, ojciec spotkał ją i zrobił wymówkę, że go kompromituje. Matka, pomimo całej cierpliwości, rozpłakała się wówczas i wypowiedziała, że pieniądze nie wiedzieć na co się rozchodzą, że Marysia już drugi kwartał nie placona, że należy się u kupca za herbatę, cukier, kawę, w sklepiku za bułki.

Ojciec słuchał i gryzł wargi, co było u niego znakiem najgorszym. Potem poszedł i przyniósł matce całą sturublówkę, chociaż do pierwszego było jeszcze bardzo daleko.

Matka nie ucieszyła się; przeciwnie, widziałem, iż pobladła, i zmieszana, obracała ją w rękę.

— No, cóż! — wyrzekł niecierpliwie ojciec — masz na okrywkę, a z reszty popłać co się należy.

— Lutku! — zawołała matka — tyś pożyczył?

— No! naturalnie — odparł ojciec, niezbyt pewnym głosem — kiedy trzeba, to trzeba!

Matka trzymała w rękach sturublówkę, a ręce drżały jej tak bardzo, iż papier upadł na ziemię.

— Józieniu! dziecko jesteś — próbował perswadować ojciec, nagle także zmieszany.

Matka wyperswadować sobie nie dała.

— Weź, oddaj — szepnęła błagalnie — ja się obejdę.
— Dziecko jesteś — powtarzał ojciec — wszyscy pożyczają.
Argument ten nie trafił jej do przekonania.
— Niechby wszyscy! — zawołała — tylko nie my!
— Ba! — szepnął.
Chciał coś więcej powiedzieć i zatrzymał się nagle.
— Lutku! Tyś już pożyczał — pochwyciła matka, tknięta jakimś jasnowiedzeniem.
Położyła mu ręce na ramionach i spoglądała

w oczy wzrokiem tak badawczym, iż spuścił powieki.

Wówczas ona powtarzała półgłosem:

— Nieszczęście, nieszczęście, nieszczęście!

— Co za nieszczęście! — próbował przerwać ojciec, nabierając nagle rezonu.

Matka nie słuchała go i powtarzała ciągle swoje.

Miała słusność! Odtąd nieszczęście weszło do naszego domu pod postacią różnych lichwiarzy, którzy zaczęli coraz częściej pokazywać swoje oblicza. Czasem ojciec chował się przed nimi, ale oni wysłedzili go zawsze, wchodzili przez kuchnię, stawali na wschodach, dobijali się, jeśli nie otwierano, grozili, krzyczeli, — aż wreszcie kończyło się zawsze na tem, że ojciec pisał nowy weksel.

Gdzie tu było myśleć teraz o gościach! Matka drżała, gdy kto zadzwonił lub gdy usłyszała, że drzwi od kuchni skrzypnęły; i ona, zawsze zdrowa i energiczna, zaczęła teraz upadać na zdrowiu, chociaż nie chciała się do tego przyznać, żeby, broń Boże, ojciec nie sprowadził doktora i nie miał z tego powodu wydatków.

Na spłacenie długów poszła jakoś mała sumka, którą matka z tej zakwestyonowanej sukcesyi odebrała.

Myśleliśmy, że będziemy raz mieli spokój, Ale gdzie tam! Zostały się jakieś procenty, weksle wyłaziły jakby z pod ziemi, lichwiarze dłużej czekać nie

chcieli, procesowano nas, kładziono areszty na pensję ojca, raz nawet komornik zajął nam rzeczy.

Rzeczy wprawdzie nie sprzedano, ale cóż z tąd, kiedy matka tak to wzięła do serca, iż wpadła w gorączkę, żółkła jak pomarańcza i pomimo, że doktorów było aż trzech, że przychodzili po kilka razy dziennie, naradzali się, zapisywali proszki, pigułki, mikstury i co tylko zapisywać można, nie zdołali jej uratować. Umarła po tygodniu choroby, nieodzyskawszy wcale przytomności.

Ojciec tak rozpaczał, iż myśleliśmy z Adasiem, że tego nie przeżyje.

Nie mógł uwierzyć swojemu nieszczęściu, a kiedy jeden z doktorów powiedział, że już niema nadziei, to padł przed nim na kolana, błagając, żeby mu żonę ratował. Dowodził, że była młodą jeszcze, że nigdy nie chorowała, że to być nie może, by umarła.

— Co to nie chorowała! — odparł twardo doktor — organizm miała podkopany od dawna. Taka choroba nie przychodzi od razu.

Marysia, zapuchnięta od płaczu, wykrzykiwała na cały głos, iż gdyby państwo byli zostali na Lesznie, pani byłaby zdrowiuteńka i nigdyby nie umarła.

Miała słuszość: wiedziałem o tem, wiedział teraz i ojciec... po niewczasie.

Biedny ojciec nie domyślał się nigdy, jak ona się gryzła. Sam będąc jednym z ludzi, co wszystko biorą na lekko, nie przypuszczał, że są inne natury.

Teraz zestarzał się od razu, a wesołość utracił na zawsze. Zerwał z kolegami, którzy wyciągnęli go na wydatki, znienawidził ich, a nawet w myśli zwał odpowiedzialność za swoje nieszczęście. Jeśli spotkał którego na ulicy, odwracał się niechętnie, zaczepiony prawie nie odpowiadał i na żadne śniadanka lub kolacyjki wyciągnąć się już nie dał.

Nam wszystkim zbrzydło mieszkanie Da Nowym Świecie, salon, piękne meble, i to wszystko co dawniej tak ojca radowało; wyprowadziliśmy się aż na Zakroczymską ulicę. Ojciec chciał być blisko Powązek, które stały się teraz najmilszą jego wędrówką. Pan Müller wprawdzie namawiał nas, byśmy wrócili na dawną siedzibę, chciał nawet wyrzucić nowych lokatorów; ale jakże było wracać w naszej żałobie do tych miejsc, gdzieśmy byli tak szczęśliwi?... — Dziękuję panu — mówił ojciec, ściskając go ze łzami, — ale doprawdy nie mogę.

Był teraz bardzo dla pani Müller serdeczny. Pan Müller pokiwał głową.

— Ja, ja — wyrzekł po swoim. — Ja to rozumiała. No cóż! szkoda!

Nie miałem odwagi się odezwać. Wstyd mi było nawet teraz myśleć o pannie Helenie wobec nieszczęścia, jakie nas spotkało.

Franciszek przychodził teraz do mnie regularnie co poobiedzie, choć, zapewne, miał jak zwykle ulubione książki i zajęcia. Po swoim starał się mnie

rozrywać: to wyciągał na spacer, to wszczynał rozmowę. Nie bardzo mu ona szła. Najczęściej siedał naprzeciw mnie i milczał, a w oczach jego czytałem, iż szukał pracowicie tego, coby mi mógł powiedzieć.

— Cóż, twoje biuro? — pytał. Opowiadałem mu o swoich zwierzchnikach, kolejach, trybie postępowania.

— A ty — pytałem wzajem — co myślisz robić? Wszak kończysz szkoły?

— Kończę, kończę — odpowiadał ponuro. Raz wyrzekł.

— Wiesz! ojciec chce, bym pojechał do Niemiec.

— Jaki ty szczęśliwy! — zawołałem.

Podróż — była to wówczas rzecz niezmiernie trudna i kosztowna. Takim chudopachołkom, jak ja, nawet marzyć o niej nie było wolno.

Franciszek nie zdawał się szczęśliwym.

— Ojciec — dodał po chwili — chce mnie posiać na praktykę do fabryki.

Milczał znowu, wpatrując się w okno zamyślony.

— No, to i cóż?

— Ha! nic, tylko, widzisz, ja w fabryce być nie chcę.
— To nie jedź. Wiesz co: wejdź do biura, będziemy razem. Już ja w tem, że ci znajdę miejsce.
Wzruszył ramionami.
— A cóż ja bym robił w biurze?

— Co? pisałbyś! Ty przecież wiesz, że pisałeś. Fala krwi przeszła mu po twarzy.
— To wcale co innego — zawołał.
— Widzisz! — wyrzekł po długiej chwili — do Berlina, to ja bym chciał pojechać.
— Powiedz to ojcu!
— Kiedy, widzisz, to nie tak łatwo.
Nie rozumiałem tego: wszak ojciec sam chciał go wyprawić.
— Ii! — przyznał się wreszcie — widzisz, ja muszę być na uniwersytecie.
Otworzyłem oczy szeroko, nie znałem nikogo, coby miał podobne zamiary.
— Ty chcesz być doktorem? — zawołałem. — Nigdyś mi tego nie mówił.
— Zkądże znowu doktorem?
— Na cóżby ci był uniwersytet?
— Na to, żeby się uczyć.
Znowu nie rozumiałem. Franciszka nie pojmowałem nigdy. Taka już była jego natura, we wszystkim różna od mojej.
— To jedź, jak chce ojciec, a zamiast do fabryki, skręć na uniwersytet.
Oburzył się.
— To byłoby nieuczciwie: oszukiwałbym.
— No! ojca!
— Tem gorzej, Stasiu.

— Caż twój zamiar? — pytałem go pilnie parę razy.
Milczał zafrasowany. Wiedziałem, że od niego nie odstąpi.
Raz idąc z ojcem, spotkaliśmy pana Müllera. Zatrzymał nas.
— Mój Franz oszalała — żalił się przod ojcem — on nie chce fabryka, takie ładne fabryka, on chciała być pan profesor.
— Chce jechać na uniwersytet — szepnąłem ojcu.
Mój ojciec nie widział w tem nic złego, skoro to nie tyczyło się ani jego syna, ani jego kieszeni.
Pan Müller, mówiąc o fabryce, miał łzy w oczach. A ja widziałem już z tego, że stary zmięknie, i że Franciszek postawi na swoim.
— Masz pan córkę — pocieszał go mój ojciec — wydasz ją za męża, oddasz zięciowi fabrykę.
— No, ja! — przywtarzał Müller — zawsze co syn to syn; Gottlieb Müller i Franz Müller, ja tak sobie układała.

Gdy odszedł, ojciec śmiał się z dynastycznych pretensyi Müllerów; ja śmiałem się także, chociaż nie wiem, doprawdy, w czem śmieszniejszą była ta dynastia fabryczna od dynastyi urzędniczej Burniekich? Kto wie, czy los biednej Frydy nie rozstrzygnął się wówczas.

Zostało rzeczą zdecydowaną, iż ma pójść za kogoś, co poprowadzi ojcowską fabrykę. Fryda była jednak jeszcze za młoda, kochała bardzo kuzynki i stryjostwo puścić jej od siebie nie chcieli.

Pobiegłem do Franciszka, by mu powiedzieć o tem, co usłyszałem. Było już rzeczą zdecydowaną, że on pojedzie na studia do Berlina, a Fryda wróci za rok lub za dwa lata do rodziców.

Pan Müller miał tymczasem dla niej, raczej dla fabryki, kogoś upatrzeć. Nie obeszło mnie to wcale: od dawna przestałem interesować się moją towarzyszką lat dziecinnych.

Ile razy byłem u Franciszka, ciągnęła mnie tam tyle przynajmniej przyjaźń, co panna Helena. Idąc, spoglądałem na balkon: prawie nigdy jej tam nie było. Wstąpiłem nieraz do stajni przywitać się z Walentym, który, zawsze dowodząc, iż wstyd takiego pana wozić, nie ruszał się z miejsca.

Gniadosze, coraz starsze i tłustsze, stały przy żłobie. Nawet Kasia, pokojówka prezesowej, choć narzekała na kaprysy swej pani, zostawała w jej służbie. Słyszałem też, że ten sam młody doktor przychodził na herbatę.

Czatowałem w ogrodzie na sposobność zobaczenia panny Heleny. Ona zmieniła się najwięcej z całego domu, z dziecka stała się kobietą. Nie bawiła się już teraz z kotkiem, stała się dziwnie poważną, tylko oczy jej paliły się, jak dawniej.

Coraz też częściej

widziałem ją bezczynną, z głową wspartą na rękach, rzucającą w dal spojrzenie tak smutne, tak strasznie smutne, iż byłbym dał połowę życia, ażeby mój powiedział, iż jest ktoś, coby tak bardzo pragnął ją pocieszyć. Choć, doprawdy, gdyby nawet los postawił mnie w jej obecności, nie miałem wyobrażenia, jakby do niej przemówić.

Stokroć bardziej niż położenie społeczne, oddzielały mnie od niej te książki, które czytała, te nauki, o których ja nie miałem nawet wyobrażenia. Zresztą ona nigdy na mnie nie zważała.

Przychodziłem teraz codzień na Leszno; niby żegnałem Franciszka, niby oczekiwałem na Frydę, której spodziewano się ciągle, ale naprawdę, wpatrywałem się tylko w okna panny Heleny. Zawsze nawet, kiedy deszcz padał, wyciągałem Franciszka do ogrodu. On uśmiechał się tylko i znosił z heroizmem deszcz, słońce, nawet burzę.

Niekiedy spoglądał mi w oczy. Widziałem, że miał coś do powiedzenia, a milczał, tylko zwracał coraz częściej moją uwagę, że panna Helena teraz zupełnie inna, niż dawniej.

Kot faworyt pocierał głowę o jej nogi, przeciągał się, mruczał, i ruszając ogonem, spoglądał jej w oczy: nie zważała.

Papuga krzyczała, dopominając się o cukier: panna Helena była zwykle tak pogrążona w myślach, że nie poglaskała nawet kota, nie dała przysmaku ptakowi.

— Patrz — mówił Franciszek — ona przestała je lubić.

— Przestała je lubić? Dla czego?

— Teraz prezesową pojedzie na spacer, a ona zostanie.

— Zostanie? Dla czego?

Rzeczywiście. Walenty zaprzął, potem dano mu znak z góry i ruszył, zatrzymując się w bramie. Ktoś otworzył drzwi do pokoju panny Heleny, ale według przepowiedni Franciszka, ona z pokoju tego nie wyszła. Prezesowa pojechała z kuzynką. Panna Helena słuchała zamyślona głuchego turkotu oddalającego się powozu. Potem powstała, przetarła ręką czoło, jakby z niego ciężką troskę odgarnąć chciała, i nierównym krokiem chodziła po swoim pokoju. Książki zdawały się nie zajmować jej już wcale, żadnej nie otworzyła:

Nie wiem czemu, zaczęło mnie to niepokoić.

— Prawda! — zawołałem — panna Helena zmieniła się zupełnie.

Franciszek przytakiwał mi głową. Po chwili zapytał nagle:

— Czy ty ją tak bardzo kochasz?

Jak on mógł pytać! Dziś, to już, doprawdy, sam nie wiem, co o tej miłości sądzić. Zdaje mi się, że tylko w braku innego przedmiotu ona królowała w moim sercu, bo to serce nie znosiło próżni; że to była miłość topograficzna, powstała jedynie z powodu

żem z moich okien widział jej okna. Ale wówczas!.. Zresztą, kiedy kto kocha, to zawsze jest przekonany o prawdziwości swego uczucia, inaczej ono by nie istniało. Franciszek o tem nie wiedział.

— No, tak, kochasz, kochasz, przecież wiem o tem; tylko, widzisz, to wielka szkoda, żeś do niej nie napisał.

— Dla czego ty mi to mówisz? — zawołałem niespokojny.

— Bo, widzisz, rzecz, o której się nie wie, tak jakby nie istniała,

— Chcesz powiedzieć, że ja dla niej nie istnieję.

— Otóż to — wyrzekł z ubolewaniem.

— Wiem o tem.

— Otóż to niedobrze — powtórzył. — Trzeba było napisać.

— Przecież nic się nie stało!

Nie odpowiedział; zdawało mi się jednak, iż dosłyszałem jakieś mruknięcie pełne powątpiewań.

Panna Helena chodziła ciągle niespokojnie po pokoju, czasem zatrzymywała się i nastawiała ucho, a wówczas wymowne jej oczy nabierały dziwnego wyrazu. Znać było, że cała jej istność stawiała się słuchem. Pukle włosów odgarniała z czoła, jakby one przeszkadzały jej, jakby wszystkie zmysły przyzywała na pomoc.

Nagle twarz dziewczęcia zajaśniała i zwinnym ruchem dzikiego kota rzuciła się ku drzwiom, w któ

rych pokazała się postać jakaś. Był to nauczyciel śpiewu. Poznałem od razu jego łyse czoło przykryte peruką, uczernione wąsy, podwatowaną pierś i pretensjonalną postać. Cała Warszawa знаła tego starca, udającego młodzika, tę marną, śmieszoną, nikczemną osobistość, o której cały świat opowiadał skandaliczne anegdoty. Przez chwilę patrzyłem na to skamieniały.

— On! on! — wykrztusiłem w końcu — ten...

— A tak! ten! — powtórzył żałośnie Franciszek.

— To nie do uwierzenia, to być nie może.

— Widzisz — wyrzekł sentymentalnie Franciszek — wszystko, co jest, być może.

W tej chwili nie byłem w stanie rozbierać tych rzeczy z filozoficznego punktu. Widziałem tylko potworność związku pomiędzy tą czystą, młodą, pełną świeżych uczuć dziewczyną a tym przeżyтым człowiekiem.

— Jego palcami wytykają.

Franciszek temu nie przeczył. Zresztą przyznać muszę, iż w tej sprawie marzyciel okazał się o wiele praktyczniejszym odemnie. Gdy ja rwałem sobie włosy i przeklinałem pannę Helenę, tłumaczył mi, iż panna o sądach świata wiedzieć nie mogła, że do niego nie należała, że śpiewak był niemal jedynym człowiekiem, jakiego widywała, że mógł do niej przemawiać ile chciał, i więcej jeszcze — przemawiać językiem tonów, że nie kochała go takim, jakim był,

ale jakim przedstawiała go jej wyobraźnia, a wyobraźnia młodych panien, zwłaszcza też zostających w takich warunkach, jak panna Helena, bywa tak czynna, iż może przemienić zwyczajnego mieszczaucha w rycerza, a samego szatana w anioła.

Mówił długo, nie zważając na moje przerwy. Nie wiem, zkad to wszystko tak dobrze rozumował, bo, doprawdy, mówił tak, jak gdyby sam znajdował się w jej położeniu, jak gdyby czuł to samo, co ona.

— Widzisz — dodał — nie byłoby tego wszystkiego, gdybyś był napisał.

— Kto to wie? — zawołałem — onaby i tak pokochała tego przekłętego śpiewaka.

Byłem podrażniony. Jakże nim być nie miałem? Śpiewak stał w wyuczonyj postawie, wsparty o konsolę, magnetyzując pannę Helenę szklami okularów; to znów klękał przed nią, brał ręce, których mu ona nie broniła, nawet raz nachylił się i złożył pocałunek na jej czole, tam, gdzie białość jego przeświecała przez czarne pukle. Ona zapłonęła, ale nie obraziła się wcale, przeciwnie: zdawała się do niego garnąć.

— Napiszę teraz — zawołałem.

— Co? — spytał krótko Franciszek.

— Ostrzegę ją, ostrzedz muszę. To nawet mój obowiązek.

— Jeśli tak uważasz, ostrzeż, chociaż to się na nic nie zda.

— Dla czego?

— Dla czego! Widzisz, każdą rzecz zrobić trzeba w swoim czasie.

Tymczasem w pokoju panny Heleny rozmowa snadź z pola sentymentów zesłała na drogę praktyczną. On coś mówił, przekładał; ona słuchała, robiła jakieś uwagi, on je zbijał, magnetyzując ją ciągle szklami okularów.

Franciszek, który, równie uważnie, jak ja, z za gałęzi bzu przyglądał się tej scenie, mruknął:

— Założę się, że ten lotr chce ją wykraść.

— Zkąd wiesz? — zawołałem zelektryzowany.

— Tak bywa zawsze. Podziwiałem jego znajomość rzeczy.

— Prezes jest bogaty — mówił dalej — panna Helena jedynaczka.

— Więc ty sądzisz — szepnąłem — że nawet jej nie kocha?

W tej chwili zdawało mi się niepodobieństwem, by ktoś, na kogo ona patrzyła w ten sposób, którego tak oczekiwała, do którego garnęła się nakształt rozszalonego dziecka, mógł jej nie kochać.

— On — odparł z największą pogardą Franciszek — on — kochać!

Miłość, w jego wyobraźni poety, była czemś wzniosłym, niedostępnym dla zwyczajnych ludzi.

— Ja do tego nie dopuszczę, ja mu przeszkodzę, ja napiszę.

Tym razem nie namyślałem się ani nad stylem, ani nad kaligrafią, ani nad początkiem listu. Prawda, byłem dużo starszy, a przytem, jako aplikant w ówczesnej komisji skarbu, miałem ciągle do czynienia z piórem. No! nie chodziło tam wcale o żadne amory, tylko o cyfry; przecież list do panny Heleny poszedł mi gładko, jakem się tego nigdy nie spodziewał — może z powodu, że w nim tyle przynajmniej wagi miały fakta, co uczucia.

Napisałem jej wszystko, co o śpiewaku mówiono, jego romanse, szulerki, brudne życie, nieuczciwe sprawy, nie zapomniałem o peruce, fałszywych zębach, wyczernionych wąsach, latach sześćdziesięciu, które ukrywał starannie, bo nie wiem co wydawało mi się większą zbrodnią. Skończyłem list i przeczytałem go Franciszkowi.

— A teraz co? — zapytał.

— No, teraz trzeba go doręczyć.

— Podpisałeś się?

— Alboż ona zna moje nazwisko?

— To nic. List nie podpisany nie ma znaczenia.

Miał słuszność; zrozumiałem to i wyraźnie wykaligrafowałem: "Stanisław Burnicki"! Potem zapieczętowałem pismo herbowym sygnetem, który mi ojciec kazał zrobić na imieniny. Pobiegnę sam na górę, w chwili, kiedy wiedziałem, że nie ma nikogo prócz panny Heleny. Otworzyła Kasia. Znała mnie doskonale, była bardzo zdziwiona, ale list wzięła bez

namysłu, zwłaszcza, że w przystępie nadzwyczajnej hojności wsunąłem jej w rękę półzłotka.

Powróciwszy do mego obserwatorium, mogłem widzieć, jak go oddawała swojej panience. Panna Helena wzięła list z obojętnością osoby myślącej o czym innym, dla której zresztą nie było to rzeczą osobliwą.

W miarę jak czytała, krwawy rumieniec wybiegł na twarz. Przystąpiła też do okna, jak gdyby nie mogła dobrze rozpoznać pisma czy listu i tak stała zwrócona do mnie profilem, a ręce, w których je trzymała, drżały gwałtownie.

— Patrz — szepnąłem zdławionym głosem do Franka — czyta, czyta.

Przejmowała mnie dzika radość i razem strach nieokreślony. Panna Helena zadzwoniła gwałtownie. Kasia wpadła do pokoju.

Cóżbym był dał, żeby usłyszeć co mówiła, ale to było niepodobne! Za to mogłem widzieć doskonale jak list podarła w drobne strzępki i z gniewem rzuciła na ziemię.

Patrzyłem na to z przerażeniem; Franek nie zdawał się zdziwiony.

— Domyślałem się, że tak będzie — wyrzekł z flegmą czysto niemiecką.

— Czemużes mi nie odradził? — zawołałem ze łzami w oczach.

Spojrzał na mnie z głęboką powagą.

— Widzisz — odparł — mówiłeś, że to twój obowiązek: z obowiązkiem niema targu.

— Czyż to naprawdę był obowiązek?

— To zależy od pojęcia — wyrzekł bez namysłu — każdy go inaczej rozumie i sam sobie zakreśla.

— A teraz cóż mam uczynić? Tego już Franciszek nie wiedział.

— Zależy to od twoich uczuć.

W liście odważyłem się prosić panny Heleny

o chwilę rozmowy. Po tem, co zaszło, nie było prawdopodobnem, by mi jej udzieliła. Kasia miała mi wręczyć odpowiedź; domyślałem się, że gdzieś w bramie musi na mnie czatować, i pobiegłem jej szukać.

— O dla Boga! — zawołała, ujrawszy mnie — co mi też panicz narobił?

— Masz odpowiedź? — spytałem, udając, że nic nie wiem o fatalnym rezultacie korespondencji.

— Ale! właśnie też! — odparła — Panienska spytała się naprzód: kto list oddał? Widziałam zaraz, że jej się oczy pałą, jak wówczas, kiedy bardzo rozgniewana, więc mówię już prawdę, że to młody pan Burnicki. Jaki Burnicki? — pytała takim głosem, jakby ją coś w gardle dławilo. Dopiero musiałam powiedzieć, że to syn tych państwa, co tu mieszkali i wyprowadzili się, i że panicz codzień do pana Franciszka przybiega. Cóż to za pan Franciszek? — pyta znowu, Bo już ona taka, że choć przez okno

sto razy na kogo patrzy, to nie będzie wiedziała, jak się nazywa i nic jej to nie obchodzi. Tak ja powiedziałam, że to syn naszego gospodarza, także bardzo porządny panicz. Panienska przerwała. "Żebyś roi tu więcej takich listów nie nosiła; pamiętaj; powiedz tym, co cię przysłali, że ja nawet ich czytać nie będę, a ciebie precz wypędzę".

— I nic więcej? — spytałem skonfundowany.

— To paniczowi jeszcze mało! — zawołała Kasia, śmiejąc się, pomimo bury, odebranej od panny Heleny — bo ja to byłabym się chciała w mysią dziurkę schować. Panienska bardzo dobra, ale jak się rozgniewa, to nie ma z nią żartów.

Chciała jeszcze coś dodać, kiedy dojrzała z daleka ekipaż swoich państwa i skoczyła na wschody spłoszona. Prezesową powracała z doktorem, którego teraz często spotykała w alejach i zawsze zabierała na herbatę. Namyslałem się, jak mam dalej postąpić i nie wiem, doprawdy, cobym był wymyślił, kiedy w parę dni później Franek wpadł do mnie strasznie zalterowany. Właśnie wybierałem się do biura.
— Wiesz — szepnął mi z uwagi na ojca, który także gotował się do swojej pańszczyzny — panna Helena uciekła ze śpiewakiem.
Skamieniałem.

A Franek opowiadał mi półgłosem szczegóły tej banalnej tragikomedii.

— I cóż w domu? — pytałem.

— A cóż, nic! Wieczorem ojciec pojedzie do resursy, matka będzie piła herbatę z doktorem. Podobno zakochani pojechali gdzieś na wieś czy za granicę. Ślub wezmą, rodzice dadzą się z łatwością przeprosić. Kto wie: może i radzi są z tego wszystkiego, że im z głowy kłopot spadnie.

Franciszek miał słuszość: czułem to, przecież nie mogłem powstrzymać wyrazów oburzenia.

— Niegodziwa! — wołałem.

Ale on położył mi rękę na ramieniu i rzekł z przedwczesną powagą:

— Daj pokój. Biedna ona, najmniej winna, a najwięcej pokutować będzie.

Miał słuszość, uznałem to później. Bo też i łatwo być sprawiedliwym, kiedy nas cudze lzy nie boją.

Kiedy po obiedzie pobiegłem do Franciszka, przekonałem się, że dobrze znał ludzi. W domu prezesa nic się nie zmieniło. Walenty zajechał o zwykłej godzinie, prezesowa wprawdzie nie pojechała na spacer, ale za to doktor przyszedł znacznie wcześniej, a prezes nie opuścił resursy. Tylko kot osowiały wyglądał przez okna pustego pokoju, a papuga krzyczała przeraźliwie.

Tak się zakończył mój romans z panną Heleną,

prawdziwy romans bez słów, gdyż ani ona mojego, ani ja jej głosu nie słyszałem nigdy.

Ludzie, dowiedziawszy się o ucieczce prezesówny, śmieli się i mówili, że jabłko niedaleko pada od jabłoni, a ojciec powiedział do mnie:

— Biedna prezesówna! Matka miała słuszość.

Gdyby matka żyła, miałaby teraz piękne pole tryumfowania nad ojcem.

Już to ojciec kochał ją nad wszystko; śmierć tej miłości nie zerwała. Może wymawiał sobie postępowanie lat ostatnich, zmartwienia, jakie jej sprawiał: dość, że po jej stracie, uspokoić się nie mógł. Od rana zaraz wzdychał, gdy mu Marysia przynosiła kawę. Naturalnie, kawa nie mogła być tak dobrą, jak, kiedy ją matka przyrządzała; ojciec przecież nie robił żadnych uwag, chyba, że się śmietanka zwarzyła — pił w milczeniu. Stracił na długi czas ochotę do gawędki. Niekiedy tylko okazywał się weselszym, a było to w razie, jeśli mu się nieboszczka przyśniła; wówczas opowiadał swój sen i już

przez dzień cały miał rozjaśnione oblicze. Sen zaś, który mu sprawił tyle przyjemności, rozpamiętywał ciągle, przypominając sobie różne jego szczegóły, które w ciągu dnia powtarzał mnie i Marysi. Mieszkaliśmy wówczas tylko we dwóch z ojcem, bo Adaś, skończywszy Marymont, był na praktyce. Do urzędu nie miał on najmniejszej ochoty. Lubił nade wszystko świeże powietrze, gonitwy, do psów

miał szczególną namiętność, zawsze biegał na jakieś majówki, nawet raz jeden z kolegów zaprosił go na wieś w czasie wakacji.

Powrócił uszczęśliwiony i odtąd miał tylko wieś w głowie, a że w czasie owych pamiętnych wakacji nauczył się strzelać i udało mu się nawet zabić wróbla, miał się za wielkiego myśliwca.

Ojciec więc postanowił kierować go na leśnika. Mogło to wówczas dać dobre utrzymanie, bez wielkiego nakładu pracy i nauki.

Dziś do leśnictwa, ba! nawet do zwyczajnego gospodarstwa, trzeba kończyć uniwersytety, do wykonywania najprostszycy czynności wymyślono mnóstwo zawiłych nauk. Nie wiem: czy z tem jest lepiej?

Dawniej lasów było daleko więcej, gospodarstwo zaś przynosiło wielkie dochody. Każdy właściciel ziemski, nawet dzierżawca, żył jak udzielny książę na swojej wsi, pieniędzy miał huk; jak przyjechał do Warszawy, to go znać było, a kiedy zaprowadzono jarmarki wełniane i szlachta się na nie zjechała, to aż miło było patrzeć na wesołe, zdrowe, ogorzałe twarze z sumiastemi wąsami, które po mieście rozsiewały deszcz złoty.

My, urzędnicy, zazdrościliśmy im swobody, zdrowia, humoru, pieniędzy, a najwięcej, podobno, wąsów.

Wąsy stanowiły przywilej: urzędnikom nosić ich

nie było wolno. Dla czego? nie wiem. Nie było wolno i kwita. Niektórym było to przykro. Zdaje mi się, że antypatyę Adasia do stanu urzędniczego powiększał bujny, ciemny zarost, który mu się bardzo wczesnie wysypywać zaczął.

Wprawdzie i służba leśna podpadała ogólnym przepisom, ale kiedy kto mieszkał w jakim oddalonym leśnictwie, zapuszczał wąsy ukradkiem, dopóki jaka niespodziana okoliczność, objazd zwierzchnika lub coś podobnego nie zmusiło do pozbycia się tej ozdoby.

Ażeby dostać się do leśnictwa, potrzeba było ukończyć instytut agronomiczny w Marymoncie. Nie było to rzeczą trudną. Kurs w Marymoncie był dwuletni. Potem należało rok jeszcze być na praktyce przy jakim gospodarstwie lub leśnictwie; otrzymywało się patent, a przy jakiej takiej protekcji — miejsce podłeśnego, otwierające drogę do dalszej kariery.

Ojciec więc oddał Adasia do Marymontu, z czego on był uszczęśliwiony. Koledzy jego byli po większej części bogaci, szczególnie na wydziale agronomicznym, sami prawie synowie obywatelscy, bo na gospodarzy kierowali się tylko ci, co mieli własne majątki.

Dla czego szli oni do Marymontu, nie wiem właściwie, bo wszakże wierzono powszechnie, iż mądre gospodarstwa prowadzą do ruiny. Ludzie starej

daty śmieli się ze wszystkich ulepszeń, sprzeczano się o trzy lub czteropolówki, jak mi to Adaś tłumaczył. Ojciec zaś jednego z jego kolegów utrzymywał, iż wynalazł sposób godzący te dwa systemy, bo miał trzy pola, a co rok, czwarte dokupywał. Takim gospodarstwem nie każdy mógł się pochwalić. Pomimo to, Marymont był w modzie. Młodzież obywatelska się tam garnęła i bawiła doskonale. Złośliwi twierdzili, że to był powód tej mody. Niedarmo Marymont był przedmieściem Warszawy.

Ojciec, choć śmiał się z cioci Leosi, miał zawsze żyłę arystokratyczną, z przyjemnością więc wyliczał kolegów Adasia, lubił wspominać, że on także ma synowca w Marymoncie. Teraz właśnie powrócił z praktyki i miał już zapewnioną posadę podleśnego, gdzieś aż pod Ostrowiem.

Ja byłem już wówczas etatowym urzędnikiem. Nazywano mnie panem Stanisławem, a dnia Maja dostałem nawet parę biletów z powinszowaniem. Miałem też swoich kolegów i domy znajome, do których mnie oni wprowadzili.

Ojciec teraz mało gdzie był, zachował tylko przyjazne stosunki z domem państwa Pikalskich, którzy zawsze, w szczęściu i nieszczęściu, okazywali się dla nas jednakimi, zresztą, po biurowym zajęciu mało wychodził z mieszkania, chyba na Powązki lub do kościoła. Niktby w nim teraz nie poznał wesołego człowieka, który wiecznie śpiewał, żartował,

opowiadał komiczne anegdotki, a interesował się wszystkim.

Dawniej był ojciec w niedziele i święta regularnie w kościele, posty obserwował, na Wielkanoc się spowiadał, jak każdy dobry katolik; od śmierci matki, stał się niezmiernie pobożnym, wpisał się do różnych bractw i modlił się nieustannie. Resztę wolnego czasu poświęcał kanarkom, które bawiły go swoim świergotaniem i których domowymi sprawami interesował się bardzo.

Naturalnie, że ja szukałem sobie młodszego towarzystwa, i z tego powodu rozchodziliśmy się często z ojcem.

Raz właśnie, nad wieczorem, wybierałem się na spacer do Saskiego ogrodu, gdzie miało przyjść dwóch kolegów, kiedy usłyszałem, że ktoś wszedł do kuchni i rozmawia z Marysią. Po chwili jakiś obdartus przyniósł bilecik, napisany na różowym papierze, zapieczętowany jasnopopielatym lakiem, na kopercie zaś, podłużnym charakterem, stało napisane: "Monsieur, monsieur Stanislas Burnicki".

Zdziwiłem się ogromnie. Bilecików do mnie nikt nie pisywał, a jeszcze też takich ślicznych. Gdy który z kolegów lub znajomych miał interes, załatwiał go ustnie.

Nie marzyło się wówczas Warszawie o posłańcach, a dwadzieścia groszy wydawało się tak wielką sumą, iż, niezawodnie, nie byliby mieli zarobku.

Ludzie zamożni, piszący listy, rozsyłali je przez swoją służbę, daleko liczniejszą, niż dzisiaj.

— Zkąd to? — zapytałem.

— Z hotelu Gerlacha — odparł przypadkowy posłaniec, który czekał widocznie napiwka.

Dałem mu pięć groszy. Łotr nie zdawał się wcale z tego zadowolonym, i odszedł, mrużąc coś pod nosem.

W ojcu odezwała się dawna ciekawość.

— No, zobaczże, co to takiego — zawołał ojciec. Rozłamałem pieczętkę, na której był jakiś ptaszek z listem w dziobku.

— To od cioci Leosi! — zawołałem.

— Od Leosi? kiedyż ona przyjechała?

— Dzisiaj; prosi, by zaraz do niej przyjść, ma jakieś interesy.

— Naturalnie: interesów jej nie brak nigdy — wyrzekł ojciec, średnio rozczulony tym dowodem pamięci.

— Pisze — mówiłem dalej — iż miała wielką biedę z wynalezieniem naszego adresu; posyłała aż do Komisji Skarbu.

— Proszę, proszę! Musimy jej być mocno potrzebni, skoro sobie taki kłopot zadała.

Stosunki nasze z cocią Leosią od śmierci matki zerwały się zupełnie. Nie mieszkała w Warszawie, przytem ojciec, jak mi się zdaje, miał żal do niej, iż

jednym z powodów naszych nieszczęść była chęć wzbudzenia jej zazdrości.

Zresztą, ona szukała nas wówczas, gdy nie miała nikogo innego, a gdy uważała, że ma świetniejsze stosunki, to nam zaledwie głową kiwnęła. Prowadziła życie koczujące. Jeździła ciągle do swoich dawnych sąsiadów, przyjaciół, przesiadywała u nich po parę miesięcy, czasem nawet dłużej. Skarżyła się, że ani jej, ani Józii nie służy warszawskie powietrze.

Bodaj to na wsi! "My, obywatele" mówiła zawsze. Córki na pensję oddawać nie chciała, bo tam spotkaćby mogła mieszane towarzystwo. Nie było to rzeczą przyjetą w jej świecie. Ułożyła się z jedną ze swoich dawnych sąsiadek, która trzymała do swoich córek guwernantkę, francuzkę, i tam oddała Józję.

Ojciec odzywał się zawsze o cioci z przekąsem; wyśmiewał jej różne pretensje. Niemniej teraz ubrał się czempredzej i, zapominając nawet o zwykłej drzemce, poszedł ze mną.

Hotel Gerlacha przy KrakowskimPrzedmieściu zajmował plac, gdzie dziś stoi hotel Europejski. Od frontu był to budynek piętrowy, rosły przed nim dwie lipy, przez bramę wjeżdżało się na wielki dziedziniec, gdzie były stajnie i wozownie, a w głębi stał rodzaj pałacyku, także o piętrze, którego okna wychodziły na plac Saski. Hotel Gerlacha uważano za jeden z pierwszorzędných.

Szliśmy z ojcem szybko, bo chociaż byli poróżnieni z ciocią, nie mógł zapomnieć, że to była cioteczna siostra matki.
— Fiu, fiu! — odezwał się tylko, patrząc na front hotelu — Leosia zawsze ta sama.

Front ten, jak na dziś, nie byłby wcale wspaniałym, wówczas takim się wydawał.

Wprost bramy na prawo, ciocia zajmowała na dole sklepiony pokój od ulicy. Siedziała w rogu kanapy, wybitej włosienicą, otulona szalem, bo to już był Październik, a choć słońce dogrzewało w godzinach południowych, teraz w tym sklepionym pokoju było zimno, jak w piwnicy.

Gdyśmy weszli, powstała i z wielką serdecznością podała ojcu obie ręce. Ojciec ją po nich całował i słychać było tylko urywane słowa: "Lutku" "Leosiu", "Biedna Józienia". W tem wspomnieniu utonęły wszystkie zatargi i żale, jakie między nimi istniały.

Ja patrzałem na pannę, siedzącą pod oknem. Gdybym nie wiedział, że to Józia, nie poznałbym jej nigdy. Co prawda, nie widziałem jej od bardzo dawna. Za przykładem matki powstała i ona. Spoglądała na mnie przymrużonemi oczyma, jak wówczas, gdyśmy byli dziećmi oboje.

Byłem onieśmielony, bo chociaż przypomniały mi się żywo nasze zabawy, nie wiedziałem, czy ona pamięta je także, a przytem, wydała mi się tak

wspaniałą, tak strojną, tak inną od wszystkich panien, jakie widywałem.

— Józiu — odezwała się ciocia — nie poznajesz Stasia?

— Ah! mon cousin — zawołała prześlicznym głosem, wyciągając do mnie rękę, która w półcieniu, panującym w pokoju, wydawała mi się ze śniegu czy z alabastru.

Zaczerwieniłem się po uszy, nie wiem czy z powodu francuzkiego wykrzyknika, na który trudno mi było w tym języku odpowiedzieć, czy z powodu białości tej wąskiej rączki, która zdawała mi się tak mało podobną do innych, a szczególnie też do mojej, grubej, wielkiej ręki, iż zaledwie odważyłem się ostrożnie, jakby kwiat rzadki, ująć ją w swoją.

Boże! Jakżeż ona była piękna! Wysmukła, z kibicią powiewną, którąbym z łatwością objął dłońmi; jakby oblepiona ciemną, wełnianą suknią; z głową obwieszoną jasnymi warkoczami, które obejmowały cieniutką szyjkę; biała, że aż luna bila od jej twarzy.

Józia, zadowolona widać ze sprawionego wrażenia, zaśmiała się i zawołała:

— Cóż to, nie poznajesz mnie, Stasiu! Poznałem jej śmiech, głos, spojrzenie i dawne uczucia opanowały mnie tak silnie, iż zawołałem z nagłą determinacją:

— A jakże! Któżby ciebie nie poznał!

Ciocia Leosia postanowiła zimę spędzić w Warszawie; należało nająć mieszkanie, urządzić się, załatwić tysiączne interesy: oddawała się tedy pod naszą opiekę; rachowały obie z Józia, że jej nie odmówimy.

— Naturalnie, naturalnie — wołał ojciec — jesteście na wasze usługi. Najważniejsza rzecz mieszkanie.

— Tak, najważniejsza, trzeba, żeby było ładne.

— Ładne, naturalnie, ładne — powtórzył ojciec. — Właśnie jest parę ładnych pokoi do najęcia w domu, w którym mieszkamy.

— Na Zakroczymskiej ulicy! — zawołały ze zgrozą matka i córka, jakby zaproponował im rzecz ohydną.

— Alboż to Zakroczymska ulica co złego? — oburzył się ojciec — mieszka na niej bardzo wielu porządnym ludzi.

— Ależ nic złego, broń Boże — protestowała ciotka — tylko, tylko...

Szukała widocznie w myśli wymówki, któraby nas nie obraziła.

— To nawet bardzo ładna ulica — dodała — tylko tak daleko od środka miasta. Mamy trochę znajomych tutaj na Krakowskim Przedmieściu, Nowym Świecie, Senatorskiej, Miodowej: chcielibyśmy być blisko nich.

— To co innego — udobruchał się ojciec. Kiedy przyszło do szczegółów, pokazało się, iż

o obszerności mieszkania mieliśmy także bardzo różne pojęcia. Ciotka chciała dużego salonu, buduaru, przedpokoju, o resztę jej nie chodziło; musiała też mieszkać od frontu i, gdyby można, na pierwszym piętrze. Z balkonu mogła skwitować, bo na zimę był mniej potrzebny.

Ojciec, który znał jej środki, zadziwił się.

— Ależ, Leosiu — wyrzekł, kręcąc głową — to będzie wiele kosztowało!

— Cóż to znaczy! — wtrąciła nieuważnie Józia.

— Jakto, co znaczy?

Ciotka zaczęła się usprawiedliwiać. Przez ostatnie lata porobiła oszczędności; teraz chce córkę w świat wprowadzić i pokazać ją w otoczeniu odpowiednim.

Co mianowicie znaczyło odpowiednie otoczenie, tego nie tłumaczyła; nie wiadomo, czy wyraz ten stosował się do świata, w który wprowadzić ją chciała, czy też do piękności Józii. Jeśli do jej piękności, rzeczywiście miała prawo stawiać wymagania: przynajmniej ja tak sądziłem.

— Wszyscy muszą się w tobie kochać na zabój — szepnąłem.

— Wszyscy, to znowu nie — odparła, strojąc skromną minkę.

— Ilu też: przyznaj się?

— Albo ja wiem!

— Nie możesz nawet zliczyć.

— Poczekaj: — odparła z namysłem. — Pan Ludwik, pan Jan, pan Seweryn, to trzech.

— I to wszystko?

— Ah! jeszcze Zygmunt, jeszcze Kazimierz.... ah! i Henio — dodała niedbale. — Pamiętasz go pewnie.

Czym go pamiętał? naraz stanęła mi przed oczyma jego bladawą twarz i to wieczne: "Ja sobie kupię".

— A ty? — spytałem.

— Ja? cóż ja?

Niby nie rozumiała o co mi chodzi.

— Któryż ci się podoba?

— Pan Ludwik ma bardzo małą wioskę, pan Jan brzydki jak noc, pan Seweryn stary.... Zygmunt i Kazimierz, straszne
— szalały.
— A Henio?
— Henio! może jeszcze byłby z nich najlepszy, ale....
— Ale, co?
— Co tam o tem mówić: ja o żadnym z nich nie myślę.
— Naprawdę?
Wiedziałem, że Józia nie myślała także o mnie, jednak miło mi to było usłyszeć.
— Przecież się do klasztoru nie wybierasz? Spojrzała mi w oczy z wyrazem nagłej powagi.
— A gdyby? — wyrzekła powoli.

Zmieszałem się tak, iż nie wiedziałem co mówić dalej, i była między nami chwila milczenia.
Potem ona zaczęła znowu coś opowiadać, jakby o tym klasztorze żadnej wzmianki nie było.
— Zabawna ta Leosia — odezwał się ojciec, gdyśmy po godzinnej rozmowie wychodzili z hotelu — myśli, że z temi salonami, buduarami, strojami, tonami, Józję za męża wyda.
— Alboż to będzie trudno? — zawołałem. Ojciec się rozśmiał.
— Panna goła jak turecki święty, wymagań co niemiara, w dodatku mama na karku. Głupi byłby, ktoby się z nią ożenił.
— Jakże byłbym szczęśliwym — pomyślałem — gdybym tylko mógł zostać tym głupim. Ha! żeby tak wygrało się ten proces!
— Nawet nie ładna — ciągnął dalej ojciec.
— Co też ojciec mówi?! — zaprzeczyłem gorąco.
— Dla ciebie, widzę, każda ładna.
— Wcale nie każda, ale Józia ...
— Cóż Józia! blada, chuda, mizerna jak nieszczęście: ani się umywa do Justyny.
Panna Justyna była to córka pana Pikalskiego.
— Jakże ojciec nawet może porównywać! Ojciec popatrzył na mnie swoim dawnym figlarnym wzrokiem.
— No, no, to ot tak — wyrzekł. A potem dodał:

— Rzeczywiście: porównania nie ma, Justysia dziewczyna jak łania. Młodziutka, prawie dziecko. A jaka gospodyni! każdym w domu pomyśli, każdemu dogodzi, chorą matkę pielęgnuje, rodzeństwa dogląda, pracuje od rana do wieczora i jeszcze wszystkich rozweseli. Śpiewa zawsze jak ptaszek.
Milczałem. Cóż mnie tam do przymiotów jakiejś panny Justyny! Widywałem ją niedawno w krótkiej sukience z rozrzuconemi włosami, z podrapanemi, czerwonemi rękami — i nie zauważyłem nigdy. Teraz zaczęto ją uważać za dorosłą, skończyła właśnie lat siedemnaście. Nie wiem co sobie ojciec w niej upatrywał. Wysoka, rumiana, szatynka, miała wielkie, piwne oczy, usta trochę za szerokie, nosek zwyczajny.

Gdzie jej się tam umywać do wysmukłej figury Józki, do jej olśniewającej białości! Wprawdzie, przekonałem się potem, że tę białość zawdzięczała po części ryżowej mące, że włosom nawet nadawała za jej pomocą ten zachwycający, popielaty odcień. Ale przecież i Justynie wolno to było czynić. Dla czegoż nie postarała się być równie piękną? Dla czego nie otaczała się tą atmosferą woni i wykwintu, która czyniła z Józki istotę podobną do zjawiska? Kiedy, na przykład, poruszyła główką, rozchodziła się w koło woń irysu, białe jej paluszki, zakończone różowymi paznokciami, jak szkło świecącymi, pachniały fijołkami; nie chciało ich się puścić z ręki, od

ust oderwać. Istne cacka, stworzone tylko do pieszczoty. Jakże szczęśliwym będzie człowiek, co uzyska prawo pieszczenia ich przez całe życie!

Nazajutrz w biurze, ledwie mogłem dosiedzieć; na obiad wpadłem jak po ogień, gniewałem się nawet na Marysię, która marudziła z pieczysem.

Ojciec tylko uśmiechał się i mruzczał:

— A to cię już baby w swoją służbę zaprzęły! Idziesz im szukać mieszkania?

— Ciocia prosiła wczoraj — odezwałem się zmieszany nie wiem czem, bo przecież żeby nawet nie Józka, należało cioci dopomódz,

— No idź, idź — odparł — tylko pamiętaj, że dziś imieniny Pikalskiego: idziemy do nich przed ósmą.

Dzisiaj nie bardzo mi się tam iść chciało, ale trudno; nie mogłem się w taki dzień wymówić.

Szukaliśmy tedy z ciocią i Józka mieszkania. Nie była to rzecz łatwa. Mnie się nieraz zdawało coś doskonałym, a im się nie podobało. To wschody były ciemne, to okna nie dość duże, to drzwi nie miały dwóch skrzydeł. Zaraz wołały: Fi! fi! albo też kręciły nosem, rzucały parę francuskich wykrzykników i wynosiły się czempredzej, chociaż ja nie mogłem nawet zmiarkować, o co im chodziło.

Nie wiem, na co im byłem potrzebny w tych poszukiwaniach; ale mówiły, że bez mężczyzny w takich razach obejść się nie można. Prawda, iż trzeba

było zawsze szukać stróża, schodzić do suterenu, przechodzić przez brudne dziedzińce, wciskać się do różnych nor: jakżeby to zrobiła ciocia lub Józka, wystrojone w świeże okrycia i duńskie rękawiczki! Nieraz, gdy tylko drzwi od mieszkania stróża otwierałem, one już krzywiły się i podnosiły do twarzy batystowe chusteczki, z których aż biły przyjemne wonie.

Szukaliśmy dnia tego ze dwie godziny i nic nie znaleźli, a że Józka była zmęczona, wróciliśmy do hotelu.

Przechodząc koło Wizytek, Józka z omdlewającym spojrzeniem wskazała mi nieznacznie zabudowanie klasztoru, końcem różowej parasolki.

— Patrz! jak tam spokojnie! — szepnęła.

Zadrzałem, chciałem ją błagać, by porzuciła podobne myśli, ale ona dała mi wymowny znak milczenia. Potem; dopiero, gdy ciocia została trochę w tyle, zapatrzona w jakąś sklepową wystawę, dodała z przyciskiem:

— Mówię to jedynie tobie, Stasiu! Widocznie matki martwić nie chciała. Przekonało mnie to, że nietylko była piękną jak marzenie, ale miała złote serce.

Był to więc rodzaj tajemnicy pomiędzy nami. To upoiło mnie radością. Ufała mi, słusznie: nigdy nie byłbym jej zdradził.

Nazajutrz znów mieliśmy szukać tego mieszkania, dziś trzeba mi było odejść.

— Czegoż się śpieszysz, Stasiu? — pytała Józia w ten sposób, usadowiona w fotelu, że z pod sukni wyglądały końce prunelowych bucików.

Jaż wówczas nie noszono oddawna trzewików z bandażykami.

Musiałem się przyznać, że mam wieczór.

— Wieczór! — zawołały matka i córka. — Wszakże to jeszcze nie sezon.

— Nie wiem czy sezon — odparłem — bo wyraz ten słyszałem po raz pierwszy, ale co rok o tej porze jest wieczór tańczący na Ś go Łukasza w imieniny gospodarza.

Imię im się nie podobało.

— I u kogóż to? — spytała niedbale Józia.

— U państwa Pikalskich: on jest w tym samym biurze....

Nie dokończyłem, bo Józia wybuchnęła śmiechem.

— Łukasz Pikalski — wołała, przerywając sobie kaskadami wesołych tonów — Łukasz Pikalski! C'est trop drôle.

— Łukasz Pikalski — powtórzyła pogardliwie ciotka, — Ten biedny Lutek, nigdy nie umiał dobierać stosownego towarzystwa. Niechby już sobie tam bywał, ale ty?....

Nie wiedziałem, w czym Pikalscy gorsi są od Burnickich.

— Tam pewno jest i panna Pikalska? — nagle zagadnęła Józia.

— A jakże: jest, panna Justyna.

— Widzisz, Stasiu. Zaraz to zgadłam po twoim pośpiechu. Przyznaj się.

Do czego ja się miałem przyznać?

Józia wyprostowała się nagle, zapominając o zmęczeniu, i zaczęła zadawać mi tysiące pytań. Jak ta panna wygląda, czy często u nich bywam, czy dobrze tańczy, ile ma lat, jak się ubiera?

Co ją to wszystko mogło obchodzić? Odpowiadałem, jak mogłem, i ani się spostrzegłem, że czas leci. Była już siódma, gdy się zerwałem przestraszony. Musiałem odejść. Józia wcale moich tłumaczeń nie przyjmowała, chociaż wiedziała, że z ojcem pójść muszę. Nie wiem czemu rozgniewała się na mnie, nie chciała mi nawet podać ręki na pożegnanie.

Wyszedłem, zły piekielnie, przeklinając wszystkich Pikalskich.

Chociaż pędziłem do domu ze wszystkich sił, zastałem już ojca we fraku. Frak ten pamiętałem od lat dziecińczych.

Bodaj czy nie był to frak ślubny. Ojciec kładł go tylko w nadzwyczajnych okolicznościach. Stał teraz przed zwierciadłem nad kanapą, jedynym, jakiegoś posiadali, i pracowicie zawiązywał sobie krawat. Czynność ta, wprawiała go zwykle w najgorszy humor, bo nigdy należycie wykonać jej nie umiał. Dawniej zawsze pomagała mu matka.

— A, jesteś! — odezwał się wreszcie. — To wielkie szczęście. Myślałem, żeś już o wszystkim zapomniał, że cię te baby zupełnie opętały.... No, dziękuj Bogu, że nie jesteś dobrą partią, bo już by po tobie było.

— Ojciec nie zna Józi — zawołałem. Kiwnął ręką lekceważąco.

— Nie znam! nie znam. Kto ci to, u diabła, powiedział? Takich, jak Józia, znałem kopami. Do każdego stroją miny, zawracają oczami, a szukają najbogatszego. Obaczysz sam.

Cóż miałem się darmo z ojcem spierać? Wiedziałem, żeby się to na nic nie zdało. Nie mógł zawiązać krawatu; do tego ja się spóźniłem. Wszystko to spadło na biedną Józję.

Ona, ona szukałaby bogactwa; ona, co nie znała nawet wartości pieniędzy, ona, co wdychała tylko do ciszy klasztornej?! Nie podobna mi było jednak wyjawić ojcu tego, co wiedziałem: wszakże dała mi jasno do zrozumienia, że to była tajemnica.

Ubrałem się tymczasem pośpiesznie, ojciec krawat jako tako zawiązał, i poszliśmy. Deszcz lał jak z cebra. Przecież nie myśleliśmy brać dorożki: od czegoż kalosze i parasole? Na szczęście, Pikalscy mieszkali nie zbyt daleko, na Podwalu. Nie my jedni odbywaliśmy taką pieszą wędrówkę; niedługo ujrzeliśmy idących przed nami państwa Herbarskich, młode małżeństwo. Ona sama słyneła

z wielkiej elegancyi, lubiła bawić się szalenie. Mąż prowadził ją otuloną w okrycie, pod którym misternie umiała podnosić tarlatanowe sukienki, tak, iż zawsze wchodziła do salonu świeżutka, jakby z igły; włosy ślicznie uczesane otulała tiulową chusteczką, a zgrabne nóżki kryły się w kaloszach.

— Do stópek się ścielę pani Herbarskiej, Dobrodziejki — odezwał się ojciec z właściwą sobie galanterią.

— Panowie także na Śty Łukasz — odparła wesoło zagadniona, brnąc bez wahania po błotnistym trotuarze wśród ciemności prawdziwie egipskich, jakie zalegały wówczas ulice Warszawy.

— Ostrożnie, Dziuniu, ostrożnie, tu zepsuty mostek — wołał mąż — a jakbyś nóżkę stłukła, nie mogłabyś tańczyć.

Pani Dziunia, przerażona podobną perspektywą, uważała, zrobiła jednak uwagę, iż księżyc powinienby przyświecać w dnie imienin i balów, bo o gęstszych lub jaśniejszych latarniach w mieście nikt wówczas nie marzył. Pan Herbarski zaś żałował, że nie wziął latarki ręcznej, którąby przed swoją panią drogę roświetlał.

Tuż przed domem Pikalskich spotkaliśmy znów rodzinę, złożoną z ojca, matki i trzech dorosłych panien, które także dążyły do jednego celu. Były powitania i wzajemne tłumaczenia, dla czego schodzono się tak późno, bo właśnie poblizki zegar ósmą

wydzwonił. Potem weszliśmy w niezmiernie długi dziedziniec, w którym już zupełnie szłoby się po omacku, gdyby oświetlone okna mieszkania, nie wskazywały ścian; potem były wschody, na których migąło blade światło łojówki, potem jakiś ciemny korytarz, a w końcu drzwi na oścież otwarte, po za którymi widać było pełno mężczyzn i posadzkę lśniącą jak zwierciadło.

W tych drzwiach spotkał nas pan Pikalski, maleńki, łysy, okrągłutki człowieczek, wołając:

— Witajcie! witajcie! jak można tak późno? traciliśmy nadzieję.

Całował panie po rękach, ściskał panów.

Witała nas także panna Justyna, w różowej, żagnotowej sukience, świeżutko wypranej, w czarnym, jedwabnym fartuszk.

My, mężczyźni, rozbieraliśmy się w korytarzu, panie zaś panna Justyna zabrała czempredziej do bocznego pokoju.

Wchodziły tam, podobne do nietoperzy, osiłekające wodą, wychodziły, a raczej wyfruwały, niby tęczowe motyle, oswobodzone z gąsienicznej skórki.

Jeszcze, kiedy się rozbierały, słychać było przez drzwi wesołe śmiechy, wykrzykniki podziwu nad suknią, uczesaniem, kwiatami. Pani Dziunia chwaliła się głośno, że sama swoją toaletę uszyła; podziwiała ją: panna Justyna, oraz panny; Mania, Krysia, Zosia, które znów same wyrobiły stokrotki i róże, jakie

miały we włosach. Potem jedna po drugiej ukazywały się we drzwiach, witane ponownie przez pana Pikalskiego, któremu składały swoje życzenia i szły powitać panią Pikalską. Ta ostatnia, pomimo wiekuiestej choroby, przykuwającej ją do fotelu, ubrana starannie, zdawała się niezmiernie rozradowaną uroczystością domową i każdemu z osobna dziękowała za przybycie.

Śpieszono się z podawaniem herbaty, panna Justyna sama obnosiła do niej babkę, własne arcydzieło, zaręczając, że jest domowego wypieku. Goście zajadali, chwając młodą gospozię. Tymczasem pani sędzina, siostra pana Pikalskiego, usiadła do fortepianu i zagrała walca. Na ten sygnał niecierpliwa młodzież posunęła się, jak jeden mąż, ku tancerkom i w jednej chwili salon cały zaroił się od wirujących par i przedstawił zawieruchę fraków i lekkich sukien, która zatrzymała się dopiero wówczas, gdy pani sędzinie sił zabrakło do dalszego grania.

Natychmiast podbiegła jedna z tancerek, ażeby zająć jej miejsce przy fortepianie; taniec szedł dalej, i tak było, ile razy zmordowały się czyje ręce.

Nie trzeba było nikogo zachęcać, namawiać, prosić. Każdy się bawił. Kiedy kto był zmęczony, panna Justyna lub jej siostrzyczka Anusia, albo też który z jej braci, częstował wodą z sokiem. My, młodzi, zmiataliśmy stopy butersznytów, i zapijali je piwem.

Panie starsze siedziały na kanapach i krzesłach, ustawionych około ścian salonu, i pilnie przypatrywały się tańczącym. Pan Pikalski zaś był w swoim pokoju, otoczony przyjaciółmi, wśród gęstych kłębow dymu, bo panowie palili fajki. Krążyły pomiędzy nimi lampki wina, które nam, młodym, nalewano tylko przy kolacyi, abyśmy mogli wypić zdrowie gospodarza. Niektórzy z panów grali w wista, dwóch zabawiało się szachami. Stało przy nich dużo przypatrujących się; inni rozmawiali.

Mój ojciec należał do tych ostatnich. Czasem tylko stawał we drzwiach salonu, zwabiony ochoczemi skrętami mazura. Był niegdyś sam doskonałym tancerzem, a gdy na nas patrzył, pomimo wszystko przypomniały mu się dawne czasy, bo uśmiechał się, wybijał takt, podskakiwał niekiedy; utrzymywał jednak zawsze, że za jego czasów wcale inaczej się bawiono.

Nie wiem, jak tam było za jego czasów; ale co za moich, to bawiono się wybornie. Oto u Pikalskich, naprzykład, przy każdej sposobności aż ściany drżały od ochoczych pługów. Nieraz, bywało, pokoik malutki, par dużo, zmieścić się trudno, a cóż dopiero poruszać! To jednak nic nie szkodziło: nadeptują jedni na drugich, a tańczą. Zabawa też była łatwą. Nie wymagano ani wykwintnych potraw, ani napojów, ani kosztownego stroju. To też przy lada herbatce,

młodzież wyskakiwała, że aż miło. Prawda, że młodzież była ochotna, nie namyślała się godzinę przy drzwiach salonu, od którejby panny zacząć, nie kładła przez pół godziny rękawiczek i nie dawała poznać całem obejściem, iż czyni łaskę gospodarzowi swoją obecnością, oraz swoim wyborem kobiecie, z którą tańczy.

Ja i moi koledzy byliśmy zawsze wdzięczni, gdy nas zaproszono, bawiliśmy się nawet na najmniejszej wieczorynce: a cóż dopiero na takim balu jak u Pikalskich! Bo to i salon duży i przyjęcie świetne. Mogło mi się nie chcieć odchodzić od Józki, zwłaszcza, że mnie ciocia zapraszała na herbatę, ale to była rzecz osobista; tu tańczyłem, jak inni.

Duszą zabawy była panna Justyna. Wszędzie jej było pełno. Widzę jej różową sukienkę w skrętach mazura, a tu czarodziejskim sposobem znajduje się przy mnie i prosi serdecznie, bym co zjadł i wypił i znów odzywa się jej głosik przy fortepianie, dziękując jakiejś pani, która się tak męczy dla ich przyjemności, a wreszcie frunie do jadalnego pokoju i powraca ztamtąd z tacą limonady.

— To mi dziewczyna: do tańca i do różańca! — mówił mój ojciec zachwycony, śledząc skromną, różową sukienkę, która pojawiała się zawsze tam, gdzie była potrzebna. — A przytem jaka ładna!

Panna Justyna była rzeczywiście dobrą tancerką

i bardzo uprzejmą gospodynią; ale już co do piękności, to się z ojcem nie zgadzałem.

Trzeba jednak przyznać, iż goście państwa Pikalskich po większej części podzielali jego zdanie; ze wszystkich stron powtarzano:

— Panna Justyna ślicznie dziś wygląda.

Była rumianą jak zorza, a piwne oczy, pełne tak szczerzej wesołości, tak uważne były na potrzeby i chęci każdego, tak bardzo pragnęły im zadość uczynić i oświecały takim blaskiem twarz całą, iż każdemu podobać się musiała.

To też, kiedy koło dwunastej podano kotlety z groszkiem i indyki z kompotem, które wówczas stanowiły wspaniałą imieninową kolację, kiedy wniesiono zdrowie gospodarza i jego domu, wszyscy patrzyli na pannę Justynę. Nie usiadła ona na jedną chwilkę przy stole, nawet nie wiem czy miała czas zjeść choćby jeden kąsek, bo bez ustanku ona, siostra i dwóch braci w uczniowskich mundurkach, pomagało młodszej, któraby sobie rady nie dała, przysuwając, częstując, nalewając, usługując gościom.

Już dzień był, kiedyśmy po białym mazurze do domu wracali.

— Fiu! fiu! Co za bal! — mówił ojciec. — Jużto Pikalscy umieją przyjąć.

Pod tym względem musiałem przyznać mu słuszność; atmosfera domu Pikalskich miała tę osobliwość,

że każdy czuł się u nich jakby we własnym domu. Ojciec był rozweselony licznymi kieliszkami węgryna, które starsi panowie spijali przy gawędce. Od śmierci matki nie widziałem go w tak dobrym humorze, nucił nawet półgłosem: "Niech ryczą spienione fale", jak za dawnych czasów.

— Z tej Justysi to dopiero będzie żona — wyrzekł wreszcie, patrząc na mnie z pod oka, Nazywał pannę Pikalską Justysią, bo ją znał od małego dziecka. Milczałem: cóż miałem powiedzieć? Nie wątpiłem o prawdzie tego prognostyku. Ale cóż mnie to obchodziło?

— Czy wiesz — mówił dalej ojciec — że choć taka młodziutka, starało się o nią już kilku: Adam, ten przystojny brunet — ojciec jego ma dużą kamienicę, pan Antoni, który bierze już trzysta rubli pensyi i jeszcze ktoś tam — wszyscy ludzie z pozycją?

— Panna Justyna pewno którego wybierze.

— Gdzie tam! — odparł, przystając na błocie trotuaru z filuternym wyrazem na twarzy — wszystkim dała odkosza. Cóż ty na to?

— Ja? cóż ja?

— A ty, ty! Oto gdybyśmy raz wygrali ten proces, albo gdybyś się większego etatu dosłużył, myślę, że wiedziałbyś co odpowiedzieć.

Uważałem ja nieraz, że panna Justyna była na mnie szczególniejszą łaskawa, i patrzała tak jakoś swemi piwnymi oczyma, jakby chciała mi nieba przychylić.

Ale cóż to znaczyło? o małżeństwie myśleć nie mogłem, a choćbym i mógł, czy mnie kiedy była w głowie panna Justyna?

Ojciec, cały zajęty swoją myślą, dorzucił:

— Oj, chłopaku, masz szczęście.

Gdzie je tam miałem! Po obiedzie, choć zaledwie przedrzemnąłem się przed biurem, pobiegłem do ciotki, bo obie z Józją, nie wiem z jakiego powodu, wymogły na mnie obietnicę, że im zdam relację o balu.

Dnia tego matka i córka były w bardzo złych humorach. Sprzeczały się o coś; słyszałem nawet przeze drzwi ostry głos Józji i słowa wyrzeczone w sposób wcale nie parlamentarny:

— Mama to zawsze tak: zrobi jakieś głupstwo, a potem....

Nie wiedziałem jak wejść. Cofnąłem się po cichu, potem podszedłem z hałasem, chrząkając, i zastukałem do drzwi. Natychmiast Józia odezwała się zupełnie z innego rejestru:

— Proszę, proszę.

Ciocia, obwinęta szalem, siedziała na kanapie; Józia, zwyczajem swoim, przy oknie. Nóżką wybijała o podłogę takt jakiegoś energicznego marsza.

— A, to ty, Stasiu! — wyrzekła obojętnie.

I nic nie mówiąc, dalej wybijała swego marsza.

Zrobiło mi się przykro. Przypomniałem sobie, iż wczoraj Józia chciała gwałtem zatrzymać mnie na

herbatę, nadąsała się nawet, gdym wychodził. Miałem już tłómaczyć się po raz drugi: dla czego zostać nie mogłem, kiedy ciocia zagadnęła:

— Cóż ten bal? Dobrzeście się bawili?

— Wybornie! — zawołałem uniesiony prawdomównością — u Pikalskich bawią się zawsze.

Nie wiem czemu Józia zrobiła zadąsaną minkę, a w oczach jej pokazały się złośliwe iskierki.

— Zapewne z powodu panny Justyny — wyrzekła z przekąsem. — No, jakżeż była ubrana?

Jak ona zapamiętała to imię! Zastanawiałem się nad tem, gdy Józia powtórzyła:

— No, mówże! mów.

— Miała różową sukienkę i czarny fartuszek.

— Co? Co? fartuszek! — zawołała — fartuszek, fartuszek...

I śmiała się na cały głos, powtarzając to słowo, jakby to była rzecz niezmiernie zabawna. Wtórowała jej matka. Nie mogłem zrozumieć, co tu było śmiesznego.

— Przecież — wyrzekłem — panna Justyna musiała gospodarować, częstować.

— Jakto! nie było lokai? nie oni roznosili lody, chłodniki, cukierki? — z kolei zapytała ciocia z najwyższym zdziwieniem.

— Gdzieżby u Pikalskich lokaje? — zawołałem naiwnie.

— W takich razach najmuje się — objaśniła mnie łaskawie.

Byłem zbity z tropu i w żaden sposób nie mogłem zrozumieć, do czego ci lokaje mieli być niezbędni.

— A pod tym fartuszkem — spytała znowu Józia, którą kwestya toalety najwięcej obchodziła — jakąż kryła się suknia, tiul, krepa, koronka?

Musiałem wyznać, że suknia była żagnotowa. Wywołało to ze strony Józii nowy wybuch śmiechu i pogardliwe wyrazy.

— Ależ ta twoja panna Justyna, była ubrana jak pokojówka!

Chciałem zaprotestować przeciwko temu twoja nie dano mi przyjść do słowa. Józia i ciocia wypytywały się o apartament, przyjęcie, liczbę karet a gdy się dowiedziały, że do Pikalskich wchodziło się przez korytarz, że goście przyszli piechotą, nie było końca wykrzyknikom.

— Dieu puissant! — wołały, nie znajdując w polskim języku słów dość energicznych na wyrażenie swego oburzenia.

Myślałam, że kolacya przynajmniej zyska ich aprobatę; ale gdzie tam! Wytknęły to, że nie było ryb, majonezów, lodów, cukrów, deserów, i już nie wiem czego.

— Mój biedny Stasiu! — odezwała się wreszcie ciocia, tonem najwyższego politowania — w jakim

wy towarzystwie żyjecie, wy, co pochodzicie z dobrej rodziny. C'est épouvantable.

Byłem zmieszany, jakbym popełnił jakąś winę; jednakże zdobyłem się na uwagę, iż dom Pikalskich jest bardzo szanowany.

— Ah! mój Boże, któż temu przeczy? — mówiła ciocia — i szewc z przeciwka może być bardzo uczciwym człowiekiem i mogą go sobie szanować inni szewcy!

Przyrównanie państwa Pikalskich do szewców przeraziło mnie; zaprotestowałem nieśmiało, iż on jest naczelnikiem w biurze. Moja protestacyą nie odniosła pożądanego skutku. Uczułem wówczas, iż w przekonaniu cioci szewc a urzędnik to prawie wszystko jedno.

Józia nic nie mówiła, nastroiła pogardliwą minę. Ciągle zwracała się do okna.

— Wyglądasz kogo? — spytałem, chcąc nadać inny tok rozmowie.

— Kogóżby? — odparła pośpiesznie — nie oddaliśmy jeszcze wizyt.

— Trudnoby nawet tutaj kogo przyjąć: nie mamy służby — dodała ciocia.

W miarę ubiegających godzin humor Józii był coraz gorszy. Ja nie odchodziłem, bo wiedziałem, że ma coś do mnie, i korzystałem z chwili, gdy ciocia nie uważała na nas, przyglądając sobie włosy przed lustrem, by pochwycić rączkę kuzynki.

— Gniewasz się? — szepnąłem.

— Dajże mi pokój! — odparła opryskliwie — idź do twojej panny Justyny.

Stałem jak wryty.

Czego ona odemnie chciała? Ha, kiedy tak, nie miałem tu dziś co robić i już chciałem sięgnąć po kapelusz, gdy Józia uśmiechnęła się po dawnemu.

— Jaki ty jesteś dziwny! — rzuciła — głowa mnie boli, nic więcej.

— Nic więcej? na pewno. Może co przynieść z apteki?

Józia wyznała mi w końcu, że ją wszystko męczy że jej źle, smutno, że chciałaby umrzeć, albo pójść do klasztoru. A gdy to mówiła, widziałem, że miała łzy w oczach, i gdyby nie matka, byłaby się rozszołała.

Nazajutrz wyszliśmy znowu szukać mieszkania. Panie dnia tego śpieszyły się bardzo: gdym przyszedł, zastałem je już ubrane do wyjścia. Józia wyglądała jak wycięta z journalu. Dzień był chłodny. Miała na sobie płaszczyk nadzwyczaj modny nieokreślonego koloru, który, jak mnie objaśniła, miał nazwę "bone de Paris", a podszyty był gorąco oranżową materją. Przytem biały, aksamitny kapelusik "pamela" powiedział mi to także. Kapelusz podnosił się z boku, odkrywał uszko drobne z kolczykiem w kształcie kłosa. Pod okrągłą bródką, opatrzoną różowym dołeczkiem, wiązały się wstążki, obejmując cudnie drobną twarzyczkę.

Jak też ojciec nie widział, że nic piękniejszego nie było na świecie!

— Jesteś przecież! — zawołała Józia, widząc mnie wchodzącego — czekamy.

Podbiegła ku mnie, jakby z niecierpliwości nie mogła ustać na miejscu. Ciocia zaś wzięła moje ramię.

Chodziliśmy przez główne ulice, upatrując wywieszonych kart, ale mieszkania mogliśmy w ten sposób szukać całe sto lat i nigdy go nie znaleźć, bo, jak już odnalazłem stróża i dowiedziałem się dokładnie gdzie iść należy, panie, które czekały na ulicy, nagle zmieniały zdanie i szły dalej. Stawały potem przed różnymi domami, wysyłały mnie na zwiady w różne strony, ale czyniły to jakby im wcale o co innego chodziło, bo nawet żadnego mieszkania nie oglądały — włączyły się tylko po głównych ulicach.

Trwał już ten spacer ze dwie godziny, gdy nagle na Senatorskiej obaczyłem zdaleka jakąś dziwną figurę.

Był to młody człowiek, z długimi, jasnymi włosami, które spadały mu aż na ramiona, z kozią, ryżą bródką, rzadką jak żyto na piasku, z zatartymi rysami, bladymi oczami, bladą cerą i wyrazem zmęczenia. W rękę trzymał czarną laseczkę z misternie wyrobioną ze złota trupią główką, a w lewe oko miał wciśnięte szkiełko, które się tam, nie wiem jakim cudem, trzymało. Ubrany był w sukno tak jasno

popielate, że wydawało się prawie białem, miał jasny, góralski kapelusz z liliową sznelą i liliowy krawat, w który także wpięta była trupia główka.

— A toż co za cudak! — chciałem zawołać, ale spojrzawszy na Józję, umilkłem nagle, bo ona zobaczyła go także, a nawet zarumieniła się gwałtownie, on zaś uczył kapelusza.

— Pan Henryki — zawołała ciocia po francuzku z niezwykłą żywością — co za siurpryza, z kąd pan się tu wziął?

— Myślałyśmy — dorzuciła tymże tonem Józia, także po francuzku — że pan gdzie w Wiedniu! Berlinie, Paryżu, a pan w naszej nędznej mieścinie; Czy na długo? Gdzież pan zimę spędza?

Pan Henryk, osypany tym gradem słów, stał niedbale, gładząc od niechcienia swą rzadką brodę i przypatrując się nam przez szkiełka.

Przejeżdżał tylko przez Warszawę, na polowanie do swego przyjaciela, hrabiego X. Dalej nie wiedział jeszcze, co z sobą zrobi. Naturalnie, za granicę pojechałby chętnie, zwłaszcza, że namawia go do podróży drugi jego przyjaciel, książę Y., który wybiera się do Paryża; ale mama jest trochę cierpiąca: nie chciałby się z nią rozłączyć, doktorzy wysyłali ją na południe. Nic nie było jeszcze pewnego.

Mówił powoli, niedbale, jakby wypowiedzenie słowa było dla niego zmęczeniem, a cedził wyrazy w ten sposób, iż samogłoski miały osobliwe brzmienie

nie: a było podobne do e, e do i, r zaś wymawiał przeciągle i niewyraźnie, jakby zamiast jednego, tych r było kilkanaście z rzędu.

Panie skwapliwie zapraszały go do siebie: on się drożył, nie wiedział czy znajdzie chwilę czasu; pożegnał się jednak, obiecując swą wizytę, magnetyzowany może oczyma Józi, które uśmiechały się, prosiły, błagały, stawały się słodkimi jak cukier, albo też z kolei iskrzyły się jak ogień.

Cała rozmowa toczyła się po francuzku; zdawało się, że tylko tego języka między sobą używać mogą.

O mnie ciocia i Józia zapomniały zupełnie, dopiero kiedy pan Henryk — ów dawny Henio — spojrzął na mnie przez swoje szkiełko, uważały za stosowne zapoznać nas.

— Mon cousin, Stanislas — odezwała się Józia, prezentując — pamięta go pan, zapewne: bawiliśmy się kiedyś we troje.

— Nie przypominam sobie — odparł niedbale, odpowiadając powoli na mój ukłon.

Miałem ochotę go zbić, choć nie z tego powodu. Cóż mnie tam mogło chodzić o jego pamięć lub ukłon; tylko było coś w jego całym zachowaniu się drażniącego dla mnie.

On może na prawdę zapomniał, ale co ja, to pamiętałem doskonale to jego: "Ja sobie kupię", które już wówczas przyprowadzało mnie do wściekłości.

Nie szukaliśmy już więcej mieszkania dnia tego.

Wracając do hotelu, ciocia z Józia mówiły tylko

O Heniu. Ja, naturalnie, milczałem. Dnia tego nie zatrzymywały mnie wcale.

Wieczorem ojciec opowiadał, iż spotykał od kilku dni przejeżdżającego się po Krakowskim Przedmieściu jakiegoś dziwoląga, a po opisie od razu poznał, że to był Henio. Przyszło mi na myśl, że ciocia i Józia, które wiecznie siedziały w oknie, musiały widzieć go także, ale jakoś ani o tem, ani o naszym spotkaniu nic nie powiedziałem.

Nazajutrz postanowiłem wcale do nich nie chodzić, tem bardziej, iż ani nie dały mi żadnego zlecenia, ani nie naznaczyły godziny, o której mam się stawić. Dzień był ładny: po obiedzie postanowiłem przejść się trochę po Saskim Ogrodzie; ojciec przypomniał mi, iż słyszał od pani sędziny, ciotki panny Justyny, że tam będzie wraz z siostrzenicami.

— Panny — dodał ojciec — zawsze lubią, żeby im młodzież asystowała.

Mówiąc to, uśmiechał się filuternie.

— A ojciec nie pójdzie do ogrodu? — spytałem.

— E! cóż tam ja. Czy to do młodzieży należą?

Poszedłem. Cóż, kiedy droga wypadła mi właśnie koło Gerlacha, i ani wiem nawet, kiedy znalazłem się w bramie hotelowej i wszedłem do cieni.

Józia miała wypieczone rumieńce na twarzy, a oczy takie, jakby tylko co płakała. Ciocia chodziła po pokoju, jak to czyniła w chwilach nadzwyczaj

nych. Zrozumiałem zaraz, że tu coś zaszło, ale gdy spytałem o przyczynę, odpowiedziały obie, że im nic nie jest, że mi się tylko zdaje.

Przypomniała mi się rozmowa z ojcem.

— Ale, ale — zawołałem — ojciec już od kilku dni zauważył Henia na ulicy.

Chciałem dodać, że się z niego śmiano, wytykano palcami; nie uczyniłem tego, bo na to imię obie zwróciły się ku mnie ciekawie. Sam ten wyraz Henio robił wrażenie.

— Czy był u was? — dodałem.

Józia rzuciła mi zjadliwe spojrzenie, jakbym coś najgorszego zrobił, a ciotka dodała pośpiesznie:

— A jakże był, był, tylko nas nie zastał. Bilet zostawił.

Na stole upatrywałem biletu. Nie było go. Zazwyczaj jednak, jeśli zdarzyła się cioci jaka wizyta, bilet leżał na stole, odsunięty od innych przedmiotów tak, by go można było zobaczyć od razu.

Rozmowa się nie kleiła. Zamyśliłem się nad tem, co Józci być może, i zapomniałem na śmierć o Saskim Ogrodzie, o pannie Justynie, o całym świecie.

W tem nagle zaturkotało na ulicy i powóz jakiś zatrzymał się przed hotelem. Rzecz zwyczajna. Nie patrzyłem na ulicę, tylko na Józję, ale Józia zerwała się z miejsca z błyszczącymi oczyma, z twarzą oblaną rumieńcem. Ciotka zatrzymała się w swej wędrów

ce po pokoju, nie mniej poruszona. Wówczas wyrząłem ja także.

Przed hotelem stał lekki powozik, zaprzężony czwórką karych koni w angielskich szorach, a z niego powoli wysiadał Henio równie dziwacznie ubrany jak wczoraj, w jakimś czarnym, aksamitnym płaszczu.

Przez parę sekund, zanim doszedł do drzwi cioci, a czynił to ze zwykłą sobie powolnością, odbyła się w mieszkaniu zmiana dekoracyi: ciocia zdążyła rzucić szal, włożyć jakąś aksamitną mantylkę i zająć zwykłe miejsce na kanapie.

Józia znowu zgrabnie ręką poprawiła fałdy sukni, włosy nad czołem, wypogodziła twarz i przybrała wyraz uśmiechnionej obojętności. Mówiła nawet coś wesoło do matki po francuzku, ale co? tego jakoś nie mogłem zrozumieć, gdy zapukano do drzwi.

— Entrez — zawołała najwdzięczniejszym głosem, podobnym do świergotu ptaszków.

Nie był to jednak Henio, tylko hotelowy służący, który przyszedł go zameldować.

— Prosić, prosić — wołały na wyścig i matka i córka, już zawczasu uśmiechnione do jego posłańca, do drzwi, którymi miał wchodzić.

W tej chwili ja nie istniałem dla nich wcale, wziąłem kapelusz i wyniosłem się cichaczem, w chwili powitań. Nikt tego nie zauważył. Nie poszedłem

jednak do Saskiego Ogródu, tylko hen przed siebie, gdzie mnie oczy poniosły.
Nazajutrz nie byłem u cioci, nie byłem i dnia następnego. Ciągnęło mnie tam coś, ale nie poszedłem. Po obiedzie machinalnie brałem za kapelusz, nakładałem rękawiczki. Ale kiedy stanęła przedemną zmęczona twarz Henia i te blade rybie oczy, i to szkiełko w jedno z nich wciśnięte, nie byłem w stanie kroku naprzód postąpić.
Na czwarty dzień wreszcie otrzymałem bilecik Ciocia dziwiła się mojej nieobecności, prosiła, by przyjść do nich. Nie pisała, ale zrozumiałem zaraz, że Henio wyjechał. Przez chwilę namyślałem się: pójść, nie pójść? Namysł był daremny: wiedziałem z góry, że pójdę.
Po drodze spotkałem pannę Justynę, która szła z siostrą za jakimiś sprawunkami. Zarumieniła się, doprawdy, tak samo jak Józia na widok Henia; zarumieniłem się ja także, bo przypomniałem sobie Ogród Saski. Panna Justyna jednak nie wyrzekła
o tem ani słowa, chociaż przystanęła nawet chwilę
i spytała o zdrowie ojca — kaszłał w ostatnich czasach. — Matka jej miała doskonałe ziółka na kaszel, obiecała przysłać i poszła dalej, rzucając miłe:
— Do widzenia!
Ojciec miał słusność, mówiąc, że to była dziewczyna z kośćcami poczciwa.
Józia i ciocia przyjęły mnie bardzo serdecznie.

Przecież między krewnymi ceremonii robić nie należy, nawet śmiesznem byłoby, gdyby, mając gości, zwracały, na mnie szczególną uwagę. Powinienem przecież uważać się u nich jako domowy i postępować stosownie. One dają mi przykład, zwracają się do mnie z każdym interesem, wyręczają się mną.
— Doprawdy, Stasiu — mówiła mi Józia ze ślicznym uśmiechem — nie wiem, cobyśmy robiły bez ciebie!
Teraz byłem im ciągle potrzebny. Znaleźliśmy wreszcie mieszkanie, osobliwe co prawda. Były tam paradne wschody, widny przedpokój, salon o trzech oknach, potem jakiś maleńki, ciemny pokoik, który, jak zdecydowały, miał być sypialnią i jadalnią i ciemniejsza jeszcze kuchenka, gdzieby nawet porządnego rosołu zgotować nie można. Zrobiłem im tę uwagę.
Ale Józia odparła porywczo:
— To nic, to nic, to mniejsza! Ktoby tam myślał o jedzeniu!
Co prawda, do herbaty miały zwykle tylko suche bułki, obiad kazały sobie przynosić za groszy, i to jadły go we dwie. Ciastka za to lubiły bardzo. Raz nawet, kiedy, odebrawszy pensję, zaprosiłem je do Lessla na kawę — wówczas panie chodziły tylko do jednej cukierni, w Saskim Ogródku — zjadły ich cały talerz.
Przytem wypadło mi nieraz zrobić jakiś mały

sprawuneczek, przynieść Józii cukierków, kwiatek, dać komu napiwek, i to robiło wielkie szczyby w moim budżecie.

Przed końcem miesiąca nie miałem już grosza w kieszeni, i trzeba było udać się do ojca. Nie odmawiał mi nigdy, ja też nie nadużywałem. Tym razem jednak pokręcił głową i, choć nie mówiłem, odgadł zaraz, gdzie się moje pieniądze podziały.

— Nie daj się, chłopcze, nie daj — wyrzekł tylko — bo cię zjedzą z nogami! Leosia zjadła nieboszczyka męża, i Józia to samo potrafi.

Już że ojciec był uprzedzony to prawda: bo jak tylko zrobiłem jaki wydatek, ciocia zawsze się gniewała i przypominała, że na to nie mam. Powiedziałem to ojca, ale przekonać go było niepodobna.

— No, no, no! — mruknął tylko.

I widziałem, że został przy swoim.

Prawda, że jak ciocia przypomniła moje położenie, to mnie o mało dyabli nie brali i byłbym grosz ostatni rzucił bez wahania, zwłaszcza też, kiedy stanął mi w oczach Henio. Ona jednak o tem wiedzieć nie mogła, a miała najlepsze chęci.

Gdyśmy wynaleźli mieszkanie, trzeba je było umeblować.

Ciocia niegdyś, wyjeżdżając z Warszawy, wyprzedzała się z wszystkiego. Myślałem, że uda się do jakiego tapicera, kupi co jej potrzeba; tymczasem poszła na Nalewki, tam z niezmierną wytrwałością

z dziur, kąków, ciemnych składów, wybierała różne graty i te dopiero wynajmowała. Ja zrobiłem jej po cichu uwagę, iż to wszystko tandeta; odpowiedziała mi stanowczo, że jej przecież o trwałość nie chodzi. A jak umiała się targować! Cały dzień zeszedł nam nieraz nad paru krzeselkami i stolikami.

Gdyby nie Józia, byłbym uciekł od tych targów z ochotą. Józia zabierała tylko głos, kiedy chodziło o wybór. Jedną ręką podnosiła zwykle sukienkę, żeby jej nie zaśmiecić w brudnych składach, a drugą wskazywała parasolką lub mufką — stosownie do aury — przedmiot, który zyskał jej uznanie, i mówiła: Ceci; potem zostawiała już matce kłopot targu, nie mieszając się do niego. Stała na boku ze znudzoną miną, albo też siadała na jakim gracie, który wprzód ja musiałem okurzyć starannie.

W ten sposób zebrała się kanapa i sześć krzeselek, pokrytych karmazynowym Utrechem. Wprawdzie krzeselka nie były zupełnie dobrane kształtem, kolor ich także różnił się nieco, zawsze jednak był to od biedy garnitur. Przytem ciocia najęła jeszcze jedną kanapkę, trochę krzywą, ale bardzo wygodną, parę różnych stolików i dwa zwierciadła, tak sine, iż kto się w nich przejrzał, wyglądał, jakby go już miano kłaść do trumny.

Z tem wszystkiem, gdy salon zafronterowano, zawieszono firanki i ustawiono tę zbieraninę, a ciocia powydobywała z kufrów dywany, makaty i różne

graciki, salon wyglądał wcale nie źle, zwłaszcza wieczorem, gdy światło lampy pozacierało małe niedokładności i różnicę barw.

— W zimie dzień bardzo krótki i zwykle bywa pochmurno — zakonkludowała ciocia, rada, że się tanio urządziła. Pomimo świetnego wejścia i apartamentu, — ciocia tak zawsze nazywała swoje mieszkanie — pomimo licznych przyjaciół, którzy mieli mieszkać w tej, co i ona, dzielnicy miasta, goście pokazywali się niezmiernie rzadko.

Słyszałem nieraz, jak ciocia i Józia, dowiedziawszy się, że państwo X. lub Y. przyjechali do Warszawy, ze wsi albo z zagranicy, cieszyły się bardzo, choć Bogiem a prawdą nie miały z czego, bo ci państwo przychodzili raz na kilka miesięcy, bawili trzy minuty, i więcej ich nie widywano. Czasem trafiło się jakie zaproszenie na wieczór. Wówczas i ciocia, i Józia, i ja, biegaliśmy po całej Warszawie; ale, żebyśmy biegali i cały tydzień, to zawsze w ostatniej chwili czegoś zabrakło, a w domu było prawdziwe piekło. Józia złościła się zawsze: to z powodu fryzjera, który ją źle uczesał, to sukni, z której nigdy nie była kontenta; albo rękawiczki były za ciasne, buciki za szerokie, pokojówka dogodzić jej nie mogła, a już najwięcej złościła się na matkę która przyjmowała na siebie rolę panny służącej i z bezprzykładną cierpliwością znosiła wszystko ubolewając tylko, że jej biedne dziecko nie ma tego

wszystkiego, coby mieć powinno. Przytem wzdychała ciężko i spoglądała w koło, jakby robiła ciche wyrzuty komuś, co temu był winien. Nigdy jednak nie wymieniała żadnego nazwiska, tak, iż nie mogłem się domyśleć o kogo właściwie chodziło.

Już od rana w dnie podobne panie zamykały swoje drzwi, znaczyło to, iż służąca miała rozkaz oznajmiać każdemu, iż w domu niema nikogo. Jakżeż inaczej być mogło? kiedy główną kanapę zajmowała suknia Józi, zawsze biała, różowa, lub niebieska, z tkaniny tak lekkiej, iż nigdy zrozumieć nie mogłem, jakim sposobem można było w takiej sukni usiąść, chodzić, tańczyć. Suknia ta, artystycznie rozmieszczona na prześcieradle, ustrojona wstążkami, bukietami kwiatów, w asystencyi rękawiczek, wachlarza, koronkowej chusteczki, już sama przez się miała coś uroczego. Lubilem przypatrywać jej się zdaleka, bardzo zdaleka, bo inaczej ciocia wołała:

— Ostrożnie, Stasin, ostrożnie, pognieciesz.

Ja, naturalnie, do gości się nie liczyłem i musiałem asystować każdemu wybieraniu się na bal, wieczór albo też herbatkę. W tym ostatnim razie był drażni powód nie przyjmowania gości przez cały dzień, bo dla oszczędności nie sprowadzano fryzjera, a Józia chodziła w papilotach.

Tualeta odbywała się zawsze w salonie, w którym zapalano wszystkie światła, ja zaś bywałem wyrzucany do przedpokoju, z kąd łatwiej mogłem

pełnić urząd posłańca, skoro zabrakło szpilek, pękło sznurowadło, albo też zdarzyło się coś podobnego. Z przedpokoje też słyszałem doskonale wybryki złęgo humoru Józi i westchnienia cioci. Czasem byłem oburzony na Józię, raz nawet pomyślałem jaka to była różnica pomiędzy nią a panną Justyną, tak zawsze uważną na każde skinienie swej matki, tak pełną dla niej poszanowania!

Ale myślałem tak tylko do chwili, w której szmer krochmalonych spodnie zwiastował, iż w salonie odbywał się ostatni akt ubierania, a potem zaraz służąca otwierała drzwi na oścież i wolno mi było podziwiać w całym blasku tualetę i tę, co ją nosiła.

Ciocia, z wypiekami na twarzy, jak po wykończeniu nadzwyczajnego dzieła, spoglądała na córkę, trzymając w ręku wachlarz i rękawiczkę; Józia pracowicie wkładała drugą, bo, choć rączka była mała, rękawiczki były jeszcze mniejsze. Świece stały na ziemi, ażeby lepiej osądzić można, czy okrąg sukni nie zostawiał czego do życzenia, czy kwiaty na spódnicy były równo przypięte..

— Jakże? Czy dobrze tak? — pytała ciocia.

Józia nie raczyła pytać, wiedziała, że jej prześlicznie w tych jasnych kolorach, w wyciętym staniku, z którego wychylały się białe ramiona i ręce.

Zły humor pierzchał zwykle wraz z zapięciem ostatniej haftki; uśmiechała się do siebie, a może też do jakichś nadziei.

Przychodziło mi to czasem na myśl. Wściekałem się nieraz, że nie mam wstępu do jej towarzystwa. Chociaż co ja bym robił między takimi, jak Henio?

Nazajutrz ciocię zwykle bolała głowa; przewiązywała ją chustką.

— Dobrześ się bawiła? — pytałem Józii.

— Naturalnie — odpowiadała — hrabia X. prowadził tańce.

Ciocia wówczas, pomimo migreny, opowiadała mdlejącym głosem o sukcesach Józii: jak tańczył z nią książę Y., hrabia X. wybrał do mazura, baron Z. prowadził do kolacyi; jak ci trzej utytułowani panowie, oraz wielu innych, przesadzali się w grzecznościach i należało lada chwili spodziewać ich wizyt, a dalej.... Ciocia nie mówiła co będzie dalej, ale domyślny słuchacz mógł to łatwo w duszy swej dośpiewać.

Potem przez kilka dni apartament był przedmiotem szczególnych starań, a obie panie wyświeżone od dwunastej z południa, jakby na jakąś wizytę. Jednak nie pamiętam, by przyszły do skutku spodziewane odwiedziny, więc książę Y., hrabia X., baron Z., bywali odkładani do przyszłego wieczoru.

O Heniu mało słyszałem. Podobno wraz z matką pojechał do Włoch, czy południowej Francji, na zimę. Na Nowy Rok przysłał ciocie i Józii bilety z powinszowaniem. Były tem niezmiernie uradowane. Bilety leżały na samym wierzchu, a gdy się

trafił gość jaki, zaraz opowiadały, iż ten "dobry", ten "pocziwy", ten "kochany" pan Henryk, nie zamniął o nich.

Dodawały nawet różne szczegóły, że Heniowi się pobyt za granicą dłuży, a choć Warszawy do Nicei porównywać nie można, jednakże on tęskni.

Gdyśmy zostali sami po takim opowiadaniu, spytałem ciocie: czy Henio pisał i kiedy list odebrała? Nie dała mi żadnych objaśnień, tylko powiedziała:

— Ma się rozumieć, że pisał.

Dziwiło mnie, że listu nie pokazywała, tak, jak biletów. Musiały tam być rzeczy nie przeznaczone dla wszystkich. Ha! trudno; byłbym jednak dał wiele, byle ten list przeczytać, albo go chociaż zobaczyć..

— Kiedyż wraca? — spytałem jeszcze. Ciocia spojrzała na mnie gniewnie.

— Na wiosnę, naturalnie.

Pomimo to, w miarę jak zbliżała się wiosna; Józia była coraz bardziej rozdrażniona. Ciocia mówiła, iż córka jej zeszczuplała, schudła, iż ją męczy życie światowe. Choć nie wiem, co mogło ją tak bardzo męczyć: wieczory zdarzały się rzadko, a po nich panie spały do wieczora.

Ja wcale nie uważałem, by kuzynka zmizerniała, ale, że była smutna, to pewna.

Czasem o szarej godzinie, gdy byliśmy sami, bo

ciocia najczęściej szła się trochę przedzierać, zwierzała mi się ze swoich wrażeń i uczuć.

Kochała się w niej kilku, dwóch szczególnie szalenie. Nie wymieniała nazwisk, dała mi tylko do zrozumienia, że to był hrabia X. i baron Z. Popelniali tysiące niedorzeczności, ona nieraz aż się bala pokazać i nie wiedziała co począć, żeby pomiędzy nimi nie przyszło do pojedynku.

— A ty? — pytałem,

— Ja?...

Obrzucała mnie oburzonem spojrzeniem.

— Ja! wiesz przecie dobrze, iż o tem nie myślę. Wzrok kierowała w sufit i pozostawała tak przez chwilę, chcąc dać mi poznać, iż niebo było jej celem jedynym.

Mieszałem się, bo sądziłem, że już dawno o tym klasztorze zapomniała.

— Przecież bawiłaś się tyle razy — wtrąciłem nieśmiało.

— Cóż z tą? robiłam to dla mamy. Biedna mama! Gdyby wiedziała....

— A tych, którzy cię kochają, nie będziesz żałowała?

— Biedni także — szeptała z namaszczeniem. — Może zapomną — dodawała po chwili.

Widziałem jednak dobrze, iż o tem powątpiewała. Co do mnie, uważałem za rzecz absolutnie niemożliwą zapomnieć o niej.

— Gdyby jednak nie zapomnieli, Józiu? — pytałem, patrząc na nią oczyma, w których, gdyby zechciała tylko, dostrzegłaby, że był i ktoś trzeci, co o niej nie zapomni nigdy.

— Mój drogi — mówiła wówczas z niezwykłą słodyczą — cóż ja na to poradzić mogę?

Prawda: cóż ona poradzić mogła?

Rozmowy podobne robiły na mnie dziwne wrażenie. W jej postanowieniu była dla mnie jakaś ulga. Wołałem przecież, by poszła do klasztoru, niż za którego z tych kochających się w niej szalenie, lub za bladego Henia.

Całowałem jej rękę ze czcią, jakby rękę świętej.

— Karnawał się skończył — mówił do mnie ojciec — a Leosia męża dla córki nie złapała, łatwo to było przewidzieć.

— Gdyby chciała tylko... — przerwałem, nie mogąc powstrzymać swego oburzenia.

— Jako gdyby chciała? a przecież po to latały po różnych balach, wpraszały się do różnych towarzystw, nie dojadły, byle sprawić tualetę. Ale ludzie znają się na farbowanych lisach.

— Farbowanych!

— A cóż, albo to się nie bielą, nie malują?

— Co też ojciec mówi!

— Dobryś! Czy tego nie widzisz?

Co do cioci, uważałem nieraz, że zupełnie inaczej wyglądała po ubraniu się, niż przedtem! Ale Józia!

Ciocia z Józia wyjechały przed Wielką Nocą, mówiły, że są zaproszone do znajomych na wieś, a potem pojedą do wód za granicę.

— Pojadą one, pojedą do Rochbad albo do Marcinburga — mówił ojciec, który w tym wczesnym wyjeździe domyślał się braku funduszków, a nazywał w ten zagraniczny sposób majątki dawnych sąsiadów cioci. — Zresztą, mogłyby i do samego Karlsbadu pojechać, a mężaby nie znalazły.

— Pannie lata biegań i trzydziestka za pasem. Temu to już uwierzyć nie mogłem. Ale ojciec się oburknął:

— Cóż to: nie pamiętam, kiedy się rodziła? Było o właśnie w tym roku, kiedyśmy się z nieboszczką pobrali. Ty przecież masz już lat dwadzieścia cztery, a Józia cztery lata starsza od ciebie.

Prawda! kiedy byłem dzieckiem, słyszałem nieraz, że Józia była starsza odemnie, chociaż na to nie wyglądała. Była taka drobna, delikatna. Teraz jakoś o tem starszeństwie nie było mowy; nawet ciocia utrzymywała, że ja byłem dużo starszy.

Ciocia, wyjeżdżając, zostawiła mi pełno interesów do załatwienia. Miałem poddawać meble, mieszkanie odnajdąć i porobić jakieś drobne sprawunki. Napędziło mi to niemało kłopotów. Właściciele mebli mieli różne pretensje, amatora na mieszkanie znaleźć było trudno, gospodarz upominał się

o komorne. Pisałem do cioci o tem wszystkim i nie mogłem doczekać się odpowiedzi.

Warszawa też bez Józi wydawała mi się strasznie pustą. Machinalnie po obiedzie brałem za kapelusz, żeby ją odwiedzić, obchodziłem ulicę od hotelu Gerlacha do mieszkania na Senatorskiej ulicy, jak gdybym chciał się przekonać, że jej tam nie ma, albo odnowić swoje wspomnienia.

Ojciec zaciągnął mnie parę razy do Pikalskich,

i przyznać muszę, iż panna Justyna zawsze piekła raczki na mój widok. Ojciec cieszył się z tego. Ja przecież, rozmawiając nawet z panną Justyną, myślałem o Józi. Gdzie ona była? gdzie się wybierała? Ciocia w końcu napisała wprawdzie do mnie, ale tylko o tych u trapiących interesach, które mi zostawiła na głowie.

Tymczasem stała się rzecz niespodziewana. Nie Józia, ale panna Justyna pojechała do wód zagranicznych.

Nie była to wówczas wcale rzecz tak łatwa, jak dzisiaj. Nie było jeszcze kolei, a do wód jeździło się albo własnymi końmi i powozem, albo do własnego powozu najmowano konie pocztowe, albo też kontentować się musiano dyliżansami. Ale ten sposób podróżowania przedstawiał wiele niedogodności. Ludzie średnio zamożni jeździli do wód wówczas tylko, gdy byli prawdziwie chorzy, a wówczas też potrzebowali wygody i opieki. Zabierali więc kogo

z rodziny, mieli wiele pakunków, szukali sobie porządnym noclegów, odpoczywali, gdy się czuli zmęczonymi. A czy jedna, czy parę osób było w powozie, koszt był ten sam,

Pani Pikalskiej dawno już bardzo lekarze radzili kąpiele w Trenczynie, ale cóż! i myśleć o tem nie mogła. Tymczasem brata jej, właściciela mydlarni, pana Viertela, wysłano do tych samych wód, a pani Viertel, mając drobne dzieci, pojechać z mężem nie mogła. Stało się więc, iż zabierał panią Pikalską i pannę Justynę.

Naturalnie, zrobiło to wielkie wrażenie pomiędzy znajomymi; literalnie mówiono tylko o tem. Towarzysze biurowi, znajomi, przyjaciele, spotykając się na ulicy, zamiast przywitania, powtarzali:

— Wiesz! pani Pikalska jedzie do Trenczyna.

Co to było gadania, powinszowań, zazdrości, rad rozmaitych, przestroóg i t. p.

Zaczęto znosić do Państwa Pikalskich najdziwniejsze wiadomości o tej obczyźnie, na którą puścić się miała.

Raz w raz przychodził ktoś ze znajomych i opowiadał straszne powieści o rozbójnikach zaczajonych po lasach i wąwozach, o oberżach, w których otwierały się ściany lub podłogi, wpuszczając zbójów. Miejsca właściwego, gdzie się te wszystkie okropności działy, nikt wskazać nie umiał, a pomimo to, wszyscy zaręczali, że to najprawdziwsza prawda.

Jeśli jednak kto chciał dojść do źródła, niepodobna go było wynaleźć. Ktoś widział wojażera, któremu gdzieś opowiadano tę historję, albo też ktoś słyszał ją od kogoś, który znowu zaczerpnął tej wieści Bóg wie z kąd; niemniej każdy dałby się posiekać za jej prawdę, a przerażenie pani Pikalskiej, chorej i zdenerwowanej, wzrastało.

Nawet sam pan Pikalski chodził zafrasowany, bo chociaż nie przypuszczał tak tragicznych wypadków, wiedział, że podróż między obcymi to wcale nie żarty i, że może się w niej przytrafić wiele rzeczy przykrych, chociażby nie tak groźnych.

— Co to, panie — mówił — nie znać języka, jak się tu z ludźmi dogadać!

Cała nadzieja była w pannie Justynie, która umiała cośkolwiek po niemiecku, a teraz kupiła sobie rozmówki i zabrała się ze zwykłą dobrą wolą do nauki.

Ona też najmniej brała do serca straszne opowiadania o niebezpieczeństwach podróży i miała tysiące argumentów na ich zabicie. Wszystko, co ludzie opowiadali, prawdą być mogło, ale oni nie będą nocowali byle gdzie, ani podróżowali po nocy, a w dzień biały na wielkim gościńcu obawy być nie może. Tak pocieszała głośno matkę, mnie i ojca, przecież, przyznała w sekrecie, że wuj ma parę krucic i że, broń Boże, wypadku, onaby także stanęła do obrony.

— Zuch dziewczyna, aż miło — mówił mój ojciec.

A zwracając się do pana Pikalskiego, dodawał:

— Powinszować takiej córki.

Pan Pikalski powinszowania przyjmował z rozczuleniem, ale wzdychał. Byłby chciał, żeby już z tej podróży jego kobiety powróciły.

Wigilią wyjazdu pani Pikalska odbyła spowiedź z całego życia, potem żegnała wszystkich przyjaciół, przepraszała za wszystkie mimowolne obrazy, jakby była przekonana, że już ich więcej nie zobaczy. Przytem płakała bardzo i ci, co zostawali, płakali także.

Podróżni mieli wyjechać raniuteńko. Rzeczywiście o godzinie siódmej, żółty kocz z fordeklem pana Viertla, zaprzężony parą tęgich, gniadych koni, był już przy Jerozolimskich rogatkach; pan Viertel i pani Pikalska siedzieli w głębi, panna Justyna i pan Pikalski na przedzie, bo odprowadził podróżnych do Raszyna.

Kształtu powozu trudno było rozpoznać z powodu najrozmaitszych pakunków, któremi był literalnie obwieszony. Z tyłu sterczał ogromny tłumok z pościelą, na nim jeszcze była waliza, druga znajdowała się pod kozłem, a w samym powozie pełno było pudełek, pudełeczek, paczek, koszyczków. Powoził tłusty Maciej, chłopak od koni pana Viertla, ubrany w nowiuteńką czapkę i kapotę granatową, a przy

nim na kozle usadowił się młodszy Pikalski, który miał z ojcem wrócić najętą dorożką. Ojciec, ja, i wszyscy bliźsi znajomi państwa Pikalskich, postanowiliśmy także odprowadzić podróżnych do Raszyna i, nic nie mówiąc, czekaliśmy przy rogatkach z najętym na ten cel omnibusem.

Wysiedliśmy wszyscy i obstąpili powóz pana Viertla, a wyjeżdżający i pan Pikalski, dziękowali nam ze Izami, wołając: — Poczciwi! poczciwi!

Pojechaliśmy naprzód do Raszyna, tam kazali przygotować kawę; do niej mieliśmy z sobą ciasta i cukry. Gdy podróżni przyjechali, stół, nakryty niebieską serwetą w czerwone kwiaty, był już zastawiony, kawa dymiła w kamiennych imbryczkach, obok nich stały garnuszki śmietanki, a cała bateria złożonych filiżanek świadczyła o elegancji i zamożności gospodarzy.

Siedzieliśmy ze trzy godziny na tem pożegnalnem śniadaniu. Powtarzano jeszcze raz rady i przestrogi, kreślono marszrutę. Wprawdzie już gdzie nie gdzie po świecie budowano koleje i u nas nawet można było z Warszawy przejechać się do Łowicza, ale dla nas to nic nie znaczyło. Była to środa; podróżni mieli na niedzielę zdążyć do Krakowa, tam parę dni odpocząć i dopiero puścić się dalej.

Do Krakowa jako tako można się było zorientować: pan Viertel i pan Pikalski byli w Krakowie,

wiedzieli jak drogę rozdzielić i gdzie znaleźć wygodne noclegi; nie trudno to, gdy się przejedzie przez takie miasta jak: Radom, Kielce. Zresztą i w Białobrzegach, Szydłowcu, Miechowie, były, jak mówiono, porządne oberże. Czego zaś tam braknąć mogło, podróżni mieli z sobą.

Do Krakowa więc nie było się o co frasować. Ale dalej.... Zaczęto znów rozmyślać nad tem i zapewne nie jeden byłby jaką przerażającą historję wydobył, kiedy panna Justyna odezwała się stanowczo:

— Dalej także są ludzie. Pełno osób co rok jedzie do wód, nawet dalej niż do Trenczyna, i wraca. I nam też, da Bóg, nic się złego nie stanie.

Mówiąc to, spojrzała błagalnie na obecnych i zaraz też zmieniono rozmowę.

— Potrzebnie to mamę straszyc! — odezwała się do mnie półgłosem, gdym pomagał jej gospodarować. — Mama chora, to zaraz Bóg wie co przypuszcza do głowy.

— A pani się nie boi niczego?

— Niczego to znów nie, ale myślę zawsze o tem, jak sobie dać radę, więc na strach nie mam czasu.

— Pani pewno się bardzo cieszy, że jedzie.

— Ej, nie — odparła.

— Jakto! nie ciekawa pani tych wszystkich dziwów i piękności, jakie oglądać będzie?

— Ciekawam, ale cóż, kiedy...

Umilkła i zarumieniła się i widziałem, że w jej ciemnych oczach zamigotały łzy.

— Kiedy co? — zapytałem zdziwiony.

— Kiedy mi żal odjeżdżać — odparła z prostotą.

— Jak panna Justyna powróci z zagranicy, to nie raczy nawet spojrzeć na nas, znajomych ludzi — wtrącił jeden ze znajomych, mieszając się pomiędzy nas.

— Ja? Dla czego?

— To, wiadoma rzecz — taka wojażerka. Panna Justyna parsknęła śmiechem na takie przypuszczenie i śmiała się, choć łzy perlily się na jej rzęsach.

Doprawdy, było jej z tem bardzo ładnie.

Zaczęto wybierać się pośpiesznie. Stracono dużo czasu, a podróżni chcieli na noc do Białobrzegów zajechać. Nastąpiły jeszcze pożegnania, życzenia, ucałowanie rącek i po chwili panie i pan Viertel usadowili się w żółtym kocz, Maciej znak krzyża uczynił biczem przed końmi i gniade ruszyły galopem.

Powiewaliśmy chustkami, póki tylko widzieć nas mogli, potem zabraliśmy się z powrotem do Warszawy, pocieszając pana Pikalskiego, który daremnie starał się dodawać sobie rezonu, bo był osowiały.

Co prawda, i mnie Warszawa wydawała się teraz bardzo pustą. Zacząłem pilnie wyczekiwać powrotu

Franciszka. Dwa lata mijały od czasu, jak wyjechał. Zrazu pisywaliśmy do siebie, potem zwolna korespondencja ustała, bo chociaż daleko łatwiej pisać do przyjaciela, niż do nieznaney panny, i chociaż wówczas, kiedym chciał wyznać swoje afekta pannie Helenie i nazywał ją aniołem w niefortunnej epistole, byłem jeszcze prawie dzieckiem, jednak nigdy nie doszedłem pod tym względem do wielkiej wprawy. Co innego bazgrać dla siebie swoje wspomnienia, co innego pisać listy. A przytem z Franciszkiem stosunek nasz był tego rodzaju, że kiedyśmy się uściskali bardzo serdecznie, nie mieliśmy już sobie nic więcej do powiedzenia. Jego myśli szły swoją drogą, a moje znów swoją. Zachodziłem czasem do państwa Müllerów, ale tam nie było co robić. Ona trochę ogłuchła, on skarżył się ciągle na brak pomocy, na Franciszka, który Bóg wie, czego szuka po świecie, kiedy ma taka ładna fabryka, i spodziewał się

ciągle Frydy, którą chciał wydać za jednego ze swoich pomocników, pana Schultza, ażeby po nim ta ładna fabryka nie przeszła w obce ręce. Ale Fryda jakoś nie wracała.

Ten pan Schultz — była to obrzydliwa figura: rudy niedźwiedź; nie można się było z nim dogadać. Oho, inny to był wcale rodzaj niż pan Müller; mówił tylko po niemiecku, patrzył z góry na wszystko, co polskie, a pryncypałowi okazywał względy, dochodzące do

uniżoności. Nie wiem, z kąd go sobie dobrał pan Müller; podobno z samego Berlina.

Biedna Fryda! nie myślałem o niej przez lat tyle, jednak, gdym patrzył na przyszłego męża, żal mi jej było.

Przypomniały mi się jej oczy: szczerze, ufne, serdeczne, a kiedym ją myślą postawił koło tego ordynarnego chłopca z obrzękłymi policzkami, grubymi powiekami, z poza których, niby przez szparkę, przeglądały niewyraźnego koloru źrenice, zdawało mi się, że to małżeństwo przyjąć do skutku nie może.

Nareszcie któregoś dnia pan Müller, spotkawszy mnie, zaprosił na niedzielę na kawę: Fryda przyjechała. Poszedłem. Deszcz padał; 'zamiast w ogrodzie, rodzina zgromadzona była w salce, którą znałem tak dobrze, i w której nic zgoła nie zmieniło się od czasu, kiedym, dzieckiem będąc, bawił się z Frydą. Ta sama twarda kanapka, obita jakimś wełnianym adamaszkiem w wielkie, jaskrawe kwiaty, stała pomiędzy oknami, nad nią małe, w złożonych ramach lustro, ochronione było od much białym muślinem, na olszowej komodzie stały różne graty, między nimi porcelanowa ryba, rurka do picia wody mineralnej i jakiś figiel, kieliszek z winem niegdyś czerwonym, sztucznie wlanem pomiędzy dwa szkła, który przejmował mnie zachwytem, gdy miałem lat kilka i razem budził chęć nieprzepartą stłuczenia go, ażeby zobaczyć: jak też to było zrobione?

Wszystkie te rzeczy stały na zwykłym miejscu, okurzane starannie! Mogłem pomyśleć, że jestem znowu dzieckiem i że mała Fryda ukaże mi się, dźwigając wielką lalkę w tłustych rączkach.

Fryda ukazała mi się rzeczywiście. I na razie mogłem myśleć, że to ta sama pocziwa dziewczyna, którą znałem dawniej. Ręce miała zawsze tłuste i czerwone, obecnie tylko trzymała w nich imbryczek kamienny i nalewała cieką kawę w filiżanki, stojące rzędem na tacy. Wyrosła wprawdzie, ale twarzyczka nie zmieniła jej się wcale: ten sam wyraz bezgranicznej ufności był na niej rozlany, a kiedy na kogo spojrzeła, to oczy jej zdawały się mówić swym spokojnym blaskiem: "wierzę ci". Może w życiu swoim nie spotkała się jeszcze z zawodem, a może wierzyła wbrew oczywistości, dla tego, że to było konieczną potrzebą jej natury. Teraz twarzyczka ta była bardzo blada i smutna, a oczy miały tę szklistość, świadczącą, że, zamiast na otaczające przedmioty, zapatrzone były gdzieś we własną istotę. — Fryda! — zawołałem.

Spojrzeła na mnie jakby przez mgłę. Odpowiedziała na moje powitanie, przecież widziałem dobrze, iż nie zadrgała w niej struna wspomnień. Nalewała dalej kawę z machinalną uwagą, jaką dobra gospodyni przykłada do tej czynności, ale z pewnością nie myślała, ani o kawie, ani o mnie.

Nie myślała też niezawodnie o narzeczonym, bo

wzrok Frydy nie skierował się ani razu na niego; siedział on przy oknie z panem Müllerem. Obadwaj palili krótkie, porcelanowe fajeczki.

Pani Müller była promieniejąca, krajała świeżo upieczone ciasto, i częstując mnie, uśmiechała się bezzębnymi ustami, mrugała i wskazywała mi córkę.

— A co? jak ładnie wyrosła? — pytała z dumą, swoją łamaną polszczyzną — panby pewno nie poznał?

— Gdzież tam: poznałbym wszędzie.

— A ty, Fryda, poznałabyś pana Stanisława? Nie spojrzała nawet na mnie.

— Jakżeby nie poznać? — odparła tak obojętnie, jakby mówiła o jakimkolwiek sprzęcie, stojącym w pokoju. Próbowałem zawiązać z nią rozmowę. Byłbym mówił do niej po niemiecku, jak dawniej; wobec przecież tej obojętności nie wypadało mi tego uczynić.

— Pani nie żałuje Kalisza? — spytałem.

W oczach jej zamigotały nagle iskry i zagasły szybko.

Ojciec za nią odpowiedział:

— Co żałować? Tutaj jest ojciec, matka, fabryka, no, i ktoś jeszcze.

Fryda spuściła głowę, a ja pomyślałem, że to ostatnie najmniej było ponętne. Panny przecież mają różne gusta.

— Nicht wahr, Wilhelm? — dodał pan Müller, patrząc wesoło na upatrzonego zięcia.

Wilhelm mruknął jak niedźwiedź.

Nie wiem, jak się tam Niemcy kochają, ale Wilhelm i Fryda nie zamienili słowa pomiędzy sobą. Ona też nie spojrzała na niego. Prawda, że nie patrzyła także na mnie, ani na rodziców. Chodziła jakby otoczona mgłą marzeń, a chociaż był pomiędzy nami, chociaż zdawała się uważną na każde skinienie, usługując wszystkim, czyniła wrażenie istoty sennej, której duch przebywa gdzieś daleko.

Z obojętnością siedziała na swoim krześle, z obojętnością wstawała z niego, z obojętnością wodziła okiem po pokoju, lub wpatrywała się w desenie serwety, rozłożonej na stole.

— Fryda jakaś nie swoja — rzekłem do pani Müller.

Ona skrzywiła bezzębne usta do uśmiechu.

— Dziewczęta to nie wiedzieć co? — odparła. Odpowiedź nie zadowoliła mnie. Nie podzielałem optymizmu pani Müller. Skoro ona była spokojna, musiałem na tem poprzestać.

Tymczasem wypogodziło się, słońce nawet wyjrzało z za chmur. Pan Müller z przyszłym zięciem mruknęli do siebie parę razy, co miało znaczyć, iż czas pozwalał iść do ogrodu na kręgle, i wynieśli się. Pani Müller zajęta była porządkowaniem i chowaniem resztek podwieczorku, ja zbliżyłem się do

dziewczyny. Siedziała na swoim miejscu nieruchoma,

— Panno Frydo! — wyrzekłem przyjaźnie.

Nic nie odrzekła. Stałem nad nią i widziałem tylko głowę obwieszoną ciemnymi warkoczami, taką samą, na jaką patrzyłem, dzieckiem będąc, gdy ona dźwigała swoją wielką lalkę, zapłakana nad jej podartą sukienką.

— Pani coś jest! — zawołałem — ja to widzę! Spojrzała na mnie raz pierwszy po dawnemu, ale milczała.

— Powiedz, pani, może ja ci w czym pomogę? Wstrząsnęła głową. W oczach jej były łzy i były uśmiechy, jakiś świat cały różny od tego, w którym się znajdowała; do tego świata ja przecież nie miałem przystępu.

— Pani tego Schultza kochać nie możesz? Roześmiała się szczerze.

— Co mi on! — zawołała z najwyższym lekceważeniem.

— Więc czegoż pani smutna?

— Alboż ja smutna?

Prawda: smutną nie była. Na twarz jej nawet wybiła promienność jakaś, oczy łez pełne, błyszczały jak gwiazdy,

— To czegoż pani płaczesz?

— Czy ja wiem!

— Jakto!

— Żal mi rodziców, żal mi wszystkiego.

— Nie rozumiem.

Milczała chwilę, potem wybuchnęła nagle, podnosząc głowę i patrząc mi prosto w oczy.

— Po co się pan pyta?

Była w tych słowach szorstkość, nie przypominająca wcale dawnej Frydy.

— Jakto! — zawołałem. — Czyż nie znamy się od dziecka. Czyż nie jestem przyjacielem twego brata, twoim. Nie płacz, panno Frydo — dodałem, nie odbierając odpowiedzi — Franciszek powróci, on cię obroni, nie pozwoli wydać wbrew sercu.

Znowu nic nie odrzekła, zamyślona, jakby nie słyszała tego, com mówił.

Zaraz też powróciła matka, i rozmowa nasza się przerwała. Fryda zresztą nie miała najmniejszej chęci prowadzić jej dalej. Była jakaś dziwna.

Nazajutrz spotkałem ją, gdy szła ulicą, bardzo szybko, oglądając się w koło, jakby lękała się, czy jej kto nie goni.

Otarła się prawie o mnie, spostrzegłszy nagle, zarumieniła się i nie przystając, biegła dalej.

Oglądali się za nią ludzie, bo też była to śliczna dziewczyna. Wysoka pełna, rumiana. Z ciężkimi warkoczami kasztanowatych włosów, z wielkimi, marzącymi oczyma. Patrząc w te oczy i w usta malinowe, można było zapomnieć o kibici trochę

ciężkiej o zbyt wielkich nogach i czerwonych, tłustych rękach.

No, no! co to się z tej małej Frydy zrobiło!

O kilkaset kroków dalej spotkałem Wilskiego. Nie widzieliśmy się od szkolnej ławki. Jeśli za kim, to za nim nie tęskniłem wcale. Poznałem go od razu, poznałbym w piekle po aroganckiej minie.

Był wystrojony jak z igły, w jasno migdałowem ubraniu, w kapeluszu lśniącym jak lustro, w paliowych rękawiczkach, z laseczką w ręku, wyglądał jakby cała Warszawa do niego należała. Jużcić pięknym być nie mógł, ale ciemny zarost pokrył jego murzyńskie wargi i nadał charakter spłaszczonej twarzy. Wyglądał tak, jakby nie wątpił o własnej piękności, to też on nigdy nie wątpił o niczem. Zdaleka staranna broda robiła wrażenie, tak samo, jak wysoka, barczysta postać. Mógł się podobać albo nie, ale każdy musiał przyznać, że chłopiec jak dąb. Oczy też jego, te wielkie, rozsądzone oczy, nadające mało inteligentny wyraz całej twarzy, teraz świeciły jak oczy wilka. Cerę miał świeżą, rumianą i ten uśmiech zwycięzki, który pamiętałem tak dobrze.

W szkołach od awantury z Franciszkiem niecierpiałem go podwójnie. Byliśmy z sobą jak pies z kotem, a jeśli nie przyszło pomiędzy nami do bójki, to tylko dla tego, iż nauczony doświadczeniem Wilski unikał jej starannie. Nawet nie miałem się o co do niego przyczepić.

Poznał mnie niezawodnie zdaleka, jak i ja jego, ale ukłonić się pierwszy nie chciał, ja nie chciałem także. Szedł, pogwizdując fałszywie, swoim zwyczajem; jedną ręką gładził brodę, drugą wymachiwał laseczką, zupełnie tak, jakby był sam jeden na ulicy, albo też jakby wszyscy obowiązani byli schodzić mu z drogi. Mnie przecież ominął dość grzecznie. Mijając, spojrział tylko na wygolonego urzędnika, wskazując mi niejako urągliwie swój wspaniały zarost. Czułem, że się rumienię. Przyszło mi na myśl, że i ja także mógłbym mieć równie piękną brodę.

Mimowolnie obejrzałem się za Wilskim: wszedł do domu na NowymŚwiecie, po za którym mieścił się Foksał. Ciekaw też byłem, gdzie tak leciała Fryda. Przecież znajomych państwo Müller nie mieli w tej stronie miasta, a sklepów też nie było tam wcale.

W parę dni później, byliśmy jeszcze w łóżku: wpadł do naszego pokoju Franciszek.

— Franek! — krzyknąłem, zrywając się.

— Jak się masz, jak się masz! — wołał ojciec, który miał zwyczaj przed wstaniem wypalić ulubioną fajkę.

Jeśli Fryda była dziwną, to Franciszek wydał mi się jeszcze dziwniejszym. Ujrzawszy mego ojca, stanął, jakby nie pomyślał o nim, a tylko chciał się ze mną zobaczyć.... Potem dopiero oprzytomniał,

zaczął się z nim witać. Był serdeczny, ale razem widać w nim było jakiś przymus.

— Z uniwersytetu! — mówił mój ojciec, nie zważając wcale na jego zachowanie się — proszę! z uniwersytetu!

Uczony, panie, uczony! Na nas, prostaczków, to i patrzeć nie chce!

Śmiał się dobroduszenie i oglądał Franciszka na wszystkie strony, bo to wówczas człowiek, co był na uniwersytecie, należał do osobliwości; nie było go w Warszawie, a bez kolei, nie było wcale łatwo wydostać się zagranicę.

— No, odezwijże się, przecie — pytał dalej ojciec — pewno, ile razy usta otworzysz, powiesz coś mądrego! Aż mnie oskoma bierze.

Franciszek przez chwilę patrzył, jakby tych prostych słów nie rozumiał, potem przesunął ręką po czole, jak to czynił dawniej, kiedy chciał siłą natrętną myśl odegnać, i odparł, uśmiechając się z przymusem:

— Wolne żarty, panie naczelniku!

Ojca mego wówczas tak tytułowano.

— Patrzcie, jak ładnie mówi — wołał ojciec uszczęśliwiony.

Franciszek uśmiechnął się blade. Ja widziałem, że go ta rozmowa męczy, że ma coś ważnego na myśli. Czoło Franciszka nie straciło swej przezroczywości, jak dawniej, przepływały po niem chmury,

niby burze, w źrenicach płonęły ponure blaski, także jak dawniej, w niektórych chwilach.

— Dawno przyjechałeś? — spytałem.

— Dwa dni temu. Spóźniłem się.

Ostatnie słowa wymówił przez zaciśnięte zęby, jakby sam do siebie.

— Czemużes nie przyszedł dotąd? nie przysłał przynajmniej, że jesteś — mówił ojciec.

On nie słuchał; szarpnął mnie za rękę.

— Ubieraj się — szepnął — potrzebuję cię.

— Co, co! nie wypijecie kawy! — zawołał ojciec, widząc, że zabieramy się do wyjścia. — Dziś przecie niedziela: do biura śpieszyć się nie potrzeba.

— Przepraszam pana naczelnika, muszę zabrać Stasia, mam pilny interes — bąknął Franciszek, pociągając mnie za sobą.

Ojciec wzruszył ramionami; słyszeliśmy jak wołał:

— Sowizdrzały! sowizdrzały!

Franciszek czas jakiś szedł naprzód szybkim krokiem, ja podążyłem za nim.

— Gdzież idziemy? — spytałem wreszcie.

— Prawda: ty nic nie wiesz! — zawołał.

— Naturalnie, że nic: mówże!

Powiedzieć łatwo nie było. Przy pięknym, niedzielnym ranku ludzie snuli się gęsto po ulicach, kawiarnie i cukiernie pełne były gości.

Franciszek ścisnął mnie silnie za rękę i obejrzał

się, jakby szukając jakiego kąta, gdziebyśmy sami być mogli.

Nareszcie, jakby nie mogąc dłużej wytrzymać, skręcił w jakąś mniej uczęszczaną ulicę.

— Co to długo mówić! — wyrzekł. — Potrzebuję ciebie. Mam pojedynek.

— Pojedynek! — zawołałem — ty, ty!

— Nie krzycz tak głośno! Wszak wiesz, iż rzecz podobna cicho odbyć się musi.

— Alboż ty bić się umiesz?

— Nikt o to nie pyta. Kto żyje wśród ludzi, powinien umieć bronić siebie i swoich, rozumiesz?

— Kogóż chcesz bronić? Brwi jego się zbiegły.

— Kogo?

Zaciął się, jakby wypowiedzenie to sprawiło mu mękę.

Ale pokonał się szybko.

— Frydy! — wyrzekł krótko.

— Przed tym Schultzem! — zawołałem.

— Więc ty nic nie wiesz! Widziałeś ją i nie rozumiałeś. Ta dziewczyna się kocha bez pamięci, to bije z jej oczów.

Ona chodzi jak senna, spowita swą namiętnością. Spostrzegłem to odrazu, gdym na nią spojrział, gdy mnie pocałowała ustami gorącymi od cudzych ust, a tak obojętnie, jakby pomiędzy nami nic wspólnego nie było, gdy patrzyła na

mnie, nie widząc, bo świat cały zasłonił jej inny obraz, i mówiła, a myśl jej była przy nim.

Miał słusność: jam tego nie rozumiał, bo też ja bratem nie byłem.

— Czekałem, czy mi sama nie powie — mówił Franciszek. — ale ona kręciła się po domu, jakby nic, tylko, kiedy spotkała mój wzrok, odwracała oczy, zarumieniona. Wczoraj rano, patrząc, wybiera się gdzieś. Stoi się przed lustrem, zawiązuje kapelusz.

— Gdzie idziesz? — spytałem.

Mruknęła coś niewyraźnie i dalej kładzie kapelusz.

— Pójdę z tobą — rzekłem.

Stała błada jak słup, potem wzięła szybko jakiś koszyczek, niby na sprawuneczek, i poszła niechętnie. Słowa nie powiedziała do mnie, tylko mieniła się na twarzy. Podąłem jej rękę. Nie opierała się, ale ręka jej spoczywała na moim ramieniu, niby kawałek drewna. Próbowałem do niej przemówić:

— Frydo, tobie coś jest?

Milczała; może nie słyszała, że do niej mówię.

— Przecież bratem twoim jestem, bratem jedynym. Opiekunem twoim będę zawsze, krzywdy uczynić ci nie pozwolę, a szczęścia twego, Frydo, pragnę więcej, niż własnego.

Czegom ja jej nie mówił! Była jak głaz. Zacięła się. Nic i nic. Nie było sposobu.

Zrozumiałem, o co jej chodziło. Byłaby wyrwała mi się z rąk i biegła do niego. Zrobiła dla niepoznaki jakiś sprawuneczek, jedno nic, i aż drżała z niecierpliwości, biegnąc do domu, żeby mnie się pozbyć. Wróciliśmy. Miałem ją na oku. Wyszła do kuchni, potem drzwi od sieni skrzypnęły lekko i Fryda przesunęła się pod moim oknem; szła tak szybko, że kiedy, pochwycawszy kapelusz, znalazłem się na ulicy, tylko mi zdaleka błysnęła jej szara sukienka i różowy kapelusz.

Mogła się spodziewać, że za nią pójde. Ale cóż: biegła bez pamięci, jak oczarowana.

Franciszek zatrzymał się, odetchnął ciężko.

— Musiałem wiedzieć, gdzie szła.

— I cóż? — spytałem.

Podniósł oczy. W tych oczach wyczytałem nieszczęście.

— Ha! — szepnął po długiej chwili — zapóźnom przyszedł. Nie ocaliłem jej, mogę tylko pomścić.

Przez chwilę milczał przygnębiony. Potem podniósł głowę, a oko jego pałało, jak wówczas, gdy marzył o wielkich ludziach.

— Nie sądziłem, że mi przyjdzie działać tak marnie — szepnął. — Ha! człowiek losem swoim nie rządzi.

Spoglądałem na niego, nie dobrze rozumiejąc, co chciał powiedzieć. Przecież żal ścisnął mi serce. Franciszek zamilkł znowu i jak niegdyś, po bia

łem, chmurnem czole jego, przesuwały się burzliwe myśli.

— Pamiętasz Wilskiego? — spytał nagle ostrym głosem.

— Spotkałem go któregoś dnia — odparłem.

— Spotkałeś go, nie dziw! Zrozumiałem wszystko.

— To on! — zawołałem — tak, to on! Przypomniałem sobie, że spotkał jego i ją tak blisko siebie.

Franciszek nie pytał z kąd wiedziałem, przytwierdził tylko głową! Brwi jego były ściągnięte, oczy błyszczały czerwonym blaskiem.

— Widziałeś go? — spytałem.

— Widziałem.

— I cóż?

— Cóż! Rozśmiał mi się w oczy, gdy mówiłem o małżeństwie. Przecież, Bóg widzi, płakałbym, oddając mu Frydę. Ty rozumiesz przecie, iż musiałem próbować. Teraz nie pozostaje mi nic, jak go zabić. Ja przecie muszę upomnieć się o krzywdę siostry. Mów: czy wskażesz mi inną drogę?

Stał naprzeciwko mnie zdeterminowany. Marzyciel ustąpił człowiekowi czynu. Mówił gwałtownie, urywanie, ale po za słowem, znać było plan obmyślony.

— Słyszysz! Śmiał się, śmiał się bezczelnie z hańby mojej siostry, jak wówczas w szkołach.

— A ty?

— Jak wówczas: byłbym rzucił się na niego i powalił! Nie jestem dzieckiem, powstrzymałem się. Cóżby mi z tego przyszło, gdybym to uczynił w jego mieszkaniu bez świadków; przywołałby do pomocy lokai. Czekałem, szedłem za nim, w restauracji, przy kilkudziesięciu osobach, nazwałem go podłym, cisnąłem mu w twarz rękawiczką. Choćby nie chciał, bić się musi. Oto dla czego przyszedłem do ciebie. Powiedziałem, że przyślę mu moich świadków.

— Franka! broń, strzelba, to nie twoja rzecz. Uśmiechnął się z goryczą.

— Prawda: uczyłem się wielu rzeczy, ale tej, najpotrzebniejszej, nie! Cóż chcesz? nie przyszło mi na myśl, że świat podobnym jest do areny dzikich zwierząt, że kto się bronić nie potrafi — ginie.

Pierwszy raz usłyszałem podobne słowa. Teraz słyszę je często, jednak i dziś nawet wierzyć im nie mogę. Na świecie bywa rozmaicie, ale ja doświadczyłem sam prawdy starej piosenki, co mówi:

"Chociaż to życie idzie po grudzie, Jak mi Bóg miły, nieźli są ludzie."

Patrzyłem też na Franciszka zdumiony. Nie chciałem odbierać mu odwagi. Ostatecznie, fakt był spełniony, zawołałem tylko:

— Obyś ją i siebie obronił!

— Kto to wie! Czuję, iż życie moje mogło się na coś przydać, mógłbym je przynajmniej w lepszej

sprawie położyć. Czemuż siostra moja spotkała na drodze swojej takiego Wilskiego? Była chwila milczenia.

— Mógłbym zapytać tak samo — mówił dalej — czemu go pokochała, czemu uwierzyła pięknym słówkom, czemu była taką a nie inną? Łańcuch przyczyn może być w ten sposób bardzo długi. Cóż? to nie zmieni położenia.

Ja wracałem ciągle do swojej myśli:

— Żebyś przynajmniej umiał fechtować się, albo strzelać!

— Nie umiem — odparł krótko. — Przecież nie sądzisz, ażebym tracił czas na przygotowanie się do pojedynku, którego nigdy mieć nie myślałem. Bo powiedz sam: czy może być większa niedorzeczność?

Pojedynku nikt dotąd nie nazwał przy mnie w ten sposób. Uważałem go za nieszczęście, bohaterstwo, wypadek, nigdy, za niedorzeczność.

— Więc w takim razie? — zawołałem.

— Żyjąc w niedorzecznym świecie, jesteśmy pochwyceni jego kołem, musimy także spełniać niedorzeczności. Czyż o tem nie wiesz? Jednostka w takiej walce zginie marnie i daremnie. Na niektóre wypadki świat ustanowił pojedynek, dał do wyboru śmierć lub hańbę. Hańby przecież nie wybiorę.

Mówił jeszcze długo w ten sposób. Niebezpieczeństwo, cierpienie, czy ważność chwili, rozwiązały mu usta. O Frydzie nie wspominał więcej, jak

by to była paląca rana, której dotknąć nie chciał. Ile cierpiał, tylko po nienawiści do Wilskiego zrozumieć mogłem. Gdy rzucał rozpaczliwe wyrazy, gdy spoglądał płonącymi oczyma, gdy wargi zaciskały mu się nerwowo, siostra stała w jego myśli i oczach, imię jej miał na ustach.

Pierwszy raz wmieszany byłem do pojedynku i nie byłbym wiedział, jak się obrócić, gdyby razem z Franciszkiem nie przyjechał z Poznańskiego do Warszawy odwiedzić krewnych, ów Halczewski, kolega, co zawsze stał po naszej

stronie, a teraz, jako landwerzysta, obznajomiony był z honorowemi sprawami. Franciszek spotkał się z nim w Berlinie, odnowili dawną przyjaźń, a teraz, nie wiem, jakbyśmy sobie dali radę bez niego. Czulem całą ważność mojej osoby i razem lęk mieszczaucha, co nigdy z żadną bronią nie miał do czynienia. Przytem tajemnica, którą zachować należało, atmosfera niebezpieczeństwa przejmowały mnie poszanowaniem dla samego siebie; byłem jakby kapłanem skrywanego obrzędu i miałem tak tajemniczą minę, iż tylko dzięki niedomyślności ludzkiej, cała sprawa na wierzch nie wyszła.

Naturalnie, z powodu, iż mieszkalem z ojcem, wszystkie narady — a było ich wiele — odbywały się u Halczewskiego, albo u sekundantów Wilskiego.

— Cóż ty tak latasz? — pytał mnie ojciec. —

Kto to ciągle po ciebie przychodzi? Coś się, widzę, święci pomiędzy tobą a Frankiem?

— To nic — bąkałem, zaprzeczając własnym słowom uroczyścią wyrazu.

Ojciec, który był zawsze strasznie ciekawy, nie mógł się taką odpowiedzią zadowolić.

— Jakto nic? — pytał dalej. — Czy to ja oczów nie mam, czy co?

A widząc, że się niczego nie dopyta, dodawał filuternie:

— Oho, sercowe sekrety! Rozumiem, rozumiem!

— Gdzież tam! — przeczyłem, nierad, że tak nisko szacuje moją tajemnicę — niema żadnych sekretów.

— Gadaj zdrow! Starego wróbla nie złapiesz na plewę.

Biedny ojciec! Z kądże mógł się domyśleć, że jeśli tu chodziło o miłość, miała ona wywołać krwawe następstwa! Pertraktacye szły twardo. Wilski występował w ten sposób, jakby robił największą łaskę Franciszkowi, stając do pojedynku. Warunki dawał ostre, jak człowiek pewny swojej ręki; Franciszek żądał także walki na śmierć i życie. Przedstawiałem mu, że ma wszelkie szanse przeciw sobie.

— Cóż ztąd? — odparł — czy myślisz, że się zgodzę na honorową komedję? Pragnę go zabić, a on

musi pragnąć mnie zabić, choćby dla własnego bezpieczeństwa.

— A co stałoby się z Frydą? — pytałem. Zbladł i zacisnął palce, aż stawy zatrzęszczały.

Przeszedł się parę razy po pokoju,

— Robię, co mogę — wyrzekł — płacę długi, których nie zaciągałem. Czy to jeszcze mało?

Milczałem. Taka była jego natura, iż sam trafił zawsze na to, co mu czynić należało. Dość było trącić jego serce.

— Cóż pocznę? — mówił dalej. — Nie ulecę tej miłości, nie sprawię, by to, co podle, stało się szlachetnem. To próżno. Jeśli go zabiję, ona płakać będzie po nim więcej, niż płakałaby po mnie. Przeklnie mnie za to, że ją ratuję. Jeśli zginę! Krew moja stanąć powinna pomiędzy nią a nim. Wszak prawda?...

Pytał, patrząc w oczy swym płomiennym wzrokiem. Jakąż odpowiedź dać mogłem? Kto kiedy zaręczy za szalone serce?

Pytanie stawiał nietylko mnie: stawiał je także samemu sobie.

— Nie, nie! — wyrzekł po chwili namysłu, wstrząsając głową. — Ona nie dostrzegłaby nawet mojej krwi, ona widzi jego tylko na całym świecie. Deptałaby po moim trupie, a szła za nim. To darmo!
I znów przechadzał się po pokoju gorączkowo.

— Ty — wyrzekł wreszcie, zatrzymując się przedemną — ty musisz ocalić ją, Stasiu.

— Ja!

— Ty! przecież nie ten Schultz. Ty byłeś mi bratem zawsze i dla niej bratem będziesz. Nieprawdaż? Ona potrzebuje opieki, więcej, niż dziecko małe.

Mówił tak, jakby już leżał na śmiertelnym łożu. Łzy podeszły mi do oczów.

— Nie, ty nie zginiesz, Franku! — zawołałem, rzucając mu się na szyję,

— Ginać nie pragnę — wyrzekł — ja, zginać z ręki takiego Wilskiego! Sami przecież wyrzekliście, że szanse są przeciwko mnie. Gdybym padł, przysięgnij, iż spełnisz moją wolę.

Przyrzekłem uczynić wszystko, czego żądać będzie.

Jak zwykle, w razach nieumiejętności we władaniu bronią, zgodziliśmy się na pistolety, ufając przysłowiu: "Chłop strzela, a Bóg kule nosi", chociaż Wilski w locie zabijał jaskółki.

Przeciwnicy mieli stanąć o piętnaście kroków i strzelać dowolnie pomiędzy komendą raz, dwa, trzy.

Sekundanci Wilskiego, którzy zrazu nastawali o krótszą jeszcze metę i gotowi byli" żądać, by przeciwnicy stanęli pierś do piersi, teraz nagle zmiękli, okazywali skłonności złagodzenia warunków; ale Halczewski, który wziął całe układy w swoje ręce,

nasrożył się wówczas i szepnął mi, że Wilski tchórzy.

Nabraliśmy zaraz większej ufności, bo któżby lękał się tchórza? Ręka jego zadrży w obec przeciwnika i pokaże się raz jeszcze, iż co innego strzelać do celu, a co innego do człowieka, który stoi z lufą zwróconą ku piersi. Landwerzysta był coraz lepszej myśli; ja drżałem, ale co chwila miałem ochotę wybuchnąć i opowiedzieć, no, nie wszystkim... tylko zaufanym, a przynajmniej ojcu i panu Pikalskiemu, do jakich to strasznych spraw jestem wmieszany.

Pan Pikalski nawet poznał się na tem.

— Staś coś w sobie dusi — mówił do ojca.

— E! gdzieżby tam! — tłumaczyłem się niezręcznie.

— Pewnie to jakieś amory — nalegał pan Pikalski.

Tu ojciec, który miał zawsze swoje plany co do panny Justyny, zaręczył, że co najwyżej, kłopotalem się amoramami Franciszka.

— No! no! groził mi przyjaźnie pan Pikalski — tylko tam bardzo nie pocieszaj przyjaciela: znamy się na tem.

Doprawdy, że wówczas o mało nie zawołałem: tu wcale o co innego idzie. Kiedy ja kipiałem, kiedy landwerzysta latał po całej Warszawie. Franciszek był dziwnie spokojny. Skoro raz wszystko zostało ułożone, odzyskał równowagę, pozorną przynajmniej.

Zemstę swą i nienawiść odłożył na bok, do chwil} pojedynku. Krokiem nie ruszył się z domu. Siedział w tej dawnej kancelaryi, z której drzwi otwierały się do przedpokoju, a okno na dziedziniec. Nikt wyjść nie mógł: ani głównym wejściem, ani przez kuchnię, żeby on o tem nie wiedział. Odbywał straż przy Frydzie, jak żołnierz na posterunku, do chwili ostatniej.

Od czasu, gdy Franciszek spotkał ją z Wilskim Fryda chodziła jak cień; patrzała na brata takimi oczyma, jak ktoś, co kona z pragnienia i błaga o kroplę wody. W dzień, jak w dzień, jeszcze podobną była do zgalwanizowanego trupa: ruszała się, odpowiadała, robiła, co jej kazano; drżała, gdy Franciszek na nią spojrzeł, wzrok jego łamał ją, niby trzcinę. W nocy, kiedy ojciec i matka zasnęli, Fryda zrywała się z pościeli, biegała po pokojach, łamała ręce, biła głową o ściany i gotowa była oknem wyskoczyć, byle biedz tam, gdzie ją ciągnęło serce szalone.

Ale okna i drzwi były zamknięte, a Franciszek czuwał.

Schultz nie domyślał się niczego, może tylko udawał, że się nie domyśla. Gdy nie był w fabryce, siedział w salce pod oknem i wypalał w milczeniu fajeczkę po fajeczce, albo też grał najspokojniej w kręgle z przyszłym teściem.

Przez parę dni, jakie upłynęły pomiędzy wyzwaniem a pojedynkiem, dom Müllarów był ponury jak grób. Niktby nie pomyślał, że szczęśliwi rodzice cieszą się powrotem dzieci i blizkiem zamężciem córki. Pan Müller nawet to zauważył.

— Czy wiesz? — rzekł raz do mnie — Fryda jakby nie kontenta z Wilhelma.

— Może go nie chce?

— Głupstwo. Co nie ma chcieć: Mütterchen mówiła, że każda dziewczyna ma kaprysy, że kiedy miała iść za mąż, to tak samo płakała. No, a potem była kontenta.

Pozostawiłem go w tem szczęśliwem mniemaniu. Raz, gdy wychodziłem, Fryda przysunęła się do mnie i pociągnęła mnie w framugę okna.

— Panie Stanisławie... Stasiu — poprawiła się, patrząc na mnie oczyma pełnemi rozpaczny — jesteś dobry, zawsze byłeś dobry! Nie odmówisz mi.

Wyciągnęła do mnie rękę. Dłoń była rozpalona, drżąca, a tętna biły w niej gwałtownie.

— Co rozkażesz?

— Ja rozkazywać! ja proszę! błagam, miej litość; jestem nieszczęśliwa, Wiesz dobrze, jak jestem nieszczęśliwa.

Mówiła szybko, łzy drżały w jej oczach, łzy dźwięczały w głosie!

— Czegóż chcesz? — spytałem.

Zaczęła coś szeptać. Brat był niesprawiedliwy,

w błąd wprowadzony, nie chciał wypuścić jej z domu, pilnował: ona musi przesłać list.

— Do Wilskiego! — zawołałem. Spuściła oczy i płakać zaczęła.

— Frydo, ten człowiek zwiódł cię niegodnie. Oczy jej oschły nagle, zabłyśły oburzeniem.

— I ty także, i ty przeciwko niemu!

— On sam jest przeciwko sobie. Czyż nie wiesz nic? Ten człowiek nie wart nawet wspomnienia twojego.

— To nie prawda! — zawołała, podnosząc głowę — zmówiliście się. Ja temu nie uwierzę nigdy. On przysiągł, że mnie kocha, mnie jedną, obiecywał, że się ożeni. Kiedy go oskarżacie, to tak, jakbyście męża mego oskarżali.

— Mężem twoim nie będzie on nigdy, Frydo.

— Kto to powiedział?

— On sam.

— Komu?

— Twemu bratu, którego pierwszą myślą było was połączyć.

Patrzyła na mnie, nie rozumiejąc, Fryda była zawsze ta sama. Wierzyła każdej obietnicy, jak wówczas, gdy będąc dzieckiem jeszcze, spodziewała się odemnie nowej sukienki dla lalki, lub oczekiwała z kawą w niedzielę, choć ja tylko na odczepne mruknąłem, że przyjdę. Teraz łatwowierność jej miała straszliwe następstwa.

— Nie! to być nie może! — próbowała protestować, głosem, który łamał się i drżał, jak struna pęknięta.

— Powinnaś mi wierzyć, Frydo. Ja i Franciszek za nic nie chcielibyśmy sprawić ci próżnych udręczeń.

— O! wy... wy nie lubiliście go nigdy — zawołała, czepiając się tej myśli, niby nadziei ostatniej.

— Któżby o tem pamiętał, gdy chodzi o twoje szczęście!

— Moje szczęście! — powtórzyła z nieznaną u niej goryczą. — Moje szczęście!

Znowu we mnie utkwiała błędne oczy i przez chwilę pozostała bez głosu, bez słów, z rozszerzonymi źrenicami, jakby nagle ujrziała los swój przyszły. I wybuchnęła płaczem wielkim, nie zważając na to, że matka była w pokoju, że mogła ją spytać o powód.

— Na miłość Boga, uspokój się — szepnąłem. Ona tego uczynić nie mogła. Stała oparta o mur framugi, z załamanymi rękami, wstrząsana całą spazmatycznym łkaniem.

Pani Muller podniosła głowę z nad drutów, którymi pilnie przerabiała.

— Nay! Was gibt's Frieda? — zapytała bez zbytniego niepokoju, jakby z obowiązku, lub grzeczności.

Fryda, zamiast odpowiedzi, uciekła z pokoju, zanosząc się od płaczu, a pani Müller uśmiechnęła się kiwając głową, i rzekła do mnie swą łamaną polszczyzną, iż dziewczęta zawsze są głupie, a gdy

mają iść za męż, to, choć cieszą się w duszy, uważają za swój obowiązek płakać nieustannie.

Z powodu tego szczęśliwego wyobrażenia, Fryda miała przynajmniej swobodę łez.

Ja byłem rad prawie, gdy nadszedł dzień pojedynku, bo doprawdy wśród tego wszystkiego można było oszaleć.

Wyjechaliśmy z miasta w prześliczny ranek lipcowy; była to właśnie niedziela. Przed ojcem zmyśliłem jakiś spacer.

Zebrałiśmy się wszyscy, dla niepoznaki, na placyku przed komisya sprawiedli. wości. Zobaczyłem tu zaraz

Halczewskiego, który robił przegląd dorożek, a w ręku miał spory koszyk.

— A toż co? — spytałem.

Spojrzał na mnie z pod oka i wyrzekł głośno:

— Jakże! Mamy odbyć majówkę o głodzie: śliczna mi przyjemność! Ja za nią dziękuję.

Jednocześnie zrobił ruch taki, jakby odciągał kurek. Zrozumiałem, że to były pistolety, które w tak dowcipny sposób ukrył przed okiem niepotrzebnych świadków. Pistolety wówczas były bronią rzadką, nie każdy je posiadał. Od Leszna też nadszedł Franciszek; usadowiliśmy się w dorożce. Halczewski, znawca na konie, zarówno jak na broń, upatrzył już tę, co najwięcej przedstawiała gwarancyi szybkiej jazdy.

— Na Bielany — wyrzekł wesoło, jakbyśmy wybierali się na jaką hulankę.

Dorożkarz obrócił się na koźle.

— To daleko!

— Cóż? czy twoje szkapy nie pociągną?

— Pociągną, ale za piętnaście złotych.

Na owe czasy, żądanie było ogromne. Halczewski, nie zważając, zrobił wspaniały ruch człowieka, niedbającego o pieniądze.

— Niech tam! Jazda, a ostro!

Dorożka potoczyła się po nierównym bruku i, przebiegłszy szybko nalewkowską dzielnicę, wyjechała na czyste pole.

Słońce wzbijało się z oparów rannych i piło chciwie rosę, perlącą się na trawie i liściach, jako zapowiedź dnia pogodnego. Dojrzewające zboża mieniły się różnymi odcieniami złota. Gdzieś dobiegł aromat świeżo skoszonych łąk, ptaki świergotem napelniały powietrze, nad Wisłą piegża, ukryta w krzakach, udawała słowika. Na rzece fale grały wesoło, odbijając błękit nieba. Promienie słońca kładły się na nich świetlanym mostem, a gdzieś, zdaleka, wiatr przynosił urywany dźwięk fujarki.

Jak na ludzi jadących się bawić, byliśmy dziwnie milczący. Halczewski od czasu do czasu rzucał jakiś żart, słówko, uwagę; ale te pozostawały bez odpowiedzi, Franciszek, zamyślony, spoglądał w koło, a mnie serce biło tak mocno, że nie byłem zdolny przemówić. Żołnierz przed pierwszą bitwą zapewne coś podobnego odczuwa. Podziwiałem

Halczewskiego. Ten zdawał się być w swoim żywiole.

— Wstydz się! wyglądasz na zmokłą kurę — szepnął do Franciszka. — Gdybym cię nie znał, myślałbym, że tchórzysz. Za całą odpowiedź Franciszek uśmiechnął się swym promiennym uśmiechem.

— Obaczysz — odparł.

Nie rozumiałem go, przyznaję. Na jego miejscu ja drżałbym z niepokoju, czy wściekłości, z bojaźni czy gniewu. A on? On był spokojny jak sprawiedliwość, jakby już na duszę jego zstąpiła wielka, zagrobowa cisza.

— Jaki ten świat piękny! — wyrzekł wreszcie wodząc wzrokiem w około i wciągając w piersi aromat rannego powietrza.

Że też on mógł w takiej chwili o tem pomyśleć!

— Przecież nie żegnasz go jeszcze — zawołałem nieuważnie.

— Czyż żegnać go potrzeba, ażeby to widzieć? — odparł z prostotą.

Przygryzłem sobie język. Odezwałem się bezsensownie, przypisując mu myśl, której nie miał wcale.

Halczewski kazał stanąć przed klasztorem. Obejrzał się: nie było nikogo. Spojrzał na zegarek, pokręcił głową i poszliśmy wszyscy w las ku polance z góry oznaczonej. Przeciwnicy mogli tam byli dojechać z innej strony. Polanka była pusta.

— Wilski gotów nie stanąć — wyrzekłem. Halczewski wzruszył ramionami. Litował się nad moją nieświadomością.

— Stanąć, stanie, bo musi — odparł — a że mu nie pilno, to pewne.

Po chwili dodał:

— Tchórz był zawsze, tchórz i nikczemnik. Ale świata się boi. Trzeba się będzie mieć na baczności.

— Jako? — spytałem.

— To twój pierwszy pojedynek, nieprawdaż? — wyrzekł, zamiast odpowiedzi — ja zaś jestem sekundantem po raz dziesiąty. Widziałem już nie jedną sztuczkę.

— Jaką?

— Jaką! Ot, pojedynek sprawa honorowa, a jak kto nie ma honoru?

— To co?

— To szachruje, tak samo tu, gdy stawką jest życie, jak i gdzieindziej. Dobrze, iż ja stoję za Franciszkiem, ja, co znam przepisy pojedynku na palcach, ciebie i jego takie lichy, jak Wilski, zjadłoby w kaszy. Ho! ho! znam ja jego lepiej, niż sądzi.

Rozmowy tej Franciszek nie słyszał. Stał o parę kroków nad urwiskiem, zbiegającym ku Wiśle, piękny, spokojny, z marzeniem w promiennych źrenicach, z jakimś mglistym smutkiem na czole.

W tej chwili usłyszeliśmy wśród ciszy poranku

turkot oddalony, potem śpieszne kroki kilku zbliżających się osób.

— To oni! — zawołałem.

Uczułem jakby nagłą ulgę, że raz wreszcie rzecz się rozstrzygnie.

Halczewski dodał mi otuchy, i to znać było w moim głosie.

Franciszek zwrócił się ku mnie.

— Tak ci pilno? — wyrzekł powoli.

— A tobie?

— Mnie? — powtórzył, z oczyma zgubionymi w przestrzeni — mnie!

I zrobił ręką ruch jakiś smutny, beznadziejny, którego znaczenie później dopiero zrozumiałem.

— Stasiu! — wyrzekł, jakby nagle budził się z marzenia. — Daruj mi, że cię wmieszałem w tę sprawę. Możesz mieć kłopot. Walka, broń, pojedynek: to nie twoja rzecz. Halczewski znalazłby sobie kogo innego bez trudu. Ale ja pragnąłem mieć cię przy sobie w tej chwili. Cokolwiek się stanie, pamiętaj o Frydziej; gdyby mnie zabrakło, broń jej od Wilskiego. Gdyby biedz za nim chciała, powiedz, że trup mój zagradza drogę, że duch mój stanie pomiędzy nimi.

— Mówisz, jak gdybyś miał umrzeć! — zawołałem.

— Kto wie? To możliwe.... a zresztą.... Wilski z sekundantami wynurzyli się z pomiędzy

drzew. Franciszek wskazał mi ich i dodał ze swym zwykłym, zagadkowym uśmiechem, jak gdyby chodziło o rzecz obojętną:

— Obaczmy to zaraz.

Pośpieszyłem do Halczewskiego. Połączyli się z nim sekundanci Wilskiego. Zajęli się materialną stroną walki, oglądali pistolety, naboje, odmierzali odległość. Jedna jeszcze osoba zostawała na uboczu: doktor ze szkatułką narzędzi chirurgicznych w ręku. Widzę go przed sobą. Nizki, krępy, rumiany, z długimi włosami, które nadawały jakąś pretensjonalność szerokiej twarzy i zatłuszczały kołnierz surduta, wodził wyłupiastymi oczyma za sekundantami. Czerwone ręce zanurzył w kieszeniach popielatych, nieco zabrukanych spodni i czekał, aż będzie potrzebny. Na pierwszy rzut oka widziałem, że nie był to żaden z wziętych lekarzy, ot, zwykły pracownik, nie męczył sobie mózgu nad nowymi teoryjami, kierował się doświadczeniem — jeden z tych, co nie posunęli naprzód medycyny, nie wynaleźli ani nowego bacillusa, ani nowego specyfiku, tylko sobie poprostu leczyli, jak ich nauczono. Przy pojedyńku był może raz pierwszy, bo patrzył na wszystko ciekawie, tak jak ja, chociaż ja udawałem gorliwie, że pomagam Halczewskiemu, który od razu objął komendę. Jeden z sekundantów Wilskiego chciał także coś udawać, dowodził, sprzeczał się nawet, ale zawsze musiał ustąpić, bo Halczewski był jakby żywym

kodeksem spraw honorowych, a przy każdej kwestyi przytaczał tak przekonujące dowody, że nie było mu co odpowiedzieć.

Odmierzono piętnaście kroków, ani zbyt wielkich, ani zbyt małych — zwyczajnych, męzkich kroków. Kiedy jednak naznaczono miejsca, gdzie mieli stanąć przeciwnicy, wydało mi się to tak blisko, tak strasznie blisko, iż uczułem, że blednę.

Zaczęto nabijać pistolety: były ich dwie pary. Sekundanci wybrali jedną parę dla walczących, drugą dla siebie.

Nigdy nie miałem wiele z bronią do czynienia a teraz glucho uderzenia stempli, szmer sypanego prochu, zakładanie kapiszonów — wszystkie te przygotowania, dziś uproszczone przez patrony i broń odtłycową — powiększały wrażenie

chwili. Nie byłem tchórzem, ale, przyznaję, byłbym dał wiele, aby być ztąd daleko. Przebiegały mnie dreszcze. Minuty zdawały się długimi jak wieczność.

Halczewski spojrzął na mnie i mruknął, wzruszając ramionami:

— Trzymajże się!

Wyprostowałem się, jak żołnierz na komendę. Gdyby tu szło o mnie, wiem, że wyglądałbym inaczej.

Przywołano przeciwników. Franciszek szedł zwyczajnym krokiem: twarz jego nie straciła wyrazu rozmarzenia. Wilski był blady jak płótno; bladeść

odbijała rażąco przy czarnej brodzie. Nadaremnie usiłował pokryć wzruszenie. Obadwaj skłonili się sobie, według zwyczaju.

Ciągnęli jeszcze losy o wybór pistoletu. Los padł na Franciszka; wybrał, nie patrząc.

— Bacność, panowie — odezwał się Halczewski. — Liczyć będę powoli: raz, dwa, trzy. Wolno wam strzelać od tej chwili, gdy powiem "raz", do tej, gdy zawołam "trzy". Gdyby kto strzelił wcześniej lub później, zasługuje na kulę, i mam ją w pogotowiu.

Wziął jeden z drugiej pary pistoletów, nabitych jednocześnie z temi, co służyły do pojedynku, drugi podał sekundantowi Wilskiego.

— Panowie gotowi? — odezwał się jeszcze wyraźny głos jego.

Potem nastąpiła chwila ciszy, w której słyszałem tylko szalone bicie mego serca. Ale zanim "raz" wybiegło z ust jego, rozległ się odgłos wystrzału, Franciszek zachwiał się, uderzył powietrze rękami i runął na ziemię.

— Zabójco! — krzyknął Halczewski.

I w jednej chwili, bez namysłu, strzelił wprost w głowę Wilskiemu, aż krew i mózg bryzgnęły dokoła.

Nastąpiła chwila niewypowiedzianego przerażenia. Nie pojmowałem dobrze, co się stało. Machinalnie pobiegłem do Franciszka, ukląknęłam przy nim: z ust płynął mu strumień krwi, po lewej stronie piersi

była rana, krew z niej buchała, rumieniła murawę, mieszała się z nieoschlą jeszcze rosą. Oczy, szeroko rozwarte, szkliste, brały w siebie promienie słońca i nie mrużyły się przed ich blaskiem.

Nie mogłem uwierzyć, że on nie żyje. Chciałem iść, wołać, szukać ratunku. Ujrzałem przy sobie twarz doktora. On, przywykły do widoku śmierci, był blady, odkrywał gwałtownie pierś z pod skrwawionej koszuli, a ręce mu drżały.

Po chwili podniósł się bladejszy jeszcze. Nie wyrzekł nie, nie potrzebował mówić. Śmierć wryła się już na obliczu.

Przy trupie Wilskiego stali jeszcze sekundanci. Mówili coś, usłyszałem tylko stanowczy głos Halczewskiego:

— W obliczu Boga i ludzi, za tę krew odpowiem. Zabił podstępnie: zasłużył na śmierć.

Potem nastąpiła chwila ciszy, potem zaczęto się naradzać, jak zatrzeć ślad pojedynku, jak się tłumaczyć w razie odkrycia. Nie pojmowałem, jak dwie naraz śmierci utaić się mogą. Halczewski znowu objął komendę i każdemu jego rolę i odpowiedzi wyznaczył.

Stała się rzecz nie do uwierzenia, a jednak prawdziwa. Nikt z nas nie był niepokojony. Kuryerek wspomniał wprawdzie o dwóch trupach, znalezionych w lasku Bielańskim, ale nie odkryto nigdy: czy to był pojedynek, czy samobójstwo.

Wróciłem do domu prawie nieprzytomny. Nie potrzebowałem już Frydy bronić od Wilskiego. Nie śmiałem się pokazać u Müllerów, jak gdybym to ja był winien śmierci ich syna.

Na pogrzebie widziałem, jak szli oboje za trumną, ojciec z córką, pani Müller z Schultzem. Stary był przygnębiony, przybyło mu odrazu lat kilkanaście; stara zawodziła głośno; Fryda zdawała się osłupiała. Szła, gdzie ją prowadzono, ale gdyby ją zostawiono na ulicy, z pewnością nie ruszyłaby się z miejsca: widać to było po jej oczach bez wyrazu, świecących martwym blaskiem.

Gdy mnie spostrzegła, oczy te zamigotały gorączkowo, a potem chodziły za mną błagające, jak oczy żebraka. Ojciec zbliżył się do pana Müllera, mówił mu to, co się zwykle mówi w podobnych razach: o woli Bożej, której się poddać trzeba, o tem, że wszyscy umierać musimy. Stary pokiwał głową.

— Ja! ja! — powiedział — aber Franz był taki młody.

Nie dowiedziałem się nigdy, czy znał szczegóły śmierci syna. Zapadł w martwość dziwną, jakby go już nic na świecie nie zajmowało. Odtąd przestał grać w kręgle, a nawet przestał bywać w fabryce, którą zdał zupełnie na Schultza. Nie wiem nawet, czy widok Frydy był mu pociechą, czy miał wyobrażenie, że ona była powodem katastrofy.

Takie rzeczy przechodziły jego pojęcie. Zresztą

stary Müller robił teraz takie wrażenie, jak gdyby nic już zgoła nie był zdolny zrozumieć. Żona jego powtarzała ciągle po niemiecku:

— Mój biedny chłopak, mój biedny Franz!

I on też wtórował jej od czasu do czasu, szepcząc drżącymi ustami:

— Biedny chłopak, biedny Franz!

Wróciłem z pogrzebu śmiertelnie znużony. Było mi tak, jak gdybym pochował cząstkę własnej istoty; rzuciłem się w ubraniu na łóżko. Spałem, czy marzyłem. Wieczór zapadał i księżyc w pełni świecił prosto w okno. Nagle zdało mi się, że słyszę imię moje, wymówione szeptem tak cichym, jakby pochodził gdzieś z niedościgłych przestrzeni: słyszałem go, nie w powietrzu, ale w głębi duszy. A jego akcent był tak dojmujący, jak gdyby ostrzegał o niebezpieczeństwie jakim, zwracał uwagę, pomimo nikłości dźwięku.

Zerwałem się na równe nogi; jakby dalszy ciąg sennych majaczeń, ujrzałem w oknie w blasku księżyca cień biały, który powoli rozpląnął się w powietrzu. Byłbym przysiągł, że rozpoznałem w nim szczupłą, naprzód podaną postać Franciszka.

Nie byłem jeszcze pewnie dobrze rozbudzony, uczułem przecież jak zimny pot wystąpił mi na czoło, a włosy jeżyły się na głowie. Wybiegłem z pokoju jak szalony i zacząłem błąkać się po ulicy, bo za nic

w świecie nie byłbym powrócił do mieszkania, które zdawało mi się pełnem widm i przerażeń. Przymiślały mi się wszystkie słyszane kiedykolwiek powieści o nadprzyrodzonych zjawiskach, a w przestrzeniach rozbrzmiewał jeszcze szept daleki, wołający mnie po imienia. Machinalnie kierowałem się ku Lesznu i sam nie wiem kiedy znalazłem się przed domem Müllerów. Zawiodła mnie tam, zapewne, siła dawnego nałogu, Czy też jakiś niepojęty instynkt. W chwili właśnie, gdy stanąłem przed nim, z bramy wypadła, jak wicher, kobieta, w której poznałem Frydę. Ubiór jej był w nieładzie; bez rękawiczek, bez kapelusza, miała jakąś chustkę zarzuconą na głowę, a z pod niej promieniami całemi wymykały się włosy.

— Frydo! — zawołałem.

Stanęła. Spojrzała. Poznała mnie. I znowu w jej oczach wymalował się ten błagalny wyraz, jaki widziałem w nieb na pogrzebie.

— Jak on zginął? — szepnęła, składając ręce. — Ty to wiesz! powiedz.

Mówiła do mnie w tej chwili, jakby to czyniła dawna Fryda; w okamgnieniu znikły wszystkie formy narzucone przez czas, oddalenie, zwyczaj świata; tak serdecznie płakała tylko w dzieciństwie, gdyśmy się pobili z Franciszkiem. Wziąłem obie jej ręce w swoje.

— Moja biedna Frydo — wyrzekłem — on zginął w twojej obronie.

— W mojej obronie? Jak? — spytała sucho, urywanym głosem.

Trudno mi to było tłumaczyć. A ona zawołała:

— On, on... powiedz mi, jak on zginął.

Teraz ją zrozumiałem. Nie pytała o brata, nie płakała brata; jeśli rozpaczała, to po jego zabójcy. Cóż mogłem powiedzieć?

— Pojedynek był śmiertelnym dla obudwóch — odezwałem się wymijająco.

Łamała ręce, które trzymałem w moich, usiłując wyrwać się z mego ujęcia.

— Czemu on się pojedykował — szepnęła — czemu się do mnie mieszał? Czemu! Czemu!

Wiła się prawie w moich rękach, powtarzając ciągle to jedno słowo. Wreszcie krzyknęła:

— Puść! czemu mnie trzymasz!

— Frydo, uspokój się przez litość.

— Przez litość? — powtórzyła urągliwie — któż miał litość nademną? czy ty może, czy brat? Puść.

Gdybym jej był nie trzymał, byłaby głową biła o ścianę. Nie wiedziałem co mam uczynić. Chciałem wciągnąć ją do domu, odprowadzić rodzicom, ale opierała mi się z szaloną siłą.

— Ja tam nie powrócę! Nie mam po co! Puść mnie. Puśćcie!

Mówiła to przyciszonym głosem, wydzierając się

z rąk moich, aż wreszcie zdołała to uskutecznić: pchnęła mnie z całych sił, tak, że się zatoczył, i, jak strzała, pomknęła ku miastu.

Zrozumiałem, że była szaloną. Zanim jednak zdołałem się opamiętać, była już daleko. Biegła wprost przez Tłumackie na Bielańską, dalej na Senatorską. Ludzi niewiele snuło się po ulicach. Nikt nie zwrócił uwagi na biegnącą kobietę. Parę razy blizki byłem jej schwytania, ale zawsze mi się wymknęła.

Nie pojmowałem, gdzie tak leci, aż dopiero kiedy wbiegła nad Wisłę, przeszedł mnie dreszcz strachu. Podwoilem usiłowań, wołałem, ażeby ją zatrzymano: daremnie. ' Wpadła na most i w miejscu, gdzie prąd rzeki jest najbystrzejszy, skoczyła w wodę. Przez chwilę jeszcze odzienie unosiło ją na wierzchu, potem zaraz pogrążyła się w topieli.

Kilku przewoźników na łodziach podążyło jej z pomocą, wczynie, gdy ja stałem osłupiały w miejscu, z którego rzuciła się do rzeki. Nie ja byłem winien; jednak gdybym był lepiej czuwał, gdybym był przynajmniej przewidział jej zamiar, zabiegł drogę, wezwał kogo, zdołałbym uprzeczyć nieszczęście.

Wszystko to teraz dopiero przychodziło mi na myśl, gdy stałem bezczynny, śledząc usiłowania ratunku, niezdolny sam go podać, bo pływać nie umiałem.

Raz i drugi coś białego ukazało się na ciemnym

obszarze rzeki. Prąd unosił ciało; było już daleko a mnie się zdawało, że słyszał pluskotanie fali; widziałem rozpaczliwe ruchy walczącej z nią topielicy.

Byłem jak skamieniały, białe promienie księżyca pełne były dla mnie widm groźnych, ciche powietrze — złowrogich głosów.

Ciało znaleziono na drugi dzień dopiero.

* * *

W tym roku zaszły ważne zmiany w naszym położeniu materyalnym. Ojciec zakończył wreszcie sprawę, która go tyle zmartwienia kosztowała, a zakończył w sposób polubowny, za namową pana Pikalskiego. Nie otrzymał wprawdzie całego spadku, który nam się należał, tylko sumę stukilkudziesięciu tysięcy złotych. Dla nas przecież był to majątek. — Żeby to moja nieboszczka była tego doczekała! — mówił ojciec.

Ja nie mówiłem, ale pomyślałem, że teraz mógłbym się ożenić. I, gdyby Józia zechciała?...

Tylko czy ona będzie chciała?

Pan Pikalski tryumfował z rezultatu, do którego przyczynił się swoją radą, jakby to on nas zbogacił. Panna Justyna i matka jej, teraz zupełnie zdrowa po kuracyi trenczyńskiej, winszowały nam serdecznie, a ojciec całował w rękę panią Pikalską i pannę Justynę. Tym sposobem dawał mi przykład. Ja całowałem także ręce tych pań. Dla czegożby

nie? — tylko całowałem je zwyczajnie jak znajome, które się szanuje, nic więcej.

Ojciec i pan Pikalski inaczej sobie o tem myśleli. Ja przecież za ich myślenie odpowiedzialnym być nie mogłem. Nigdy nie powiedziałem nic takiego pannie Justynie, coby mogło ją w błąd wprowadzić co do moich sentymentów. Lubiłem ją bardzo — któżby jej nie lubił? — ale od lubienia do miłości daleko.

Codzień rano i wieczór ojciec opiewał jej po. chwały. Ba! przy każdym słowie powtarzał:

— Bodaj to nasza Justysia!

I spoglądał na mnie znacząco. A ja odpowiadałem:

— Tak, tak, bodaj to panna Justyna! Czasem ojciec hazardował się dalej:

— Ej, chłopcze, gdybyś chciał tylko, gdybyś miał rozum!

Wówczas ja nie odpowiadałem już kategorycznie: śmiałem się, żartowałem; wreszcie, jeśli byłem przyparty do muru, mówiłem:

— Poczekaj, ojcze, może mi rozum i przyjdzie.

— Żeby tylko nie przyszedł po niewczasie — szeptał.

Tymczasem robiliśmy z ojcem różne projekta na przyszłość, jak odbierzemy pieniądze. Teraz jednak trzeba było zadowolić się nadzieją, bo dotąd nic nam nie wypłacono, a ojcu tak zbrzydły wszelkie pożycz

ki, iż nie było o tem co mówić. Ja, zresztą, nie nalegałem.

Józia miała znów na zimę do Warszawy przyjechać.

Kochałem ją pomimo wszystko. Takie już serce ludzkie. Cóż z niem zrobić? Wiedziałem dobrze, iż panna Justyna patrzyła na mnie jak w obraz, zawsze jednako, kiedy Józia była niestałą, jak pogoda jesienna; że panna Justyna będzie najlepszą żoną, a Józia jest wcielonym kaprysem; że panna Justyna myślała tylko o mnie, a przeciwnie Józia wymagać będzie, bym ja myślał o niej. Pannie Justynie przyznawałem wszystkie cnoty; nad cnotami Józii nie zastanowiłem się nigdy, ale widziałem ją przed sobą zawsze i wszędzie, we dnie i w nocy. Nawet śmierć Franciszka i Frydy prędko zatarła się w myśli wobec jej obrazu. Byłbym ją uwiadomił o niespodziewanem bogactwie: cóż, kiedy nie wiedziałem, gdzie była. Ona i ciocia nie zostawiły swego adresu, wyjeżdżając. Ojciec mówił, że to dla tego, by potem mogły fanfaronować swobodnie. Kiedy im czego było potrzeba, napisały gdzie im przysłać, albo też korzystały z jakiej okazji, zawsze nadmieniając, że bawią chwilowo w jakim miejscu, chociaż ta chwila trwała zwykle całutką wiosnę, lato, czasem nawet jesień. Potem kłamały obie bardzo zręcznie, zmyślając rozmaite podróże.

Powinno mi to być dać nieszczególne o Józii

wyobrażenie. Gdzie tam! Śmiałem się nieraz z różnych pretensyi, składając je zawsze na ciocię; ale śmiech swoją drogą, miłość swoją. Niechby sobie była gdzie chciała i mówiła co tylko chciała, byle uśmiechnęła się do mnie, pozwoliła ucałować swoje białe rączki, miękkie jak aksamit, a pachnące jak kwiatek.

Gdzie tam ręce panny Justyny! Nie darmo Józia mówiła kiedyś o jej stroju, że była ubraną jak pokojówka. Cóżby powiedziała o rękach? A nóżka Józii? Boże, co to za nóżka! Już nawet dama w żółtej sukni na parawanie mniejszej mieć nie mogła. Dla czegoż nie miałem ożenić się z Józia? Czemu zdawało mi się to rzeczą tak łatwą, iż tylko potrzeba było wyciągnąć rękę, by sięgnąć po szczęście, a czasem znów, że łatwiejbym gwiazdę z nieba objął dłonią, niż dostał tę małą rączkę na własność.

Błąkałem się ciągle pomiędzy nadzieją a rozpaczą, gdy najniespodziewaniej w świecie na samym początku Września odebrałem bilecik od Józii. Zawierał tylko trzy słowa:

"Otóż jesteśmy! Przyjdź".

Bilecik odebrałem w biurze. Wyleciałem zaraz jak oparzony. Bąknąłem coś zwierchnikowi, z którym spotkałem się, jak na złość, o nagłym interesie. Nie wiem, czy mi uwierzył. Właśnie mi też biuro było w głowie! Choćbym miał jutro za to dostać dymisję, byłbym pobiegł do niej.

Zastałem ciocię i Józję w mieszkaniu znajomych, których w mieście nie było. Józia wybiegła do mnie w fijołkowej sukni, kolor ten był najmodniejszy, a suknia leżała jak ulana, w małym kołnierzyczku, uśmiechniona, jak cukierek. Kiedym jej się przyjrzał, zdawało mi się, że zmierniała. Mówiła przecież, że ma się wybornie, i szczebiotała coś ciągle, tak, że nie miałem czasu przyjść do słowa.

Cioci nie było: wyszła za jakimś sprawunkiem, zresztą nie pytałem. Byłem w siódmym niebie.

— No, i cóż mówisz: przyjechałyśmy, przyjechałyśmy — powtarzała uradowana — choć do zimy jeszcze daleko.

Nawet liście żółknąć nie zaczęły. A czy wiesz dla czego?

Patrzała mi w oczy. Cóż mogłem odpowiedzieć?

— Znudziłaś się na wsi. Zachichotała swoim ślicznym śmiechem.

— Albo to na wsi nudno!

— Ciocia miała interesa? Wzruszyła ramionami.

— Oh! interesa! Jaki ty niedomyślny!

Pod jej spojrzeniem serce biło mi gwałtownie, rozsadzając piersi.

Ona przechyliła ku mnie głowę, zalotnie przymróżyla oczy.

— Oto tęskniłam — szepnęła, podkreślając słowa. Czulem, zem bladł i rumienił się.

— Za Warszawą!

— Może. A może też za kimś w Warszawie.

— Józiiu! Więc ty mnie kochasz!

Miałem ochotę pochwycić ją w ramiona, jak piórko, i tańczyć po pokoju. Pochwyciłem ją nawet naprawdę, ale ona odpychała mnie rączkami i wyrzekła smutnie:

— I cóż ztąd? Jesteśmy biedni oboje!
— Nie, nic, Józiu — zawołałem. — Jestem bogaty. Wygraliśmy proces, to jest: nie, pan Pikalski, nie, ojciec zrobił układ. Będziemy szczęśliwi.
— Nie może być!
— Tak jest, Józiu, tak! Doprawdy! nie sądziłem, że pieniądze mogą dać tyle szczęścia.
— Nie może być — powtarzała Józia. — Ty chyba żartujesz! Powiedz, że to prawda,
— Prawda, prawda, Józiu.
— Jesteś bogaty. To kupimy wieś.
— Kupimy co tylko chcesz. Józia w lot pochwyciła moje słowa.
— Co ja chcę! oh! ja chcę tylu rzeczy!
— Więc kupimy mnóstwo rzeczy.
— Naprawdę! — zawołała zachwycona.
— Naprawdę!
— Zaraz?
— Zaraz nie! jak odbierzemy pieniądze. Zrobiła niezadowoloną minkę niecierpliwego dziecka.
— I kiedyż to będzie?

Nie wiedziałem tego napewno.

— I wy tam zawsze mieszkacie na tej Zakroczymskiej ulicy? — spytała po chwili. — Myślałam, że teraz, kiedy jesteście bogaci...

Urwała i zarumieniła się nagle. Czyż ona wie, działa wprzód o zmianie mego położenia? Czy dla tego bilecik przysłała do biura? Ta myśl mignęła mi w głowie.

— Ja bo — mówiła dalej, pokrywając zmieszanie — nie mieszkałabym tam pewno. Nie chciałabym nawet mieszkać w Warszawie. Przyjechać na zimę, to co innego. Obywatel wiejski, właściciel ziemski: jak to ładnie brzmi, nieprawdaż? Ale urzędnik, mieszczuch...

Wydymała pogardliwie usta.

— Przecież jestem urzędnikiem, a kochasz mnie?

— Ty, to zupełnie co innego, a potem — kochać cię będę jeszcze więcej, jak wyniesiesz się z tego miasta. Na wsi zapuścisz wąsy, będzie ci z niemi ślicznie. Będę cię miała za co targać.

Myśl, że rączki Józki targałyby mnie za wąsy, wydała mi się zachwycającą. Czemuż nie miałem ich teraz!

Tymczasem przyciskałem do ust te rączki, wyobrażając sobie, jak rozkosznie byłoby ich targanie.

Śmieliśmy się oboje i tak zeszała nas ciocia.

Józia zerwała się z kanapki, na której siedzieliśmy oboje.

— Mamo! — zawołała — powiem ci wielką nowinę! Staś jest bogaty.

Opowiedziała matce o procesie mego ojca i jego zakończeniu, daleko lepiej, niż ja to uczyniłem.

Ciocia dziwiła się i cieszyła bardzo; zaczęła mi winszować.

— To nic — przerwała Józia — Staś kupuje wieś.

— Ma słuszość! Niema jak wieś.

— To jeszcze nic — ciągnęła dalej Józia, bo, jak wielki orator, najbardziej sensacyjną wiadomość zachowała na koniec. — Staś żeni się ze mną. To już ułożone. Masz nas tylko pobłogosławić.

Ciocia robiła niejake trudności, wszystko to było tak nagłe.... tak nie można... rzecz ważna... pokrewieństwo, trzeba starać się o indult.

Słuchałem z przerażeniem, ale Józia przecięła wszystko stanowczem "To już ułożone". Ciocia rozplakała się i pobłogosławiła.

Potem rozgadała się. Widziała już dawno co się między nami święci: cóż z tego! nie mogła przecież swego dziecka dać na biedę. Józia na to nie zważała, ale ona, matka....

Przypomniałem sobie, iż ojciec opowiadał nieraz, że się ożenił, skoro dostał sto osiemdziesiąt rubli pensyi. Ja miałem już trochę więcej. No! co prawda, inne czasy były dawniej.

A Józia była taka delikatna, rozpieszczona, przyzwyczajona do wygod. Ona przecież nie udźwignęła

by żelazka, którem matka zawsze własną ręką prasowała ojcu koszule, nie zbliżyłaby się za nic w świecie do kuchennego ognia. Takie rączki, jak jej, nie były stworzone do żadnej pracy; mogły tylko grzebać w atlasach, koronkach, klejnotach, a co najwyżej, targać za wąsy takiego, jak ja, prostaka.

Wyszedłem od cioci oszołomiony. Ślub, wieś wąsy, rączki Józii: wszystko to tworzyło w mojej głowie rozkoszny chaos.

W miarę jednak, jak zbliżałem się do domu, zacząłem go porządkować. Naprzód należało uzyskać przyzwolenie ojca, potem kupić zaręczynowy pierścionek — Józia z góry opisała, jaki być powinien — potem wziąć dymisyę, urządzać się tymczasem i szukać odpowiedniego majątku. Wszystko to zdawało mi się bardzo prostem. Kiedy jednak przyszło mi powiedzieć ojcu o tych pięknych projektach, rzecz okazała się nieco trudniejszą.

Ojciec siedział właśnie przy otwartym oknie i czytał kuryerka. Prenumerowaliśmy go już wówczas, a choć to był mały półarkusik, świstek nieledwie, jednakże ta lektura zabierała ojcu więcej czasu, niż dziś przeciętnemu literatowi przejrzenie wszystkich wieczornych gazet. Czytał go od początku do końca, począwszy od wiadomości kościelnych, o nabożeństwach, odpustach, kazaniach, aż do ogłoszeń, umieszczonych drobną druką na ostatniej stronie a ozdobionych stosownymi winietami. Były

tam pudelki, charty, wyżły, konie, powozy, kamienice i tańczące osoby w wysokich fryzurach, stosownie do tego, czy ogłaszano zgubę pieska, ekwipaże lub domy na sprzedaż, czy też nauczyciel tańca urządzał u siebie tak zwane komplety.

— Gdzieżeś to bywał, mości bałamucie! — zawołał, widząc mnie — żeś nawet na obiad nie przyszedł.

— Ah! ojczu! — zawołałem, całując go w rękę. Dostrzegł coś niezwykłego w mojej twarzy, bo

zdjął okulary i położył kuryerka.

— No, no — wyrzekł — cóż się to stało?

— Stała się rzecz ważna.

Zawahałem się chwilę i dodałem uroczyście:

— Proszę o błogosławieństwo: oświadczyłem się.

— Pannie Justynie? — zawołał uradowany ojciec, zrywając się, jakby mu ze dwadzieścia lat ubyło.

— Pannie Justynie, zkądże pannie Justynie?

— Komuż więc?

— Naturalnie, Józi.

Twarz ojca wydłużyła się nagle, ręce opadły jakby zniechęcone.

— Józi — powtórzył powoli — Józi? — Przecież jej tu nie ma.

— Właśnie przyjechała z cicią, przysłała po mnie, przyznała się, że za mną tęskniła; ja powiedziałem, że ją kocham szalenie, że teraz ożenić się

mogę. Cicia się zgodziła. Wezmę dymisyę, kupimy wieś. Obaczysz, ojcze.

Powiedziałem to wszystko jednym tchem, bo wyraz twarzy ojca niepokoił mnie coraz bardziej. Gdym skończył, było długie milczenie.

— A toś się ustroił! — wyrzekł wreszcie. — Czyż nie widzisz, że o zmianie twego położenia Józia wiedziała doskonale, że przyjechała z gotowym planem, śpieszyła się, by jej kto nie ubiegł? Oho, znam ją dobrze, i ją, i jej mamę!

Była chwila, w której sam podejrzewałem coś podobnego. Teraz jednak byłbym przysiągł przed ojcem, że to fałsz wierutny.

— Daj pokój — mówił, odgadując mój zamiar — nie przekonasz mnie, wiem co wiem. Od tegoś młody, żebyś był głupi i własnego szczęścia nie widział!

— Ja z Józia tylko...

— Wiem, wiem — przerwał — tak się zawsze myśli. Oddawna opętała cię ta Józia... Inaczej...

Umilkł, a ja nie śmiałem się odezwać. Ojciec długo chodził po pokoju, jak zwykle, gdy był z czego niezadowolony. Usiadł wreszcie na dawnym miejscu.

— Ha! — wyrzekł — trudno, taka widać wola boska!

— Więc ojciec nie będzie przeciwny? — zawołałem.

— Przeciwny, przeciwny! Na wieleby się to zdało! Sprzeciwiać się nie mam prawa: zawsze to cio

teczna siostrzenica, chrzestna córka mojej nieboszczki. Tego nie zapomnę nigdy, chociaż, że do niej niepodobna, to nie...

Ojciec poszedł ze mną nazajutrz do cici, pierścionek zaręczynowy kupił, tylko na nabycie wsi nie był zdecydowany, a o mojej dymisyi słuchać nie chciał.

— Będzie na to dość czasu — zawyrokował — jakby się coś dobrego trafiło; tymczasem nie pozwolę ci bąków zbijać po dniach całych. Ja zresztą z Warszawy się nie ruszę i pieniędzy dam ci tyle, ile będę uważał. Gdybyś się ożenił z panną Justyną, to co innego: powierzyłbym jej bez wahania się siebie, siebie, i wszystko, co posiadam. Nie było rady: trzeba było na tem poprzestać, choć widziałem, że się to Józia i jej matce bardzo nie podobało. Prześcigały się teraz w uprzejmości dla ojca, sadzały go na pierwszym miejscu, przymilały się; Józia robiła najrozkoszniejsze minki, głaskała, całowała: wszystko na nic. Jeszcze czasem, otrzepując się po pocałunku, mówił:
— Pfe, pomączyłaś mnie jak młynarka.
Albo znowu robił uwagę, że ma cały sklep aptekarski na głowie i rękach.
— To nie apteka — wołała zgorszona — to paryzkie perfumy.
— Wszystko jedno — odpowiadał.

Mnie zlewała także różnemi wodami, ekstraktami, które kazała sobie przynosić, a kosztowały bająnskie summy. Nie miałem wyobrażenia, by tak wiele pieniędzy na podobne głupstwa wydawać można. Dotąd znałem tylko wódkę kolońską i tę trzymano u nas od jakiego wypadku. Ojciec zwykle za życia matki przynosił jej długą, cienką flaszeczkę w Nowy Rok; dotrwała zawsze do nowej. Teraz nie mieliśmy jej wcale. W biurze śmiano się z moich pachnideł, a ojciec zapytywał pół żartem, pół seryo: czym już zgłupiał do reszty? Byłem niby bardzo szczęśliwy, jednak położenie moje nie było godne zazdrości. I Józia i ciocia raz wraz zachciewało się czegoś, czego ja, narzeczony, obowiązany byłem dostarczyć. Wszystko to były rzeczy dyabelnie kosztowne, moja pensja okazywała się za szczupłą, a ojciec dołożyć nie chciał.
— Według stawu grobla — powtarzał — niech się twoje panie tego nauczą.
Łatwo mu to było powiedzieć; one nie myślały się nauczyć, a cóż ja miałem robić? Przytem w wielu wypadkach nie wiedziałem, jak sobie radzić. Raz, na przykład, w teatrze grano coś nowego, jakąś sensacyjną sztukę. Występowała w niej Halpertowa. W sam dzień przedstawienia moim paniom zachciało się koniecznie łązy... A jak się moim paniom czegoś zachciało! No... Biegnę do

kassy jak szalony. Tłok nie bywały. Dociskam się, wygnieciony, ledwie żywy... Gdzie tam myśleć o łązy! Gdyby ich było dwa razy tyle, już by je rozebrano. Na galerye, na paradyz rozkupują bilety.... Jak nie pyszny wracam z tą wiadomością. Moja Józia w płacz. Ciocia, nie płacze wprawdzie, ale porusza brwiami we właściwy sposób, a z ust jej, pogardliwie ściągniętych, sypią się słowa ostre, kolące, jak szpilki. Mówi bardzo zwyczajne rzeczy: "Dla chcącego nic trudnego"; "Kto kocha prawdziwie, potrafi zawsze zrobić przyjemność ukochanej"; "Gdyby na moim miejscu był kto inny... "
Już to w takich razach ciocia umiała być wymowną bez wszelkich oratorskich frazesów; wymowę jej stanowiły spojrzenia, przycisk, kładzony na niektórych wyrazach, i głos lodowaty, tak lodowaty, jakby pochodził z samego północnego bieguna.
Za każdym takim zdaniem, rzucaniem końcem ust, w minutowych przerwach, podskakiwałem na krześle.

Płacz Józia doprowadził mnie do rozpacz. Gryzłem do krwi wargi, ale nie przyszło mi do głowy, by na to, co się stało, była rada jaka. Nie tego chciały moje panie.
Józia, widząc, że słowa matki nie wywołują żadnego aktu woli, odezwała się wreszcie z za łez:

— Mamo! Może by do kogo innego się udać o lożę, skoro Staś...

— Ależ loży nie ma już — przerwałem — przecież byłem w kassie: nikt jej nie stworzy.

— Bywają sposoby — wyrzekła dobitnie ciocia.

— Jakie? — zawołałem. — Niech ciocia powie: ja wszystko zrobię.

Byłem tak naiwny, iż nie miałem pojęcia, co by w takim razie przedsięwziąć można. Premiery jeszcze wówczas nie były w modzie, jak dzisiaj; ja przynajmniej o nich nie słyszałem. Do teatru chodziliśmy czasem, jeśli nowa sztuka, która już wówczas nową być przestała, uchodziła za dobrą. Opinia wyrabiała się zwykle sama z siebie. Kurier nie stanowił o zdaniu przeciętnej publiczności, bo w owym czasie chwalił zawsze wszystko i wszystkich bez wyjątku. Zresztą, nie zależało nam na tem, czy będziemy w teatrze dziś lub jutro. Jeśli nie dostało się biletów, to odkładano tę przyjemność na inny raz. Niechby się dobijali przyjezdni! My wiedzieliśmy, że sztuka nie ucieknie, że zobaczymy ją jutro, pojutrze, kiedykolwiek.

Ciocia nie raczyła dać mi objaśnień żadnych, może nie dawała wiary mojej niewiedomości. Zmierzyła mnie tylko od stóp do głowy lekceważącym spojrzeniem i pogardliwie ściągnęła ramiona.

W rozpacz pochwyliłem za kapelus i wybiegłem.

Szedłem na oślep, nie miałem wyobrażenia: co czynić należy? A czułem, że coś uczynić trzeba, że nie tak łatwo uda mi się przebłagać ciocię. Do tego te łzy Józia....

Z głową spuszczoną, nie widziałem nikogo na ulicy, gdy nagle rozbrzmiał koło mnie przyjazny, serdeczny głos:

— Pan Stanisław! Mój Boże! panu coś jest.

Było tyle ciepła w tych wyrazach, tyle troskliwości, iż odrazu stopniał zmróz, jakim przejął mnie głos cioci.

Przedemną stała panna Justyna; siwe. jej oczy patrzyły na mnie z tak poczciwym frasunkiem, że miałem ochotę pochwycić jej ręce i ucałować z całego serca, zapominając, że były często czerwone i pokłute od igły.

Powiedziałem jej też bez wahania mój frasunek.

— Jakżeż można — zawołała nieuważnie — żądać tego, co od pana nie zależy?

Umilkła nagle, zarumieniła się po uszy i zaczęła znów pośpiesznie:

— Tak, to musi być bardzo przykre, gdy kto sobie co ułoży. Taka piękna sztuka, Halpertowa....

Plątała się. Widocznie chciała zatrzeć wrażenie słów pierwszych. Nie wypadało jej przecież potępiać Józia.

Szła z bratem. Gdy mówiła, przyjrzałem jej się uważnie. Zeszczupiała znacznie, pobladła, a około

ust zarysował się jakiś wyraz smutku, którego tam dawniej nie było. Tylko siwe oczy zostały zawsze równie jasne, równie poczciwe.

— Ah! — zawołała nagle — może my będziemy mogli pana z kłopotu wybawić.

— Jakim sposobem?

— Idziemy właśnie z Mieczysiem po łożę, która była dla nas zamówiona. Jeśli ją dostaniemy, to odstąpimy panu; my możemy pójść innym razem. Nieprawdaż, Mieczysiu?

Mieczys nie zdawał się tego zdania podzielać. Spoglądał na siostrę z widocznym oburzeniem. Spostrzegła to.

— Mój Mieczysiu, mój złoty! — zawołała — zrobisz to dla mnie. Prawda?

— A co mama powie? — mruknął zachwiany.

— Rodzice idą do teatru dla naszej przyjemności; wiesz o tem dobrze. A ja, ja nawet wolę pójść innego dnia. Na dziś zaprosiła mnie Joasia. Mój Mieczysiu, nie upieraj się; już ja zrobię za to, co tylko będziesz chciał.

Błagała brata tak serdecznie, jakby szło o rzecz najważniejszą dla niej, dopóki nie ustąpił. Mruczał jeszcze trochę, gdyśmy szli we troje do kasy, bo mnie już panna Justyna nie puściła.

Gdym miał w rękę łożę, nie wiedziałem jak jej dziękować. Ona uśmiechnęła się trochę smutno.

— Taka mała rzecz — mówiła.

— Będę pani wdzięczny całe życie — zawołałem.

— Jest też za co! Wszak jesteśmy przyjaciółmi. Gdybym mogła, chciałabym panu na prawdę jaką przysługę wyświadczyć.

Oddaliła się śpiesznie. Ja pobiegłem do cioci.

— Jest! — zawołałem, wpadając do salonu, w którym obiedwie panie siedziały zadąsane.

Spodziewałem się wybuchu radości, tymczasem Józia odezwała się:

— To bardzo szczęśliwie! Cóż! kiedy mnie głowa boli.

— Widzisz, że jak kto chce, to może — dodała ciocia.

Miałem na końcu języka, jakim się to stało sposobem; ale znałem już moje panie, rozumiałem, iż wiadomość jako łożę zawdzięczają grzeczności panny Justyny, popsułoby im humor do reszty.

I tak miałem z nim dość biedy. Józia skarżyła się na głowę, przykładając na skronie plasterki cytryny i wyglądała jak ofiara.

— Moje biedne dziecko! To wszystko z irytacji — mówiła ciocia, spoglądając na mnie jak na mordercę.

Nad wieczorem jednak ból głowy minął. Udobruchały się obiedwie. Pojechaliśmy do teatru, a gdy przyniosłem Józii cukierków w ładnej bonbonierce, raczyła się nawet uśmiechnąć.

Podobne sceny zdarzały się często. Wszystkiego, czego zażądały, ja musiałem dostarczyć, a jeśli nie dostarczyłem, były dąsy, łzy; Józia dostawała migreny, a ciocia czyniła wyrzuty, że unieszczęśliwiam jej dziecko, ba! mało tego, że ją zabijam mojem postępowaniem.

Traciłem nieraz głowę. Robiłem co mogłem, ale nie zawsze trafiła się panna Justyna, któraby uratowała mnie swoją dobrocią. Ona uratowała raz, a wymagania powtarzały się ciągle. To cioci zachciewało się jakiego spaceru, to Józi jakiegoś kwiatu, którego właśnie dostać nie było można, a już najgorsze były te bilety.

Raz, było to właśnie w jakieś święto, mróz był siarczysty, śnieg na łokieć przynajmniej' leżał na ziemi. Józi przyszło na myśl w południe przejechać się sankami do Łazienek. Sanek pełno uwijało się po ulicach, w powietrzu odgłos dzwonek rozlegał na wszystkie strony. Zdawało się bardzo łatwo żądaniu jej zadość uczynić. Ale ona w takie sanki wsiąść nie myślała.

— Fe! fe! — wołała na podobną propozycję.

I tłumaczyła mi, że sanki powinny mieć fartuch niedźwiedziami podbity, że na koniach powinna być siatka, a konie, zamiast krakowskich chomont, mają być ubrane w angielskie szory, w końcu dodała pogardliwie:

— Ty się, widzę, nigdy nie nauczysz tego, co wypada, a co nie.

Wiedziałem już gdzie najmować powozy, bo woziłem już nieraz moje panie, więc pobiegłem. Na nieszczęście, wszystkie konie były na mieście. Wróciłem z tą smutną wiadomością, jak nie pyszny. Miałem dopiero co słuchać! Na to jednak poradzić nie mogłem. Józia rozchorowała się na głowę, a gdym doradzał różne lekarstwa, powiedziała z gniewem, żebym jej dał święty pokój.

Zrozumiałem, że nie miałem tu teraz co robić. Józia nie chciała nawet na mnie patrzeć, położyła się na kanapce i odwróciła do ściany, ciocia dawała mi znowu nauki, które mnie do ostatniej złości doprowadzały. Wyszedłem, podobno nawet trzasnąłem drzwiami. Dyabli nadali z temi kaprysami — myślałem. Potem przyszło mi do głowy, że Józia była całe życie zepsutem dzieckiem, że ciocia pieściła ją, dogadzała, uczyła sama rozmaitych wymysłów. Cóż dziwnego: jeśli grymasiła trochę, nie wiele: wszakże mogła grymasić sto razy więcej. Czyż nie miała do tego prawa? Ona mnie przeniosła nad wszystkich, mnie, com nie mógł poszczycić się ani nazwiskiem, ani urodą, ani niczem wreszcie. Oh! oddawałem sobie sprawiedliwość, czemuż ja byłem? czemu mogłem się odwdziżyć za jej miłość? Doszedłem do domu zupełnie skruszony, wyma

wiałem sobie z całego serca, że takich sanek, jakich Józia chciała, znaleźć nie mogłem. Teraz szukać było po niewczasie, ale ja powinienem był domyśleć się jej chęci, przewidzieć ją, wynająć je od rana.

Byłem, doprawdy, niedołągą.

Z tem przekonaniem, wszedłem do pokoju. Ojciec właśnie po obiedzie palił fajkę, układając pasyans, zanim przyszedł czas kawy u państwa Pikalskich, na którą był co niedziela proszony.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

— A ty z kąd się wziąłeś, czy cię twoja helia wypędziła? Masz dyabelnie kwaśną minę.

Ojciec zawsze używał tego wyrażenia "bella", mówiąc o Józii.

— Eh, nie! — odparłem niechętnie.

Nie miałem żadnej ochoty opowiadać naszego małego zajścia.

— Zwolniono cię na dziś ze służby? — spytał z przekąsem.

— Józję głowa boli — odparłem.

— Terę fere — mruknął — znam ja takie bóle głowy: ot muchy w nosie, muchy w nosie, nic więcej.

Może Mieczysław wygadał się o biletach.

— Jak się będziesz poddawał — mówił dalej ojciec — to cię obie z matką osiodłają z kretesem i zaprowadzą tam, gdzie ci się nie śni nawet. Pamiętaj! Już dziś ci kolki ciosają na głowie, a co będzie dalej?

— Józia ma prawo być wymagającą. Popatrzał na mnie z litością, w której było dużo szyderstwa.

— No, proszę, i jakież to prawo, jeśli łaska?

— Ah! — zawołałem z przekonaniem — ona miała do wyboru tylu innych....

Twarz ojca stawała się coraz bardziej szyderczą, wreszcie wybuchnął, nie dając mi dokończyć:

— A to cię obełgały!

— Mój ojczu!

— Żeń się sobie, kiedy ci się tak podoba. Zawsze to siostrzenica mojej nieboszczki, Panie świeć nad jej duszą, ale miej przecie własny rozum.

— Józia mogłaby zrobić daleko lepszą partyę — recytowałem dalej.

— Jaka, jaką?

Chciałem przerwać, ale ojciec uderzył pięścią w stół, wołając:

— Słuchaj — że do stu dyabłów! ja to raz wypowiedzieć muszę. Ona miała w czym wybierać! Ona polowała na każdego, czy młody czy stary, czy brzydki, czy ładny, byle miał pieniądze, a na Henia urzędowała z matką kompletną obławę. Ona miała w czym wybierać! Że tak mówią nie dziw, tak im wypada. Ale żeby zaraz wierzyć! Oszalałeś czy co?

— Ojciec był zawsze uprzedzony do Józii — wyrzekłem zmieszany.

— Uprzedzony! proszę, uprzedzony! To już ostatnia pasya porywa.

Rzucił z gniewem karty na stół i chodził, sapiąc, po pokoju. Ale, że to był najłagodniejszy człowiek pod słońcem, rozbroiło go moje milczenie i mówił dalej spokojnie:

— Myślisz, że nikt nie widzi co z tobą wyprawiają, a wróble już o tem świergocą. Złapały cię na muchę, jak tylko dowiedziały się, że coś masz, i zamiast grosz twój szanować, ciągną na wydatki, jakby ten grosz nie miał na całe życie wystarczyć. Ciotka chce was wystrychnąć tak, jak siebie z córunią wystrychnęła... na dziady, tak, na dziady! A ty, kiedy już własnego szczęścia widzieć nie chciałeś i odwróciłeś się od niego jak głupi, patrz przynajmniej kieszeni. Rodzinę utrzymać, to nie chichy, a wiem, że siedzisz już w długach po uszy...

Nie protestowałem, choć tak znowu źle nie było. No! juźcić winien byłem trochę kolegom, i pensyi coś naprzód poszło, i za kwiaty, cukierki, powozy, zebrały się rachunki. Wiedziano, że mamy odbierać duże summy, i kredytowano mi.

— Proszę ojca — wyrzekłem na swoje usprawiedliwienie — ja muszę Józci czemś okazać moją wdzięczność.

— A to za co?

— Kocha mnie.

— Wielka sztuka: kocha cię nie ona jedna.

Niechże ona będzie tobie wdzięczna, że ją kochasz i bierzesz.

— Cóż tam ja!

— Proszę! Czegoż to ci brakuje? Chłopiec jak malowanie! Znam ja daleko lepsze od Józci, co poszłyby za ciebie z pocałowaniem ręki, ho, ho! i jak jeszcze!

Wiedziałem dobrze, o kim mówił. Ale ojciec na tem nie poprzestał.

— Ot głupie serce — ciągnął — głupie! ślepe! szalone! Czasem mnie wszystkie złości na ciebie biorą, czasem sobie myślę, że musisz być coś wart, kiedy za tobą przepada tak złota dziewczyna. Biedna ona, pomizerniała, pobladła, a na ciebie i na twoją Józcię słowa nie da powiedzieć, po prostu skoczyłaby za was oboje w ogień. Czasem znów przychodzi mi do głowy, żeś nic nie wart z kretesem, kiedy jej ocenić nie umiesz. Oj, ten, co ją dostanie, będzie miał raj na ziemi. Wie o tem nie jeden, i zaleca się. Wolałbym ją bez grosza, niż inną z milionami. I rodzice nalegają, żeby sobie kogo wybrała.

— To też pewno wybierze.

— A cóż ty myślisz, że nie?... że przez ciebie do klasztoru pójdzie, albo starą panną zostanie? Panna Justyna to nie żadna heroina. Popłacze w kąciuku, pomodli się, a jak się zdecyduje zamienić pierścionek z uczciwym człowiekiem, chociażby bez gwałtownej miłości, to mu słowa i wiary dotrzyma i będzie

myślała tylko o jego szczęściu, tak, jak moja nieboszczka.

Nie przeczyłem. Panna Justyna była dobrą dziewczyną; dała mi tego dowód z ową lożą. Cóż to za różnica jednak była między jej sercem a sercem Józci!

Kiedyśmy raz rozmawiali o przyszłości, o wszystkim, co ludzi rozdzielić może, ona wzięła moją rękę w swoją, patrzyła w oczy ślicznemi oczyma, i rzekła z determinacją:

— My się nie rozdzielimy nigdy, Stasiu! bo ja umarłabym. Czuję to!

Wszakże przyznała mi się, że o klasztorze myślała dla tego, żeśmy się pobrać nie mogli.
Onaby umarła, a pana Justyna popłacze w kąciku, pomodli się i pójdzie za innego.
Ze też można takie dwie kobiety porównywać!
Ta cała zima przeszła mi jak sen. Kiedy szukam jej szczegółów w pamięci, widzę tylko Józię, to śmiejącą się, to rozkapryszoną, to gniewną, to łzawą, to wesołą. Co chwila była inną, a już nie wiem w której najśliczniejszą?
Gniewaliśmy się czasem, ale zaraz następowała zgoda; ja, naturalnie, przeproszałem, ona zawsze przebaczała, a to były najmiłsze chwile, i warto było znosić nie wiem jakie gniewy, byle potem uzyskać przebaczenie.
Mieliśmy się pobrać naprzód w karnawał, potem na wiosnę, potem w lecie, bo jakoś były trudności

z indultem, z odebraniem summy, a ponieważ mieliśmy zamieszkać na wsi, ciocia i Józia utrzymywały, iż nie warto urządzać mieszkania w Warszawie. Tak więc ciągle odwlekano się moje szczęście. Mówiłem to Józi, ale ona zrozumieć mnie nie chciała i odpowiadała ze śmiechem:

— Albo to nam źle!

No! źle nie było, tylko mogło być lepiej.

Tej zimy nastąpiła u nas radosna zmiana: Adaś dostał awans do biura i robiono mu nadzieję, że wkrótce zostanie nadleśnym; zamieszkał naturalnie u nas. Wydawał się teraz starszym odemnie; dorodny, ogorzały, nie miał, jak dawniej, zaspanych oczów, przeciwnie: oczy te błyszczały pod czołem, które białością odbijało od całej twarzy. Ojciec bardzo się nim cieszył, bo kochał go jak syna; ze mnie też nie miał teraz pociechy żadnej, a że nie mogłem wytrzymać bez gawędki, w domu było mu przykro.

Adaś okazał się wesołym towarzyszem: można z nim było robić co kto chciał. Do Józi poszedł ze mną chętnie, przywita! moją narzeczoną serdecznie, ale jakoś mu się u cioci nie bardzo podobało, bo po kilku minutach umilkł, kręcił się na stołku i zabawiwszy nie całe pół godzinki, wyniósł się i już potem na drugą wizytę namówić się nie dał. Prawda, nie bardzo namawiałem. Józia, nie chcąc mi robić

przykrości, była grzeczną dla Adasia, ale ciocia wyrzekła bez ogródki:

— Nieosobliwych masz kuzynów, Stasiu: jakiś tam podleśny!

— Moja ciociu! to miły chłopiec — dodała Józia, która dnia tego była dla mnie szczególniejszą łaskawą — tylko... nie dla nas towarzystwo... nie jego w tem wina.

Dla czego Adaś nie miał być towarzyszem dla nas? nie wiedziałem. Bawiłem się z nim doskonale. Opowiadał o lasach, polowaniach, zwierzętach, bo rozmiłowany był w swoim zawdzie. A czynił to z takim ożywieniem, iż, słuchając, brało się udział w przygodach, o których mówił. Może Józia zapamiętała, iż, będąc dzieckiem, wołał bawić się z pudlem, niż z nią; może rozumiała, iż dziś także nie robiła na nim żadnego wrażenia.

— Cóż Józia? — pytałem go dnia tego, pewny, że usłyszę hymn zachwyty, że jeśli zraziła go ciocia i jej ceremonialne obejście, musiał podziwiać moją narzeczoną.

Zmieszał się i przez chwilę nie wiedział co odpowiedzieć.

— Józia! Józia! — powtarzał, jakby zaskoczony pytaniem, którego mógł się przecież spodziewać. — Wiesz co: Józia nie odmieniła się wcale.
Oczy jego unikały moich, a chociaż byliśmy

w mieszkaniu, zdejmował rękawiczki i kładł je na powrót, jakby czemś był mocno zajęty.
— Nieprawdaż! — zawołałem, biorąc słowa jego za pochwałę. — Nie odmieniła się! Jestem bardzo szczęśliwy. Spoglądał na mnie, przestępywał z nogi na nogę. Chciał coś powiedzieć, a nie wiedział jak to uczynić.
— No, tak, jesteś szczęśliwy — powtórzył powoli — to najważniejsze.
Zatrzymał się chwilę, zmieszał jaszczke bardziej, poczerwieniał i zawołał z nagłym wybuchem:
— Już ja wolałbym pannę Justynę!

Jaki on miał pospolity gust! Józia słusznie mówiła, że nie było to dla nas towarzystwo.
Do państwa Pikalskich Adaś przystał od razu. Chodził tara z ojcem z razu co niedziela, potem coraz częściej, aż nareszcie zaczął codzień zaglądać. Grywał z panią Pikalską w pikietę, z samym panem w warcaby, z Anusią w szubieniczkę, Mieczysiovi pomagał w odrabianiu zadań. Pannie Justynie nie pomagał w niczem; grywał z nią jedynie w zielone i zawsze był pobity. Grali o różne drobiazgi, o kwiatki, cukierki, o rzeczy nieokreślone, które on uiszczał w postaci łoży lub t. p. Panna Justyna twierdziła, że kto jest tak nieuważny, ten grać w zielone nie powinien; on znów dowodził, że właśnie tym sposobem poprawie się może, i grał dalej, nie poprawiając się wcale.

Trwało to blisko miesiąc, aż wreszcie Adaś przegrał swoje serce, chociaż, zdaje się, że to już było faktem spełnionym od dawna, a państwo Pikalscy, mój ojciec i całe otoczenie wiedziało o tem, Adaś nie stanowił świetnej partyi; miał jednak nadzieję wkrótce zostać nadleśnym, a wówczas mógł się śmiało ożenić, mając zapewnione utrzymanie.
Państwo Pikalscy dopomódz mogli młodej parze. Adaś był zdolny, pracowity, zakochany do szaleństwa; panna Justyna, po krótkim wahaniu, zgodziła się z wolą rodziców.
Mieliśmy więc drugie zaręczyny w rodzinie. A mój ojciec, widziałem to dobrze, był z nich stokroć więcej zadowolony, niż z pierwszych.
Naturalnie, musiałem się na nich znajdować, tem bardziej, że taki był wyraźny rozkaz ojca, choć Józia się krzywiła. Zapewne z tego powodu nie było mi na tych zaręczynach wesoło. Panna Justyna, jakkolwiek główna osoba uroczystości, gospodarowała swoim zwyczajem, rumieniła się tylko co chwila i doprawdy, było jej z tem ładnie. Powitała mnie z wielką swobodą, jak brata.
Ja życzyłem jej szczęścia, trochę ceremonialnie. Było mi dziwno, że jej oczy zwracały się teraz ciągle do Adasia nie do mnie. Zakorciło mnie coś nawet, żeby jej przypomnieć przeszłość.
— Ktoby się był spodziewał, że będziemy jakby braterstwem! — wyrzekłem.

— Jak to dobrze!

Słowa te wprost z serca wybiegły jej na usta, zanim się zastanowiła.

— Dobrze! — powtórzyłem, zły bez żadnego powodu — radziśmy temu oboje, chociaż podobno rodzice nasi mieli inne projekta.

Patrzyłem na nią, chcąc się dobrać do najtajniejszych uczuć.

— Oh! — zawołała ze szczerym wyrazem, dowodzącym, że tam tajnych uczuć nie było wcale — takie projekta nigdy się nie udają.

Po chwili dodała z powagą:

— Widać nie byliśmy sobie przeznaczeni.

— I nie będzie pani żałowała Warszawy?

— Dawniej — odparła — myślałam, że się nigdy nie zdecyduję z nią rozstać.

— A dziś?

— Pan Adam mówi, że wieś jest tak przyjemną. Zrozumiałem. Z Adasiem będzie jej wszędzie dobrze. Doprawdy, że ten Adaś szczęśliwy. Ja byłem szczęśliwy także. Tylko inaczej, zupełnie inaczej. Józia o tych zaręczynach odzywała się z przekąsem:

— Czy panna Justyna znowu miała przypasany fartuszek?

— Naturalnie: taki w domu zwyczaj jej i siostry.

— Winszuję — odparła. — Już to prawdziwie ta Justyna z Adasiem dla siebie stworzeni: niechże

się pobiorą szczęśliwi, i pojedą sobie jaknajprędzej, choćby na jaką puszcę.

— Cóż ci oni wadzą?

— Ob, mój Boże: cóż wadzić mi mogą? są mi najzupełniej obojętni.

Ja ją znałem, wiedziałem, iż ludzie, o których odzywa się w ten sposób, nie byli jej obojętnymi wcale.

Przez całą zimę ojciec, pan Pikalski, ja wreszcie, dowiadaliśmy się o wsiach, któreby kupić można. Nie było to w owym czasie rzeczą tak łatwą, jak dzisiaj, kiedy każdy niemal majątek jest do sprzedania.

Wieś była siedliskiem dobrobytu, swobody, spokoju, dla właściciela, naturalnie. Nie potrzeba było wysilać głowy na gospodarstwo, nie kosztowało ono nic prawie.

Pańszczyzna uprawiała pola, zebrała, wymłóciła, ba! nawet odstawiła zboże; podatki były nie wielkie: więc jakakolwiek otrzymana za nie cena stanowiła zysk czysty. Konie każdy zwykle miał własnego chowu; drobiu, zwierzyny, ryb, nabiątu nie kupowano. Płótna przędzono i tkano w domu. Wydawał więc tylko pieniądze ten, co chciał, co lubił zbytkowne sprzęty, stroje, podróże.

Kto zaś chciał tylko używać darów bożych, upiękniać swoją siedzibę, równać drogi, zakładać ogrody, w zimie z przyjaciołmi obsiadać kominek

z płonąca brzezina, w lecie szukać chłodu w cienistych splotach, mógł bez pracy i zachodu zbierać pieniądze. Wywłaszczyć szlachcica było bardzo trudno, a kupić wieś licytowaną za długi uważano za rzecz niehonorową: ktoby się jej dopuścił, mógł skwitować z sąsiedzkich stosunków, wytykanoby go palcami. Majątki ziemskie sprzedawali więc najczęściej spekulanci, którzy, zamiast na małym, chcieli pracować (bo tak się to nazywało) na większym, albo też utracysze, potrzebujący na gwałt pieniędzy, ażeby wyjechać za granicę, spłacić jaki dług karciany, lub coś podobnego. Sąsiedzi znali się doskonale pomiędzy sobą od dzieciństwa, wiedzieli o wzajemnych kolligacjach; nowy przybysz stanowił curiosum; przyglądano mu się ciekawie; nie zaraz i nie każdego przyjmowano do obywatelskiego grona. Okolica każda stanowiła spoiste ciało, miała swój charakter, zdania, obyczaje, których nie można było bezkarnie naruszyć. Część jej integralną stanowili proboszcze; doktor nie zawsze był do towarzystwa przypuszczany, nigdy aptekarz, ani też żaden urzędnik, który chyba tylko z interesem bywał w wiejskich domach, i to jeśli nie było rządcy, któryby mógł obowiązkom gościnności zadość uczynić. Już to najmniejszy obywatel, choćby miał tylko

odłużoną wioszczykę, za nic miał urzędnika, bez względu na stanowisko. Radca stanu czy kancelista nosił u niego zarówno pogardliwą nazwę gryziopiórka, choćby był mądry jak Salomon, a uczony jak rabin. Wykształcenie wcale na wsi nie popłacało, z nauki śmiano się bez ceremonii, a szlachcic, zwłaszcza jeśli szkół nie skończył, miał sobie za obowiązek powtarzać: "Co uczony, to głupi."

Wszystko to mówił mi Adaś, bo, naturalnie, ja, gryziopiórek, nie mogłem mieć wyobrażenia o wsi i jej mieszkańcach. Teraz dopiero zrozumiałem wiele rzeczy u cioci i Józki, które mi się dziwnymi zdawały.

Nie darmo krzywiły się na stanowisko Adasia. Naturalnie, że o przyjmowaniu go w domu nie mogło być mowy. Taki krewny kompromitowałby w stosunkach sąsiedzkich, przeszkadzał nawiązaniu znajomości.

Przestałem się dziwić, że moim paniom zachciało się koniecznie, abym kupił majątek ziemski; Józka mówiła mi o nim nieustannie, no, i mnie się ta przyszłość uśmiechać zaczęła.

Na szczęście, na glebie, uprawie roli, inwentarzach i ja i ojciec znaleźliśmy się, nie przymierzając jak kury na pieprzu. Żyta nawet od pszenicy żaden z nas odróżnić nie umiał. Cały więc trud szukania majątku spadł na Adasia. On, jako wychowaniec Marymontu, był dla nas powagą w rzeczach agronomicznych.

Pocziwy chłopiec! Wziął tę sprawę do serca, jeździł, wywiadywał się i zwracał się do nas, gdy znalazł coś odpowiedniego. Taką jednak wymarzoną wioskę, coby zadość czyniła wszystkim wymaganiom, znaleźć było trudno. Ojciec, któregośmy do naszych projektów wciągnęli, zapytywał przede wszystkim: czy jest blisko kościół i rzeka: był amatorem zimnych kąpielei; Józia: czy jest pałac, park, oranżerya, o innej wsi słuchać nie chciała; ciocię znów najwięcej zajmowały sąsiedztwa: pragnęła, by były liczne, ożywione, nadewszystko zaś dystyngowane.

Najczęściej Adaś nie uważał na rzekę, chyba, że stał na niej młyn, ani na pałac, oranżeryę, a już najmniej wiedział o sąsiedztwach.

Niekiedy warunki zdawały się tak odpowiednie, iż jeździłem oglądać różne majątki, ale jakoś nigdy do kupna nie doszło.

— Co nagle to po dyable — mówił zawsze pan Pikalski.

Rad wreszcie dowiedziałem się o jakichś Burzenicach, z pałacem, parkiem, rzeką, kościołem, o pięć mil od Warszawy, w cenie i z obszarem, o jakim myślałem.

Józia zachwyciła się samym opisem, a ciocia przypomniała sobie, iż właśnie w okolicy leżały dobra hrabiny X., z którą poprzyjaźniła się, jak mówiła, u jakichś wód.

Pojechaliśmy więc z Adasiem.

Był to śliczny ranek kwietniowy. Dorożka toczyła się zrazu szybko po szosie, konie parskały; czułem tę błogość, jaka przejmuje mieszczucha, gdy na wiosnę wydobędzie się z murów i oddycha rzeźwiącym powietrzem. Podobało mi się wszystko: topole przydrożne coraz rzadsze, liche, odarte z kory, w miarę jak oddalaliśmy się od rogatek, młoda zieloność ozimin, białe opary, unoszące się nad wodami, czeremcha w lesie, okryta wczesnym kwieciami, skowronki, które nazywałem słowikami, nawet żółte domki dróżników.

Potem zjechaliśmy w jakąś boczną drogę, pełną wybojów, kałuż i dziurawych mostków, których dyle, za stąpnięciem konia, ruszały się na kształt klawiszy. Układałem w myśli, że tam, gdzie ja będę właścicielem, pokażę dopiero, jakie mosty być powinny.

Kiedy będę właścicielem! Był to nieprzebrany temat marzeń. Moja wieś miała być rajem porządku, wdzięku, dobrobytu.

Spotykaliśmy we wsiach gromady zasmolonych dzieci, bawiących się na drodze. Dorożka nasza raz nawet o mało nie rozjechała malca z konopiastą czupryną, z koszuliną otwartą na wyдутym brzuchu, który przewrócił się prawie pod końskie kopyta. Jabym na to nie pozwolił; u mnie wszystkie dzieci miałyby opiekę.

W innym miejscu płot od ogrodu był rozwalony,

a stado nierogacizny ryło trawnik bez miłosierdzia.

— Jak można znosić taki nieporządek! — mówiłem. — U mnie tego nie będzie.

Mógłbym być jechać do wieczora, a nie zbrakłoby mi projektów; urządziłem domy, ogrody, gospodarstwa, stosunki, wszystko — z największą łatwością. U mnie dwór i chaty miały być zarówno wzorowe, a mosty, groble nawet tak doskonałe, iż choćby kto się uparł, nie mógłby wyrwać; wszystkie drogi, obsadzone drzewami, nie pozwoliłyby zabłądzić w zadymkę, w lesie zaś jechałoby się rozkosznym chłodem. Nie pojmowałem jak można zaniedbywać rzeczy tak prostych.

U mnie też nie miało być nigdy głodu, przednówka, nędzy żadnej. Nędza ludzka to przecież coś gorszego od nieporządku.

— Doprawdy — zawołałem, zwracając się do Adasia — chciałbym już miece swoją wieś, żeby pokazać, jak się nią rządzić powinno.

Praktyczniejszy, Adaś śmiał się serdecznie.

— Nie tak to łatwo, jak ci się zdaje.

— Cóż tu trudnego!

— Obaczyłbyś dopiero.

Zaczęliśmy się sprzeczać. Ja rozwijałem przed nim reformatorskie plany, on wykazywał ich słabe strony. Naturalnie, wierzyć mu nie chciałem, znajdowałem tysiące niezbitych argumentów na ich obronę.

Wśród dysputy dojechaliśmy do Burzenie; zdaleka imponowały one masą drzew. Pomiedzy nimi przeświecały sterczące mury pałacu, które w lecie rozwinięte liście zupełnie zasłaniać musiały, i wstęga rzeki, rozlana miejscami w stawy.

— Pańska rezydencja! — zawołałem zachwycony.

— Phi! phi! — mruknął Adaś. — Co to drzewa potrzeba na opalenie takiego gmachu!

— Tobie tylko twoje drzewo w głowie — wyrzekłem w taki sposób, żeby się ciocia tego nie powstydziała.

— Przecież las, drzewo, to moja rzecz — odparł, wcale nie obrażony.

Wygląd Burzenie zachwycał mnie; dojeżdżając, zauważyłem analogię pomiędzy nazwą wsi a moim nazwiskiem.

Przecież Burniccy także byli szlachtą, pieczętowaliśmy się grabiami: herb, czysto gospodarski, przywodził na myśl pracę na roli. Burniccy z Burzenie to brzmiało bardzo ładnie.

Gdyby tak można jeszcze Burzenice zmienić na Burnice! Burniccy z Burnic: już i ciocia niczego lepszego żądać nie mogła.

Zbliżka widziana imponująca miejscowość traciła, a nawet traciła coraz więcej, w miarę zbliżania się. Park był zupełnie nieogrodzony; gdzie nie gdzie tylko, jakby na pamiątkę, że ogrodzenie istniało, wznosił się murowany słupek, z opadłym tynkiem na wpeł rozwalony, albo też pozostałe tylko z nich kupy

gruzów. Brama wjazdowa, pozbawiona wieży, wznosiła w górę swój fronton, z dwoma poodłukiwanymi lwami na szczycie.

Przez nią wjeżdżało się w czterorzędową aleję lipową, prowadzącą na dziedziniec. Dziedziniec, z wielkim trawnikiem pośrodku, pełen był drzew i klombów, ale wśród nich bieleły się tu i owdzie świeże pieńki. Widać bez ceremonii wycinano co się dało, i co było najbliżej, na opał.

— Patrz! patrz! — mówiłem zgorzony, pokazując to Adasiowi.

Miałem takie uczucie, jakby to była osobista krzywda, wyrządzona mojej własności.

Naprzeciw pałacu stała kapliczka, poetycznie ocieniona modrzewiami, z boku oranżerya, raczej jej zwaliska, bez szyb, z podziurawionym dachem.

— A gdzie tu budynki gospodarskie? — rozglądał się praktyczny Adaś.

Rzeczywiście, prócz pałacu, kapliczki i oranżeryi w obrębie parku nie było innej budowy. Za pałacem ciągnęły się szpalery, gaje, stawy, ale gumien, stajen, obór, ani śladu.

Już skręcając przed pałac około trawnika, ujrzeliśmy, że połowa okien na dole zakryta była deskami i to stanowiło jedyny dowód starania, bo nawet na piętrze nikt nie zadał sobie podobnej pracy, a przez wybite szyby lub puste otwory okien, śnieg i deszcz

miały swobodny przystęp. Cóż to za ludzie tu mieszkali?

Czy mieszkali jacy? trudno się było domyśleć, bo żywy duch nie wyjrzał. Na dziedzińcu nie było psa nawet, coby swem szczekaniem dał znać o przybyciu obcych.

— Szczera pustka — zawołałem, wyskakując z dorożki.

Istotnie: musiała być pustka, drzwi główne były zabite.

Oglądaliśmy się za jaką żywą duszą, gdy dał się słyszeć z za pałacu ryk bydła, pasącego się swobodnie wśród parku, a z za węgła wyjrzała ciekawie rumiana twarz wyrostka.

Zawołaliśmy na niego. Daremnie! głowa schowała się czempredzej, i tylko czerwona noga, wystająca z za muru, świadczyła, że cofnięcie się było pozorne.

Wobec podobnego usposobienia nieprzyjaciela parlamentowanie zdawało mi się niepodobnym. Adaś jednak usunął trudności magicznym sposobem, którym była dziesiątka, ukazana zdaleka.

Za jej pomocą dowiedzieliśmy się, że kto chciał widzieć się z dziedziczką, musiał szukać drzwi bocznych, przeznaczonych niegdyś dla służby. Te znajdowały się z innej strony.

— A dziedzic? — spytał Adaś.

O dziedzicu pastuszek nie umiał nam nic powiedzieć, chociaż coś o nim słyszał.

— A wolno wam tak pasać po ogrodzie? — pytałem zkolei.

To zapytanie o mało nie rozwiało dobrej harmonii. Chłopak okazywał widoczną chęć zajęcia poprzedniego posterunku za węglem pałacowym, ale przytomny Adaś pochwylił go za ramię i za pomocą dodatkowego trojaka namówił, by nas do owego kuchennego wejścia doprowadził.

Cóż to za ludzie musieli być ci właściciele Burzenie! jak mogli dopuścić do podobnej ruiny, pozwolić na to spustoszenie! Dziś, w epoce dewastacyi, skoro już nawet istnieje wyraz techniczny na określenie rzeczy, widok

opustoszałego dworu, w którego kącie kryją się tytułarni dziedzice, nie miałby nic zadziwiającego; przed pół wiekiem było to nadzwyczajnością. Nawet Adaś twierdził, że jak żyje, nigdy nic podobnego nie widział, a on kawał kraju poznał.

Do drzwi bocznych dochodziło się przez kałużę. Zawahaliśmy się z Adasiem.

— A rządcy tu nie ma? — spytałem, gotów odstąpić od zamiaru zobaczenia się z dziedziczką,

— Bogaćby był rządcą.

— A ekonom?

— Wokumona nie ma.

— Któż tu gospodaruje? Pani?

Sama ta myśl, że pani gospodarowała, wydała się chłopakowi tak zabawną, iż śmiać się zaczął.

— Więc któż?

— Nie ma nijakiego gospodarstwa.

— Ha! kiedyśmy już przyjechali — wyrzekł z determinacją Adaś, stąpając na palcach po kamieniach, które, jak wysepki wyglądały z kałuży.

Przebrnąwszy kałużę, weszliśmy do sionki. Przed nami było kilkoro drzwi. Do których tu zapukać?

Przewodnik nasz się ulotnił, a my chodziliśmy i chrząkali, chcąc zwrócić uwagę kogo należy. Daremnie. Byliśmy jakby w pustkowiu.

Znudzeni, zaczęliśmy rozmawiać, w nadziei, że to wreszcie wywoła jakiś znak życia. Odpowiedziało nam głuche milczenie.

Już mieliśmy się wycofać z hazardownego posterunku, gdy za drzwiami na prawo, usłyszeliśmy wyraźne mruczenie kota. Zapukaliśmy. Nie odezwał się głos żaden, ale kot zeskoczył z jakiegoś miejsca, i mrucząc coraz głośniejsze, podszedł pode drzwi.

Wówczas ująłem za klamkę: skrzypnęła, odskoczyła. Rzeczywiście, pierwszą istotą jaką spostrzegłem, był bury kot, zły, najeżony, jakby gotowy do skoku; patrzył na wchodzących żółtymi oczyma, zdawał się zapytywać intruzów: po co tu przyszli?

Pokój był prawie pusty. Stało tu tylko łóżko i jeden z tych odwiecznych foteli, jakie służyły naszym dziadkom, ciężki, dziwaczny kształtu, obity

skórą, której pierwotnego koloru nikt nie mógł odgadnąć; sypał włosiem przez wielkie rany, jakimi był okryty.

Na tym fotelu spoczywał jakiś kształt ludzki, który zrazu rozeznąć było trudno: obwinięty szarą tkaniną i kraciastym szalem. Szara tkanina, po bliższym rozpatrzeniu, okazała się suknią; wydobywała się z niej głowa, okryta czarnymi, niekarnymi włosami, i wychodziły końce malutkich pantofelków, tak malutkich, że razem z kędziarami włosów obudziły we mnie jakieś zamglone wspomnienia.

Takie włosy, takie maleńkie pantofelki były niegdyś dla mnie przedmiotem uwielbień, serce rwało mi się w piersi do ich właścicielki.

Było to tak dawno. Tyle innych wrażeń, wspomnień, uczuć, przeszło przez moje życie, iż dokładnie niczego przypomnieć sobie nie mogłem.

Adaś nie miał tych, co ja, powodów zadumy: odezwał się więc bez ceremonii:

— Najmocniej przepraszamy; przyjechaliśmy w chęci obejrzenia i kupienia Burzenie; przysłał nas mecenas K. Czy możnaby widzieć się z właścicielką?

Na te słowa z fotelu uniosła się głowa okryta prawdziwym lasem czarnych włosów.

— Panowie chcą kupić Burzenie? — spytał głos słaby, jakby łzami dźwięczący. — Ah! kupujcie, kupujcie.

— Czy można je obejrzeć?

Kobieta zdawała się zdziwioną tem prostym pytaniem. Z poza włosów, które spadały w dół, ukazały się czarne oczy, ogromne, powiększone wychudzeniem twarzy.

— Ah! mój Boże, oglądajcie. Ja nie przeszkadzam, i owszem.

Zrobiła ruch, jakby znowu chciała zagłębić się w fotelu, a rzecz, o którą pytaliśmy, wcale do niej nie należała. Kot, uspokojony co do naszej obecności, wskoczył jej na kolana. Przytuliła go i głaskała ruchem pełnym łagodności, który sprzeczać się zdawał z gwałtownym wyrazem oczów.

— Potrzeba nam — odezwał się znowu Adaś — przewodnika. Gdybyśmy mogli zobaczyć się z właścicielką, lub zarządzającym gospodarstwem...

— Nie ma gospodarstwa, nikt tu nie rządzi — przerwała mu. — Właścicielką ja jestem. Pomocy dać panom nie mogę. Jestem sama, bez służby, mąż chory. Około granic oprowadzi panów każdy gospodarz ze wsi. Budynki stoją otworem. Może chcecie zobaczyć dom? z tej sieni można cały obejść, ogród — widzicie.

Mówiła to urywanym głosem, jakby odwykła od rozmowy, z trudnością wiązała myśli. Co chwila przypominała sobie coś jeszcze. Ciężała jej nasza obecność; to było widoczne: wzrok jej niecierpliwy nie schodził z nas, a ręka, pieszcząca kota, nabierała nerwowych ruchów.

Gdy mówiła z Adasiem, gonilem myślą uciekające wspomnienia. Twarz tej kobiety, wychudzona, żółkła, pokrajana zmarszczkami, stara czy zniszczona, była mi obcą; ale te czarne niekarne włosy, wijące się koło czoła, oczy, migające ogniem, nóżki, godne kopciuszka, kot na kolanach — ja to wszystko znałem.

Nagle w drugim pokoju dało się słyszeć niecierpliwe wołanie:

— Pić pić.

Kobieta powstała, jakby zmagając leniwe członki do ruchu, wstrząsnęła głową, odrzucając włosy z czoła. Poznałem ją po tym ruchu.

— Panna Helena! — krzyknąłem, uderzony nagłem wspomnieniem.

Zatrzymała się, zwróciła na mnie wzrok. Szukała ona także w dalekich wspomnieniach. Szukała — nie znalazła.

— Więc cóż? — spytała, czekając wytłómaczenia wykrzykniku.

— Pani mnie może nie pamięta, nie zauważyła nigdy, ale ja panią znam. Mieszkaliśmy długo w jednym domu — odparłem, bo czułem, że powinienem dać jej wyjaśnienie.

Płomienny rumieniec uderzył jej na twarz i zeszedł z niej natychmiast. Nie wiem, czy przypomniała sobie moje nazwisko, mój list niefortunny! Nie dała

tego poznać po sobie, obojętna, wyniosła w swoim upadku.

— Pić, pić — odezwał się głos z drugiego pokoju. Poszła powoli, ociągając się, z brwią ściągniętą.

Przez chwilę było słychać jej lekki chód, ruch koło chorego, potem głos mężki, gruby, niecierpliwy. Nie dobierał wyrazów, klął, wymyślał.

— Prezesówna — szepnąłem do Adasia. — Cóż się z nią stało!

— Ojciec umarł. Mąż wszystko przegrał. Słyszałem coś o tem.

Słyszałem i ja. Mówiono głośno, że potrójne przekleństwo ciąży na pannie Helenie: za matkę, ojca, małżeństwo wbrew ich woli. Dawno to już zapomniano. Ja zapomniałem także. Aż teraz trzeba mi się było z nią spotkać!

Z drugiego pokoju dolatywał ciągle głos mężczyzny:

— Popraw poduszkę. Nie mogłaś zgotować rosołu?! Skaranie Boskie z taką kobietą! Zdechnąć mi tu przyjdzie.

Gdybym miał tylko siły, dałbym ja ci, dał! Odpowiedzże przynajmniej. Milczy jak zaklęta. Cóż, do miliona dyabłów, pary z ust nie puścisz? Niech na ciebie nie patrzę... No, gdzie idziesz znowu? więdźmo! jędzo! dyablico!

Wyszła po chwili chwiejnym krokiem, blada, pomieszana. Zobaczyła nas, zachwiała się i oparła o drzwi.

— Panowie czekają? — wyrzekła zdławionym głosem. — Na co?

Chciała się nas pozbyć. Widziałem to. Ale ja w tem położeniu porzucić jej nie mogłem.

— Spotkaliśmy się niespodzianie — wyrzekłem. — Chciałbym z całego serca być pani pożytecznym.

Milczała; powieki jej były spuszczone, nerwowy dreszcz wstrząsnął ciałem.

— Co jabym mógł zrobić? — pytałem niezrażony.

— Mnie nikt użytecznym być nie może — odparła dumnie.

— Sprowadzę doktora, służącą, wywozę panią ztąd. Kupię Burzenice. Dam zaliczkę.

Milczała ciągle. Kot ocierał się o jej nogi, daremnie dopominając się pieszczoty.

— Pani tak pozostać nie możesz. Szyderczy uśmiech ściągnął jej usta.

Stałem ciągle przed nią. Zrozumiała, że nie ustąpię, i zawołała:

— Nie potrzebuję pomocy. Jakiem prawem mieszasz się do mnie?

Adaś, sądząc się niepotrzebnym, wyszedł przed chwilą. Zrozumiał od dawna, że jeśli chcemy Burzenice obejrzeć, trzeba sobie samemu poszukać przewodnika.

— Nie chciałbym, byśmy się spotkali daremnie — nalegałem dalej.

Mogłem mówić długo: była ciągle jednaka, jakby

bronie się chciała przed współczuciem ludzkim. Ja nie rozumiałem jeszcze tych bezdennych goryczy, które powiększa to wszystko, co by je ułagodzić chciało. Wspomnienie każde, jak każde zetknięcie z ludźmi, było dla niej boleścią.

— Dość tego — wyrzekła. — Nic nie potrzebuję, nie chcę niczego.

— Ja pani tak nie zostawię.

Przez chwilę chciała się cofnąć do pokoju męża przed moim natręctwem. Zrobiła krok i wzdrygnęła się. Wiedziała, co ją tam czeka; przytem, widząc moją determinację, nie była pewna, czy nie pójdę tam za nią.

— A więc — zawołała rozdrażniona — jutro lub pojutrze doktor odwiezie męża do szpitala; tak przecież zostawić go nie mogę. O mnie bądź pan spokojny — dodała z szorstkimi szyderstwem, które nie opuszczało jej ani na chwilę — nie myślę rzucić się do wody, ani obwiesić na pierwszej lepszej' gałęzi; nie chcę, żeby mój trup tu został. Świat szeroki.

— Przecież Burzenice....

— Burzenice należą do wierzycieli. Nie chcę z nich wynieść grosza. Dość mi przyniosły nieszczęścia.... Żegnam pana. Musiałem odejść; nie podała mi ręki, nie wyrzekła już słowa. Schyliła się do kota, który u jej nóg spoglądał na mnie złowrogo żółtymi oczami, wzięła

go, przytuliła do siebie z pieśczołą i nie spojrzała nawet więcej na mnie.

Wyszedłszy, spotkałem Adasia. Przyglądał się drzewom parku.

— Pytałem się o przewodnika: konie są w karczmie. Tam też pewno kogo znajdziemy.

Szliśmy lipową aleją ku ruinie bramy, eskortowani tymrazem przez chudego kundla, który ujadał na nas z przyzwoitej odległości, a uciekał, ile razy, znudzeni, zamierzaliśmy się na niego.

— Za nic — odrzekłem — nie kupiłbym tych Burzenic.

— Szkoda! w parku takie śliczne jawory, brzosty, widziałem nawet platany.

— Niech je tam! — zawołałem. — Miałbym tu zawsze przed sobą widok dawnej panny Heleny, i tego kota, co tak na mnie patrzył, jak na wroga.

— Głupstwo! — wyrzekł — przez jedną waryatkę! Ale wszak to o ciebie chodzi.

Adaś powtarzał tylko co posłyszał. Ja jednak czułem, że Helena nie była waryatką, tylko tak nieszczęśliwą, iż na to nieszczęście, przenoszące miarę zwykłą, nie było na teraz pociechy żadnej.

Potem dodałem głośno:

— Na tym majątku musi ciążyć jakieś przekleństwo! Nie chcę go się dotykać.

— Może i masz słuszność — odparł. — Są miejsca nieszczęśliwe. Maleparta zawsze do czarta.

W czasie, gdy konie popasały w karczmie, dowiedzieliśmy się historii Burzenie i ich mieszkańców, łatwej zresztą do odgadnięcia.

Burzenice odziedziczyła Helena po swoim ojcu i osiadła tam z mężem. Majątek był ślicznie zagospodarowany — opowiadał nam stary gospodarz, który ofiarował się być naszym przewodnikiem — w pałacu nie brakowało jednej szyby, ogród miał wszystkie ulice wygracowane, a w pokojach było pełno takich śliczności, jakich człowiek przez całe życie nie widział. Cóż! nowy pan domu nie pilnował, żonę samą zostawiał całymi miesiącami, a jak przyjechał, wołał tylko o pieniądze, sprzedawał, wydzierżawiał, zastawiał co było, bez pamięci na nic. Nie przebaczył ani ziarnu do siewu, ani wołom od pług. Ludzie mówili, że to wszystko szło na karty i hulanki.

— A cóż pani? — pytaliśmy.

— Pani! zwyczajnie jak pani: płakała i tyle. Raz tylko, kiedy pan przywiózł z Warszawy jakąś wesołą kompanię, zamknęła się u siebie i wcale wyjść do gości nie chciała. Dworscy mówili, że pan się wściekał, tłumaczył gościom, że żona chora, a ona tymczasem wygrywała na fortepianie z całych sił, że aż się po całym pałacu rozlegało. Potem pan już nigdy nie przywoził nikogo. Aż jego samego przywieźli chudziaczka. Był bezwładny, trzeba go było jak małe dziecko przewracać na łóżku. Stało się to jakoś przeszłej jesieni.

— Ha — mówili ludzie — nie będzie już tracił, bo też nie było już nic do stracenia. Przyjechali potem komornicy, sekwestratorzy, i wszystko zabrali, że na czem usiąść nie było. Aż jakąś tam starą krześlinę wyciągnęli ze spichrza, coby za nią i trzech groszy nikt nie dał.

— A z czegoż pani żyła? — pytałem.

— Bóg to wie! miała widać trochę grosza, bo za wszystko płaci gotówką. Ludzieby jej chętnie pomogli: miała zawsze nad każdym miłosierdzie; ale ona już taka przewzięta, że nic od nikogo nie chce. Żałowaliśwa ją wszyscy. Nawet sam komornik mówił, że to nie jej długi, że może się o swoje rzeczy upominać.

— A ona?

— Patrzała, gdy takie śliczne sprzęty wynosili z pałacu, i nie rzekła nic, ani słowa. Ja pomagałem wynosić. Kiedyśmy ruszyli fortepian, coś w niem jętko, jakby żywa dusza. Widziałem wtedy, że pani zbladła, w oczach jej łzy zaświeciły, poszła do okna dla niepoznaki, bo to zawsze była dumna, choć miłosierna. Komornik zmiarkował coś i pyta: "Może to pani fortepian"? Ale ona zaprzeczyła ruchem głowy i skinęła ręką, żeby go wynieśli. Nie powiedziała nic, tylko skinęła: widziałem ci ja, iż mówić nie może, że jakby przemówiła, toby łzy popłynęły ciurkiem.

Odetchnąłem lżej, gdym z oczu stracił odrapane

mury i drzwi parku Burzenie, ale pomimo to panna Helena ciągle stała mi w oczach. Widziałem ją zmartwiałą, a jednak tak potrzebującą uczucia, iż zwracała je do zwierzęcia, które zdawało się jedynym jej przyjacielem; taką, jaką mi się przedstawiła dzisiaj, widziałem, gdy, połykając łzy, patrzyła na ostateczną ruinę i kiedy zamknięta u siebie w obec narzuconego przez męża towarzystwa, szukała ulgi w burzliwej muzyce, protestowała, jak mogła, przeciw tej napaści na jej dom i uczyniła to tak skutecznie, iż napaść nie powtórzyła się więcej.

Nie pamiętałem już w tej chwili moich dziecinnych szałów. Wszakże Józię znałem dawniej jesz. cze. Byłbym dziś przysiągł bez wahania, iż kochałem ją zawsze, jedynie, niezmiennie, ba! że nigdy nie miałem innego uczucia, nawet dla panny Heleny.

Adaś tymczasem, oburzony na opuszczenie, w jakim znajdowały się Burzenice, wołał:

— Taka to nasza szlachta: zaniedbuje gospodarstwo, hula, traci majątek.

Zdziwiły mnie te słowa: słyszałem je po raz pierwszy. Józia miała słuszność: sprzeczać się z nim nie mogłem.

Zrobiłem tylko uwagę, że mąż Heleny był artystą.

On jednak machnął ręką, nie przekonany wcale, i powiedział, że to wszystko jedno. Potem dalej nicował szlachtę. Co tylko robiła lub nie robiła, było złem.

Kiedy mu przeczyłem, dodawał:

— Nie bój się! jaż ja ich poznałem! Dumne to, głupie, próżnuje, umie tylko grać w karty i pieniądze tracić.

Jużciś mieszkał na prowincyi; musiał te rzeczy wiedzieć lepiej odemnie; jednak mnie to oburzało. Przecież i Burniccy byli szlachtą. Urzędnicy z samej natury rzeczy byli w antagonizmie z obywatelstwem, które nimi pomiatało.

Ojciec jednak byłby się bardzo rozgniewał, gdyby słyszał podobną rozmowę; on zawsze był dumny ze swego pochodzenia, a sygnetu herbowego nigdy nie zdejmował z palca. Pan Pikalski, chociaż do szlachectwa nia miał pretensyi, odzywał się także z wielkim respektem o obywatelach wiejskich; kiedy kto przeciwko któremu z nich powstawał, mówił zawsze:

— Dajcie im pokój. Z nich mamy wszystko. Kiedy na wsi bieda, miasta upadają.

— Tak, tak, miasta upadają — przywtarzał mój ojciec.

Z tego powodu zapewne Adaś ze swojemi przekonaniem nie wyjeżdżał dotąd; aż teraz wyszły one, jak sztydło z worka, w obec ruiny Burzenie; przez całą drogę perorował w ten sposób.

Wróciliśmy do Warszawy wcześniej, niż to było naszym zamiarem. Adaś pobiegł zaraz do Pikalskich, ja do cici.

Wchodząc, usłyszałem w salonie żywą rozmowę:

Józia była w doskonałym usposobieniu, bo dochodził mnie jej śmiech i urywane wyrazy. Rozmowa toczyła się po francuzku.

— Kto tam jest? — spytałem pokojówki.

Mimo najszczerzej chęci, ciocia nie mogła zdobyć się na lokaja; tłómaczyła to przed znajomymi tymczasowością swego położenia.

— Jakiś pan z zagranicy — brzmiała odpowiedź — panie się bardzo ucieszyły.

Myślałem, że zastanę jakiego cudzoziemca.

W salonie był Henio; rozparty na fotelu, obok Józia, cedził coś, patrząc na nią oczyma, które wydały mi się bezczelnemu Ciocia pilnie zdawała się oknem wyglądać mnie przecież nie zobaczyła, myślała zapewne o czym innym.

Nikt się mnie nie spodziewał. Gdym wszedł, Józia zerwała się z kanapki, ciocia odwróciła się od okna. Henio tylko się nie ruszył, zmierzył mnie blademi oczyma.

— Jakżeż, tak prędko? — zagadnęła szybka Józia. — Pewno pałac nie dość piękny, niema oranżeryi, nie warto było tego majątku oglądać; nie kupiłeś go.

Henio podniósł się powoli i wyciągnął do mnie rękę. Powitaliśmy się. Miał rękę zimną i wilgotną, dziwnie w dotknięciu nieprzyjemną.

Ciocia i Józia zasypywały mnie pytaniami o Burzenice.

— Słyszałem, że pan szuka majątku — wycedził Henio.

I nie czekając odpowiedzi, mówił dalej swym pieszczonym głosem, z widocznym cudzoziemskim akcentem:

— W moich stronach jest na sprzedaż ładna wioska mego kuzyna; odziedziczył po stryju dużo dobra w gubernii Wołyńskiej. Proponował mi nawet kupno, ale mnie nic po tem, i tak mam dość kłopotów z rządami, którzy mnie kradną.

— Naturalnie, naturalnie! — wtórowały ciocia i Józia.

Zaczęły obie wypytywać się o tę wioskę; znały okolicę, bywając u matki Henia, a gdy ten wymienił jej nazwę, Józia odezwała się pogardliwie:

— Taka wioszczyna!

— Staś szuka dużego majątku, z piękną rezydencją — poparła ją matka.

Henio zdawał się zdziwionym i coraz grzeczniej zwracał się do mnie.

W końcu, wieczorem, zaprosił mnie nawet, ażebym go na wsi odwiedził. Opowiadał dużo o Paryżu, z kąd właśnie powracał, o dworze Prezydenta Ludwika Napoleona, sypał skandaliczne anegdotki o jego miłostkach, które zdawały mi się bardzo niewłaściwymi, ale ciocia i Józia były niemi zachwycone.

Niby przez grzeczność mówił po polsku, bo już to z francuzczyzną stałem nie tego, a co chwila zwyczaj brał górę, i zdanie każde kończył po francuzku. Józia i ciocia zapominały się za jego przykładem, tak, że ja byłem jakby na niemieckim kazaniu.

Znudzony, wyszedłem jeszcze przed herbatą.

— Niechże się o Paryżu nagadają — myślałem. Zaszedłem do państwa Pikalskich. Zastałem

tam wielką radość. Adaś awansował, i choć jeszcze nie był nadleśnym, mógł dać żonie skromne utrzymanie. Państwo Pikalscy naznaczyli ślub panny Justyny za cztery tygodnie. Wyprawa dawno była zrobiona, tylko dać na zapowiedzi.

— Myślałem, że będę twoim drużbą — mówił Adaś wesoło — a to ty mnie będziesz drużbował.

Zrobiło mi się trochę smutno, że termin mego ślubu jeszcze nie naznaczony. No, trudno. Co innego panna Justyna, a co innego Józia.

— Czegożeś wczoraj tak uciekł? — spytała mnie cierpko Józia — Henio opowiadał takie zajmujące rzeczy. Wobec tej wymówki zawstydzilem się swego postępku, chociaż narazie zdawało mi się, iż wcale na mnie nie zważano.
— Nie bardzo rozumiałem, coście mówili — tłumaczyłem się.
— Otóż to, trzeba się koniecznie nauczyć po francuzku: w naszym świecie, to rzecz niezbędna.

— Masz słuszność — szepnąłem przekonany. — Na wsi zabiorę się do nauki.
— Ja zawsze mam słuszność — odparła, Opowiedziałem jej o szczęściu Adasia i panny Justyny, ale przyjęła tę wiadomość bardzo obojętnie.
— Oh! oni jak raz dla siebie stworzeni — wyrzekła z lekceważeniem. — Nudzą mnie; dobrze, iż sobie raz się pobiorą.
— A my? Józio — szepnąłem.
— Oho! stwórz mi naprzód gniazdko — wyrzekła figlarnie.
Żałowałem, że Burzenie nie obejrzał. Taka mnie niecierpliwość brała, iż miałem ochotę kupić pierwszą lepszą wieś, byle już mieć to gniazdko.
Chciałem o tem pomówić z Józia, kiedy wszedł Henio.
Ten Henio! zawsze witany z niezmierną radością przez moje panie, stał mi się antypatyczniejszym jeszcze. A na domiar zdawało mi się, że on to widział doskonale i drwił sobie ze mnie. Gdy zwrócił na mnie blade źrenice, widziałem w nich wyraźną złośliwość. Zwykle jednak patrzył tylko na Józję.
Teraz obrał sobie prawie mieszkanie u cioci; przychodził w południe, przychodził! po południu, przychodził na herbatę: zastawałem go tam już zawsze i najczęściej odchodziłem przy nim jeszcze.
Miał podobno jakieś interesy w Warszawie. Tak mówił. Chodził z paniami do modnego wówczas

ogrodu Deckerta, bo ciocia piła jakieś wody. Ja byłbym chodził chętnie, ale cóż? zanim się moje panie ubrały, trzeba już było iść do biura.
— Ah! to biuro — krzywiła się nieraz Józia. Teraz jakoś przestała się krzywić. Ostrzegano mnie tu i owdzie, że się ktoś bardzo koło mojej panny kręci.
Z tego już to śmiałem się serdecznie. Przecież Józia opowiadała mi tyle razy, że Henio kochał się w niej szalenie, że jedynie z powodu jej odmowy włóczył się po obcych krajach! Nie mogłem więc być o Henia zazdrosny. Nudził mnie, drażnił, niecierpliwił swoim apatycznym obejściem, wycedzonym głosem, francuzczyzną — no, i tem, że ciągle był między mną a Józia: oto wszystko.
Kiedym się na to skarżył, ona się śmiała.
Wiedziałem przecież, jak mnie kochała, powtarzała codziennie, że umarłaby niezawodnie, gdybym się był nie oświadczył. Przyznała się nawet, że nie mogła cierpieć panny Justyny, bo zawsze ją posądzała, że o mnie myśli. Henia nazywała "biednym chłopcem", lubiła go bardzo, kochała nawet — jak brata... przecież chowali się razem.
— Ty, Stasiu! — dodawała — to zupełnie co innego.
Naturalnie, że po takim powiedzeniu, a powtarzała mi to codziennie prawie, mogłem tylko litować

się nad "biednym chłopcem", co daremnie opalał sobie skrzydła przy mojem słońcu.

Czasem dziwiłem się, że jego interesy nie kończyły się nigdy; ale Józia uważała to za rzecz prostą, a filuterny jego wyraz objaśniał, jakie to były interesy.

Trwało to czas jakiś. Już odbył się ślub Adasia z panną Justyną, państwo młodzi wyjechali z Warszawy, a ja ciągle byłem w zawieszaniu. Targowałem a targowałem ciągle różne majątki, aż wreszcie zdecydowałem się na Bruzdów, ładną wioskę, położoną nad Pilicą. Adaś powtarzał, że mi się nic równie dobrego dotąd nie trafiło.

Na pożegnaniu ostatnie jego słowa były:

— Pamiętaj, kup Bruzdów.

Zdecydowałem się więc ostatecznie na Bruzdów, bo choć nie było tu pałacu, Józia nie stawiała teraz żadnej opozycji.

Pojechaliśmy tam z ojcem, skończyli i dali zadatek,

Cały ten interes zabrał nam dni kilka.

Bruzdów nie miał tak wspaniałego pałacu i parku, jak Burzenice, ale zato dom, ogród, budynek, pola, wszystko było wybornie utrzymane; szło się do gotowego.

Obmyśliliśmy z ojcem, jak się urządzimy; nawet ojciec wybrał sobie pokój od ogrodu, gdzie miał zamieszkiwać, jak nas będzie odwiedzał. Kiedyśmy już skończyli z właścicielem, obeszlśmy raz jeszcze

dwór i wszystkie budynki, objechali pola i łąki, bo już to wszystko do nas należało, i uradowani, wracaliśmy do Warszawy.

— Spodziewam się — mówiłem — że Józia będzie kontenta.

— Gdyby jej się Bruzdów nie podobał, byłaby dyabło kapryśna. Co prawda, Stasiu! ona jest kapryśna. Ale to już twoja rzecz.

Przebrawszy się, pobiegłem do cici. Dzwonię: nikt nie otwiera; dzwonię mocniej: znowu nic. Robię gwałt: napróżno, w mieszkaniu nie ma widać żywego ducha.

— Ha — pomyślałem — ładny czas, pewno wyszły z Heniem na spacer; Marysia uczyniła to samo. Nie spodziewały się mnie dzisiaj.

Odchodziłem jednak zły: pilno mi było pochwalić się skończeniem interesu, termin ślubu uzyskać i omówić tysiące rzeczy. Czerwiec był już za pasem, a gospodarstwo objąć miałem od Świętego Jana. Żebym choć wiedział gdzie ich szukać...

W bramie spotkałem stróżkę, Mateuszową. Szła z samowarem do lokatora w oficynie, któremu posługiwała. Spojrzała na mnie jakoś dziwnie.

— Nie wiecie — spytałem — gdzie poszły panie, gdzie Marysia?

— O Jezu! niby to pan nie wie?

Musiała wyczytać w mojej twarzy, że naprawdę

nie wiem, bo zawołała z pośpiechem, zwykłym u ludzi, przynoszących wieści niespodziewane:

— A dyć nie poszły! nie poszły, ino pojechały.

— Pojechały? gdzie?

— No, pojechały. Czy ja tam wiem, gdzie? Był pocztylion ślicznie wystrojony, cztery konie, nowiusieńka kareta.

— Pocztylion! kareta! Kiedy!

— Oo! kiedy? Dyć wczoraj. Ślub wzięli rano u Wizytek, rzeczy były już spakowane, i zaraz, tylko się panna młoda przebrała, ruszyli wszyscy.

Patrzyłem na Mateuszową błędniemi oczyma; zdawało mi się, że zwaryowała, albo, że mówi coś, czego ja zrozumieć nie mogłem. Chciałem pytać: czułem, że język staje mi kołem.

— No, tak — mówiła dalej kobieta. — Ślub. Panienska przecie szła za mąż, wyprawę robiono. Niby to pan nie wie? Albo to raz dźwigał pan pakiety? Dyć pan przecie krewniak, przychodził pan po trzy razy na dzień. Dziwno nam było tylko, co pan nie był na ślubie. Któż miał pannę młodą prowadzić? Taki też to i ślub: raniutko, nikogo nie było — aż wstyd!

Mogła mówić długo. Nie byłem w stanie jej przerwać. Nie wiem nawet, czy rozumiałem dobrze. Jednak słowa jej ryły się w mój mózg tak wyraźnie, że nie straciłem jednego dźwięku, jednej intonacji, i powtórzyłem nawet machinalnie półgłosem: "Taki też to i ślub, raniutko... nikogo nie było... aż wstyd..."

Mateuszowa, nie zbyt biegła fizyonomistka, poniosła do oficyny samowar, który syczał, kipiał. Ja pozostałem na miejscu. Wargi moje powtarzały ciągle: "Taki też to i ślub... raniutko... nikogo nie było... aż wstyd..."

Ludzie oglądali się na mnie: czołem to; nie przyszło mi przecież na myśl ruszyć się, odejść! Zabrakło mi nawet instynktu ranionego zwierzęcia, które szuka sobie kryjóWKi.

Mateuszowa, obsłużwszy swego lokatora, zastała mnie w tem samym miejscu.

— O! Czegóż też pan czeka! — zawołała. — Cóż to, nie wiem, co gadam? Niech pan spyta, kogo chce, kiej ja nie mam wiary.

Musiałem spojrzeć na nią błędnym wzrokiem, mrużąc ciągle: "Taki to i ślub...", bo krzyknęła, potrząsając mojem ramieniem.

— O Jezu! Co to pan gada! co pan tak stoi! Może domyśliła się czego, bo dodała, trzęsąc głową:

— Tak jest! wzięli ślub — pojechali. Stało się nie ma na to żadnej rady. Żebyś tu pan stał nawet do dnia sądnego... Dobitność tych słów oprzytomniła mnie trochę.

Nigdy potem nie mogłem sobie przypomnieć jakim sposobem dostałem się do domu. Ojciec przestraszył się. Podobno zmieniłem się strasznie przez kilka godzin. Pytał: co się stało. Ale ja nie odpo

wiadałem, nie słyszałem co do mnie mówiono. "Taki to i ślub... raniutko... nikogo nie było... wstyd..." — szeptałem wciąż w kółko, a trzęsłem się jak w febrze.

Ojciec pobiegł po doktora, chciał wstąpić do cioci, ażeby dać jej znać o mojej chorobie. Sądził, że spowodowała ją burza wiosenna, która na wsi przemoczyła nas do nitki. I od razu dowiedział się wszystkiego.

Wiadomość zresztą gruchnęła po Warszawie, że czyjaś narzeczona, wzięwszy ślub z miłszym sercu oblubieńcem, wyjechała cichaczem z Warszawy.

Naturalnie, dodawano różne komentarze; w wiele lat potem obijały mi się one jeszcze o uszy w dziwacznej formie.

To panna była zmuszaną przez rodziców, to narzeczony był bogaty, stary, brzydki, łysy, pękaty, jak starosta z ballady.

Wszyscy śmieli się z niego, wszyscy sprzyjali śmiałemu rycerzowi, który porwał pannę, a tak był podobny do Henia, jak ja do starosty.

O tem wszystkim dowiedziałem się dopiero kiedyś, bardzo późno. Na razie zapadłem na nerwową gorączkę, tyfus, czy już nie wiem na jaką chorobę. Parę miesięcy przeleżałem w łóżku, a potem tak wolno przychodziłem do siebie, że blisko cały rok mogłem wymazać z mego życia.

Podniosłem się innym człowiekiem. Uczucie, które o mało co nie spowodowało mojej śmierci, pozosta

wiłem po za sobą. Ojciec, pan Pikalski, Adaś, jego żona, lękali się przy mnie wymówić imienia Józki. Dla mnie była ona teraz obcą, obcą zupełnie. Adaś bał się, żebym po wyzdrowieniu nie wyzwał Henia, gotował się perswadować mi, bronić od podobnego szaleństwa. Nie potrzebował tego czynić: mnie to nawet na myśl nie przyszło.

Narazie, w owej bramie, kiedyś się dowiedział o zdradzie Józki, byłbym i ją i jego z rozkoszą rozdarł na sztuki. Teraz nie obchodzili mnie oni wcale. Byłbym mógł ich spotkać i uklonić się jak zwyczajnym znajomym.

Został mi z tej przygody jakiś lęk, jakaś niechęć do kobiet; o małżeństwie nie pomyślałem już nigdy, chociaż państwo Pikalscy mieli młodszą córkę bardzo do panny Justyny podobną.

Namawiał mnie ojciec, namawiał Adaś. Trudno! zdecydować się nie mogłem. Człowiek nie jest jak ten krzew, który co wiosnę zakwita. Sama myśl o małżeństwie przypominała mi zawsze, nie Józki, ale wszystko, com wówczas przecierpiał, i śmiech ludzki, który przyłgnął do mnie raz na zawsze. Ileż razy słyszałem, jak mówiono koło mnie: "To ten, którego narzeczona..." Słyszałem to tyle razy, iż sądzę, że mi to na kamieniu grobowym wyryją.

Bruzdowa nie kupiłem. Chociaż zadatek danym był, zwrócono go ojcu bez trudności. Właściciel cudzego zatrzymywać nie chciał. Cóżbym ja na wsi

robi!?! Wieś zbrzydła mi tak, jak małżeństwo! Przypominała mi przeszłość.

Oh! ta przeszłość! Zostawiła mi ona w sercu taką ranę, która, choć niby zablizniona, trwała ciągle. Nibym był wesoły, niby nie myślałem o Józii; jednak wszystko, co mi ją przypomnieć mogło, przejmowało mnie wstrętem.

Widać już było sądzone, żebym został starym kawalerem i żebym się z tej Warszawy nie ruszył. Zostałem więc prawdziwym stryjaszkiem dzieci Adasia, a przybranym wujaszkiem dzieci wszystkich znajomych. Przynoszę im zabawki na kolendę, cukierki na imieniny. Kocham te wszystkie rumiane buziaki, które uśmiechają się do mnie, kocham moją rodzinę, ale nadewszystko, kocham Warszawę.

Co to się z tej dawnej Warszawy w moich oczach zrobiło! Pilnowałem każdego wznoszącego się domu, jakby do mnie należał; każda nowa ulica raduje mi serce; nie miałbym spokoju, gdybym nie widział, jak się miasto przyozdabia gmachami, i nie obszedł ich przynajmniej co parę dni.

Znam na palcach datę urodzenia nowych kamienic, a kiedy z przed której zdejmują sztandary, to dla mnie prawdziwa uroczystość.

Przez ciąg życia zdarzyło mi się nieraz wyjeżdżać.

Gdzie ja nie byłem! Ale cóż! nigdzie nie było mi tak, jak w Warszawie, nigdzie woda mi tak nie sma

kowała, jak z tej pompy w Saskim Ogrodzie, z której dzień w dzień szklankę przynajmniej wypić muszę. Powietrze nawet, to osławione warszawskie powietrze, nie zdaje mi się wcale tak ziem, jak mówią.

Wprawdzie, za mojej pamięci, parękroć sto tysięcy mieszkańców miasta przybyło. Ale niechno Devars wybuduje swoje bulwary, no, to zobaczymy! A już niech mówią co chcą, choć znam Paryż i Wiedeń i muszę oddać im sprawiedliwość, to jednak, kiedy stanę na placu Zamkowym, spojrzę przed siebie na szare fale Wisły, na most, Pragę, Saską Kępe — na lewo: na wieże, wieżyczki, ostre szczyty Starego Miasta — na prawo: na tę wspaniałą ulicę, ciągnącą się od Bernardynów do Ujazdowskich Alei, a ginącą w dalekiej perspektywie: to mi się zdaje, że piękniejszego nie ma nic na świecie.

KONIEC.